# Echa Ainulindalë

Sebastian Supernak

Napisałem to opowiadanie, zainspirowany filmem o tym, co by było gdyby Gandalf zatrzymał pierścień i stał się zły. Odszedłem od tego założenia, bo uważam że to by było zbyt proste, co prawda bardziej emocjonujące, i na pewno brutalniejsze. Ale nie takie jakiego sam bym chciał.

Od dawna fascynuję się alternatywnymi wersjami Tolkienowskiego uniwersum, od Jeskova po Pierumowa. Obaj są moimi inspiracjami. Pomysł Pierumowa żeby setki lat po Wielkiej Wojnie zebrać pierścienie upadłych Nazguli był fantastyczny. Z drugiej strony Jeskov napisał podręcznik szpiegowski w tym uniwersum.

Moja próba pisarska jest prosta, może nawet trochę naiwna, przez to wizerunek Gandalfa odbiega od tego, jak on sam w trylogii wyobrażał siebie z pierścieniem na palcu.

Zapraszam czytających do wychwytywania błędów merytorycznych z uniwersum. Obiecuję że poprawię wszystkie pomyłki.

07.27.25

S

# Część 1: rozdział 1

Nie było błyskawicy ani grzmotu, a Orodruina nie splunęła ogniem w niebo. W najwyższej komnacie Barad-dûr, gdzie samo powietrze drżało od woli jego istnienia, coś pękło. Był to dźwięk, którego nie mogło usłyszeć żadne ucho. Sauron nie miał serca, ale nawet gdyby miał, skamieniałoby w tej właśnie chwili. Nie z powodu zdrady, którą znał i której się spodziewał. Nie z powodu strachu, którego nie odczuwał od czasów upadku swojego Mistrza. Ale dlatego, że został zaskoczony. On, który przewidział tysiące przyszłości, który tkał losy kontynentu jak misterne gobeliny, który znał każdą ścieżkę chciwości i pożądania w sercach ludzi i elfów, został postawiony przed faktem, którego jego umysł nie potrafił objąć.

Jedyny Pierścień Władzy, jego kotwica w tym świecie, zniknął. Nie został zniszczony. To poczułby jako ostateczny, rozdzierający ból i agonię unicestwienia, która zgasiłaby jego świadomość na zawsze. Nie został przejęty przez żadnego z jego sług, Nazgûle wyły teraz w bezsilnej pustce, ich umysły, połączone z jego, odczuwały tę samą, nagłą próżnię. Nie poczuł go na palcu Sarumana, którego ambicje były dla niego jak otwarta księga. Nie czuł go w mrocznych czeluściach Morii ani na dnie Wielkiego Morza.

Zniknął z jego percepcji, jak gwiazda, która nie zgasła, lecz po prostu przestała istnieć w jego wszechświecie. Przez wieki,

nawet gdy Pierścień spoczywał na dnie Anduiny lub w kieszeni niziołka, ich więź nigdy nie została zerwana. Był to szept w jego istocie, puls i echo jego własnej woli, które zawsze wracało. Czasem cichsze, czasem głośniejsze, ale zawsze obecne. Było to zapewnienie, że wciąż są całością, nawet jeśli rozdzieloną, mógł czekać.

Teraz nastała cisza, głucha, bezdenna otchłań tam, gdzie wcześniej było połączenie. Sauron po raz pierwszy od niezliczonych stuleci poczuł się... niekompletny. Okaleczony w sposób, którego nie mógł pojąć. Jego wola, niczym niewidzialna sieć, napięła się i przeszukała Śródziemie. Przeszył nią umysły swoich szpiegów, dotknął fundamentów swoich twierdz, wsłuchał się w szepty wiatru nad Gorgoroth. Nic. Kryształ widzenia milczał, pokazując jedynie obrazy, które już znał.

Jak to możliwe? Jak można ukryć przed nim część jego własnej duszy? To przeczyło prawom, które sam ustanowił, tworząc Pierścień. A potem, z głuchej pustki, wyłonił się strzęp informacji. Nie słowo i nie obraz, raczej dedukcja. W tym samym momencie, w którym zniknął Pierścień, zniknęła też coś innego. Słaba, irytująca, ale stała, obecność, którą Sauron zawsze lekceważył, Gandalf.

Cisza zamieniła się w niedowierzanie, a potem we wściekłą furię. To było niemożliwe, absurdalne. Gandalf był posłańcem Valarów, Istari. Nadzorcą i tchórzem, który gardził prawdziwą mocą, chowając się za fasadą mądrości i litości. Strażnikiem status quo. Tym, który nigdy nie sięgał po broń zbyt ciężką, by nie złamać delikatnej równowagi świata.

A jednak to on. To musiała być prawda, bo była to jedyna rzecz, która nie miała sensu. Sauron zrozumiał, co to znaczy. To nie była kradzież ani próba zniszczenia Jedynego. To był ruch na sza-

chownicy, którego nie przewidział w żadnym ze swoich scenariuszy.

— On mnie zaszachował — syknął głos, który był echem pękających gór.

To zabolało bardziej niż wszystkie porażki, jakie poniósł od czasów Beleriandu. Nie miał w kogo uderzyć. Nie miał gdzie wysłać armii. Nie było obiektu zemsty.

Wtedy, w głębi jego mrocznej istoty, coś zaczęło się śmiać. Był to śmiech zimny i okrutny, zrodzony z nagłego olśnienia. Bo wiedział. Gandalf nie był głupcem, ale nie był też wszechmocny. Jedyny był w jego ręku. I choć teraz czarodziej był ostrożny, może nawet przerażony własnym czynem, to nie zawsze tak będzie. W końcu ugnie się pod jego ciężarem. Albo po prostu umrze jak każde inne śmiertelne naczynie. I wtedy Pierścień sam zacznie krzyczeć. A wtedy on, Sauron, weźmie to, co jego.

Nie muszę się spieszyć, pomyślał. Nie muszę atakować. Oni sami nie wiedzą, co się stało. Nie zrozumieją. A bez Gandalfa nie będą zjednoczeni. Będą się bali siebie nawzajem. Będę czekał. I będę wbijał sztylety w ich granice. W ich sojusze. Spojrzał na zachód, ku Lórien i Rivendell. Ku słabnącym królestwom ludzi. Czas był jego sprzymierzeńcem, a Pierścień przecież wciąż istniał.I wcześniej czy później, wróci. Wtedy, w ciemnościach Barad-dûr, Sauron zadał pytanie, nie do siebie, nie do sług, ale w głąb samej rzeczywistości.

— Kim jesteś teraz, Mithrandirze? Strażnikiem? Władcą? Czy tylko cieniem z przeszłości, który w końcu zrozumie, że cień może być wszystkim?

Furia ustąpiła miejsca czemuś znacznie bardziej przyjemnemu, chłodnej, metodycznej analizie. Sauron był przede wszystkim Majarem Aulego, kowalem, twórcą. Rozumiał systemy, prawa i mechanizmy. Wszystko, co istniało, miało swoją strukturę, a każdą strukturę można było złamać, jeśli tylko znało się jej słabe punkty. Zniknięcie Pierścienia było złamaniem praw, które sam napisał, a to oznaczało, że Gandalf musiał użyć metody, która wykraczała poza jego, Saurona, pojmowanie. Albo, co bardziej prawdopodobne, której nie brał pod uwagę z powodu jej absurdalnej prostoty lub nieprawdopodobnej złożoności.

Odrzucił na bok myśli o wojnie i zemście. To były narzędzia dla tępych umysłów. Przeszedł przez tysiące strategii, które sam by zastosował, gdyby chciał coś ukryć przed wszechwidzącym okiem.

Pierwsza możliwość, zanurzenie w pierwotnej mocy. Czy Gandalf zaniósł go do miejsca tak przesiąkniętego magią Valarów, że zagłuszyła ona jego własną? Lórien, ze światłem Galadrieli, mogło być takim miejscem. Ale nie. Nawet moc Nenyi, Pierścienia Wody, nie byłaby w stanie całkowicie zamaskować Jedynego. Stworzyłaby raczej świetlistą plamę na jego mrocznej mapie, sygnał równie wyraźny co krzyk. Poza tym, czułby opór, walkę dwóch mocy, a tu była tylko pustka.

Druga, rzucenie go w miejsce pozbawione jakiejkolwiek magii. Na bezkresne pustkowia dalekiego wschodu lub północy, gdzie ziemia była martwa i zapomniana. Miejsce, gdzie jego szept rozmyłby się w nicości. To było bardziej prawdopodobne, bardziej

w stylu Gandalfa, unikanie konfrontacji, ucieczka w zapomnienie. Ale nawet tam, nawet w najgłębszej ciszy, więź powinna istnieć. Osłabiona, rozciągnięta do granic możliwości, ale nie zerwana. Jego wola mogła sięgnąć krańców Ardy.

Trzecia, najbardziej niepokojąca, użycie paradoksu. Czy Gandalf znalazł sposób, by umieścić Pierścień pomiędzy? Pomiędzy światami, w szczelinie czasu, w lustrzanym odbiciu, które nie jest ani tu, ani tam? Taka magia była domeną Valarów. Istari byli jedynie ich posłańcami, ich moc była ograniczona, związana z ich fizyczną formą. Czyżby Gandalf złamał te zasady? Czy znalazł lukę w swoim własnym jestestwie, by stać się żywym naczyniem ukrywającym artefakt?

Sauron zadrżał na tę myśl. Gdyby Gandalf połączył swoją duszę Majara z esencją Pierścienia, nie po to, by go używać, ale by go stłumić, stałby się żywym więzieniem, paradoksem. Światłem skrywającym najgłębszy mrok. To by tłumaczyło ciszę. Pierścień nie zniknął ze świata, on zniknął w Gandalfie. Jego szept został zagłuszony przez inną, pierwotną pieśń.

Jeśli tak, to wszystko się zmieniało. Gandalf nie był już tylko strażnikiem. Stał się bombą z opóźnionym zapłonem. Każdego dnia toczyłby walkę, której ostatecznie nie mógł wygrać. Każdego dnia Pierścień sączyłby swoją wolę w jego duszę, nie siłą, ale perswazją. Aż pewnego dnia... tama pęknie. I wtedy moc, która wybuchnie, będzie czymś, czego Śródziemie jeszcze nie widziało.

A może było coś jeszcze? Coś prostszego? Jednocześnie ostatecznego. Co, jeśli się myli? Co, jeśli to nie był Gandalf?

Ta hipoteza wstrząsnęła fundamentami jego rozumowania. Przez tysiąclecia opierał swoje plany na jednym, niezmiennym

aksjomacie, Valarowie nie będą interweniować. Odkąd zatopili Númenor i wycofali się za Zasłonę, porzucili Śródziemie jego własnemu losowi. Wysłali Istari jako obserwatorów, doradców, jako subtelny wpływ, ale nigdy bezpośrednią siłę. Ich duma, prawa, być może zmęczenie, wszystko to sprawiało, że nie chcieli już kształtować świata śmiertelników siłą. Byli strażnikami porządku, a nie jego aktywnymi uczestnikami.

Ale co, jeśli tym razem złamali własne zasady? Co, jeśli to oni, w akcie ostatecznej, cichej desperacji, sięgnęli przez Zasłonę i po prostu... zabrali Pierścień? Nie niszcząc go, bo to wymagałoby fizycznej obecności. Nie ukrywając go w Śródziemiu, bo to byłoby tylko odkładaniem nieuniknionego. Ale przenosząc go do Amanu. Do miejsca, z którego on, Sauron, został na zawsze wygnany. Do krainy, gdzie jego wola nie mogła sięgnąć. To by tłumaczyło tę absolutną ciszę. Tę całkowitą, nienaturalną pustkę. Pierścienia nie był już w Śródziemiu, został usunięty z planszy.

Sauron odrzucił tę myśl, to było wbrew ich logice! Wbrew wszystkiemu, co reprezentowali! Sprowadzenie Pierścienia do Valinoru byłoby jak wniesienie plagi do rajskiego ogrodu. Jego zło, jego esencja, zatrułaby samą ziemię Nieśmiertelnych Krain. Byłoby to ryzyko, którego w swojej obsesji na punkcie czystości i porządku, nigdy by nie podjęli. Byliby przerażeni tym, co Pierścień mógłby zrobić z ich idealnym światem. Mógłby skusić innych Majarów, a może i samych Valarów. To było nie do pomyślenia.

A jednak... Czy ich strach przed nim nie był większy niż strach przed samym Pierścieniem? Czy po tysiącleciach obserwowania jego rosnącej potęgi nie doszli do wniosku, że jedynym sposobem na uniknięcie ostatecznej katastrofy jest złamanie własnych reguł?

Byłby to akt ostatecznej hipokryzji, ale być może również pragmatyzmu.

Gdyby to była prawda, jego sytuacja była gorsza niż mógł sobie wyobrazić. Oznaczałoby to, że jego największy atut, jego droga do ostatecznego zwycięstwa, został mu odebrany na zawsze. Byłby skazany na wieczne trwanie jako cień, władca spopielonej krainy, potężny, ale na zawsze niekompletny. Byłby więźniem własnego królestwa, a jego marzenie o uporządkowaniu całego świata ległoby w gruzach.

Wściekłość znów wezbrała, wściekłość na Gandalfa była czymś, co rozumiał. To była rywalizacja. Ale wściekłość na Valarów była inna. Była to nienawiść dziecka do rodziców, którzy ustanowili zasady, a potem sami je złamali, by go ukarać. To było oszustwo.

Ale zaraz potem przyszła chłodna kalkulacja. Jeśli zabrali Pierścień, to dlaczego zniknął również Gandalf? Czy go poświęcili? Czy był on tylko naczyniem, jednorazowym narzędziem do przeniesienia artefaktu, a potem został zniszczony wraz z nim? A może został zabrany do Valinoru jako świadek lub więzień?

Nie. To też nie miało sensu. To było zbyt skomplikowane i niechlujne. Sauron powrócił do swojej pierwotnej teorii. Była ona najbardziej logiczna i, co najważniejsze, dawała mu pole do działania. Hipotezę o interwencji Valarów zachował jako cień w głębi umysłu, najgorsze wyjaśnienie, którego nie mógł udowodnić ani obalić. Stała się ona jego osobistym koszmarem, cichym przypomnieniem, że we wszechświecie mogą istnieć siły, które działają poza jego zasięgiem i zrozumieniem.

Skupił się ponownie na Gandalfie. Na walce, którą mógł stoczyć

i grze w którą mógł grać. Ale od tej pory, w każdym jego planie, i każdej decyzji, będzie tkwił ułamek niepewności. Niepewność była trucizną, której Sauron nienawidził bardziej niż światła.

Zamknął swoje oko, skupiając się na ostatniej, najbardziej absurdalnej myśli. Co, jeśli Gandalf wcale go nie ukrył? Co, jeśli po prostu... przestał o nim myśleć? Gdyby z pomocą jakiejś starożytnej mantry lub techniki Valarów wymazał Pierścień z własnej świadomości, czyniąc go niewidzialnym nie tylko dla świata, ale i dla siebie? Gdyby stał się tylko nosicielem, pustą skorupą nieświadomą skarbu, który dźwiga? Ta opcja była niemal komiczna w swojej prostocie. Ale była też genialna. Bo jak znaleźć coś, czego nie szuka nawet ten, kto to ma? Nie. To było zbyt ryzykowne. Zupełnie, nie w stylu Gandalfa, który zawsze musiał wszystko kontrolować.

Pozostawała więc najbardziej prawdopodobna i najgroźniejsza hipoteza, Gandalf stał się żywym zamkiem dla Pierścienia. A to oznaczało, że Władca Ciemności musiał zmienić swoją strategię. Nie mógł już szukać przedmiotu. Musiał polować na duszę. Musiał kusić, nękać i obserwować. Musiał stać się głosem w głowie czarodzieja, echem jego myśli i cieniem wątpliwości. Uśmiechnął się. Gra stała się o wiele ciekawsza. Nie była to już prosta wojna o dominację. To była walka o zepsucie jednej duszy. A w takich walkach Sauron zawsze był mistrzem.

Śmiech w głębi Barad-dûr ucichł, zastąpiony został przez głuchą ciszę potężnej machiny myśli, nastawionej na nowy cel. Sau-

ron odrzucił wszystkie scenariusze natychmiastowej wojny. Były kuszące, wizja jego armii wylewających się z Mordoru, palących lasy i obracających w perzynę miasta ludzi, była słodka. Ale była to słodycz dla prostaków, dla orków. Jego umysł, zimny i precyzyjny, dostrzegał w tej nowej sytuacji znacznie większą, bardziej wyrafinowaną nagrodę.

Zaatakować teraz? To byłoby głupstwo. Atak zjednoczyłby jego wrogów. Dałby im powód, cel i wroga do zabicia. Sprawiłby, że spojrzeliby na Gandalfa nie z podejrzliwością, ale z nadzieją, jako na swojego jedynego obrońcę. Być może Gandalf zmuszony, użyłby Pierścienia w otwartej walce, a wynik takiej konfrontacji był przewidywalny. Co gorsza, w akcie desperacji Gandalf mógłby spróbować zniszczyć Pierścień, a to było ryzyko, na które Sauron nie mógł sobie pozwolić.

Nie, jego nowy plan był o wiele subtelniejszy. I o wiele bardziej okrutny. Zrozumiał bowiem fundamentalną prawdę, Gandalf z Jedynym byłby dla Zachodu równie wielkim, jeśli nie większym, zagrożeniem niż on sam. Sauron był wrogiem zewnętrznym, widocznym, namacalnym złem, które można było zwalczać mieczem i odwagą. Ale Gandalf? On byłby zagrożeniem od wewnątrz. Byłby rakiem w sercu ich sojuszu, ich przyjacielem i wrogiem, ich światłem i ciemnością.

Czarodziej trzymał w dłoni ostateczną pokusę, jak długo potrwa, zanim ludzie zaczną szeptać? Zanim elfy, w swojej odwiecznej mądrości, zaczną się go bać? Krasnoludy, ze swoją nieufnością do wszystkiego, co nie jest wykute z kamienia i metalu, odwrócą się od niego?

Sauron nie musiał niszczyć ich świata. Wystarczyło, że pomoże im podważyć ich zaufanie. Jego wola rozeszła się po świecie, nie jak ryk, ale jak szept. Do jego sług w Haradzie i Rhûn. Do szpiegów w Bree i na granicach Rohanu. Do kruków na szczytach Gór Mglistych. Rozkaz był prosty, nie atakować, obserwować, ale siać wątpliwości.

„Czy widzieliście Szarego Pielgrzyma? Mówią, że jego oczy płoną żywym ogniem."

„Zabrał skarb dla siebie. Zawsze tego pragnął."

„Jaką cenę zapłacimy za jego ochronę? Czym różni się władca w białej szacie od władcy w czarnej zbroi, jeśli obaj dzierżą tę samą moc?"

Uderzy w ich najsłabszy punkt, ich cnoty. Uderzy w honor Rohanu, sugerując, że ich król jest tylko marionetką w rękach czarodzieja. Uderzy w dumę Gondoru, pytając, jak długo mają czekać na powrót króla, podczas gdy kuglarz rośnie w siłę. Uderzy w izolację elfów, przypominając im, że ich czas się kończy, a nowy pan Śródziemia może nie być dla nich łaskawy.

Pozwoli, by Gandalf stał się ich obsesją. Każdy jego ruch, każda decyzja, będzie analizowana pod kątem wpływu Pierścienia. Jeśli będzie działał, oskarżą go o żądzę władzy. Jeśli pozostanie w ukryciu, posądzą go o tchórzostwo i zdradę. On, Sauron, stanie się tylko echem. Odległym zagrożeniem, które usprawiedliwia istnienie nowego, bliższego. Niepewność o Gandalfa, będzie im z każdym dniem ciążyć coraz bardziej.

Wielka Gra się rozpoczęła. Nie na polach Pelennoru, ale w sercach i umysłach. Sauron nie był już tylko Władcą Ciemności. Stał się ogrodnikiem rozpaczy, cierpliwie pielęgnującym nasiona nie-

zgody, które sam zasadził w żyznej glebie strachu. Niech Gandalf walczy ze swoim sumieniem. Niech Zachód walczy ze swoim zaufaniem. On, Sauron, będzie po prostu patrzył i czekał na żniwa.

# Rozdział 2

W Orthanku panowała cisza, Saruman Biały, najpotężniejszy z Istarich, głowa Białej Rady, siedział w kręgu światła rzucanego przez pojedynczą świecę, pośród mroku swojej pracowni. Wokół niego piętrzyły się księgi oprawione w skórę, zwoje pokryte starożytnymi runami, mapy zakątków Śródziemia rozłożone na stołach. Jego wzrok był wbity w jedno miejsce, w czarną, matową kulę spoczywającą na kamiennym piedestale.

Kamień tętnił ledwo wyczuwalnym, złowrogim pulsem. Kiedyś był jego oknem na świat, narzędziem wiedzy i potęgi, symbolem jego wyższości nad innymi. Teraz stał się jego przekleństwem. Źródłem szeptów, które zatruwały jego myśli, i jedynym łączem z potęgą, której zaczął służyć, a której teraz panicznie się obawiał.

Od dni, a może już tygodni, coś było nie tak. Mrok na wschodzie gęstniał, a potem nagle... przycichł. Sauron, który dotąd był stałą, rosnącą presją na jego umyśle, zamilkł. Cisza, która zapadła, była gorsza niż jego najgorsze groźby. Oznaczała, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego, coś, co wytrąciło z równowagi nawet Jego.

Saruman miał straszliwe przeczucie, co to mogło być. Jego ręce, splecione na kolanach, drżały nieznacznie. Przez lata uważał Gandalfa za sentymentalnego głupca, który marnował swoją moc na przyjaźnie z niziołkami i palenie fajkowego ziela. Pogardzał jego zamiłowaniem do słabych, jego wiarą w małe rzeczy. Dla Saruma-

na liczyła się tylko wiedza i potęga. Świat rządzony przez rozum, a nie przez przypadek i emocje. Gandalf był chaosem, on, ładem.

Ale teraz ten sentymentalny głupiec wykonał ruch, który zburzył całą szachownicę. Jeśli to prawda, jeśli Gandalf rzeczywiście zabrał Pierścień... Saruman poczuł, jak po plecach przebiega mu lodowaty dreszcz. To nie był strach przed Sauronem. To był strach przed Gandalfem. Bo jeśli Gandalf dowie się o jego zdradzie, a z Pierścieniem na palcu dowie się na pewno, zobaczy ją tak wyraźnie, jak Saruman widział teraz płomień świecy. Co wtedy? Sauron był daleko, ale Gandalf... Gandalf był bratem. Należał do tego samego Zakonu. Znał go, jego myśli, dumę i słabości.

Gniew Saurona byłby jak burza, straszliwy, ale przewidywalny. Gniew Gandalfa byłby inny, bardzo osobisty. Byłby to gniew zdradzonego przyjaciela. Byłby to gniew sprawiedliwego, który został zmuszony do sięgnięcia po ostateczną broń. A gniew sprawiedliwości jest najstraszniejszy ze wszystkich.

Saruman wstał i zaczął krążyć po komnacie. Co on zrobi? Czy przyjdzie tu, do Orthanku, z mocą Pierścienia? Czy jego głos skruszy fundamenty wieży? Czy jego spojrzenie wypali kłamstwa z jego duszy? Saruman przez całe życie uważał się za równego Gandalfowi, a nawet go przewyższającego. Był Sarumanem Białym, a tamten tylko Szarym. Ale Gandalf z Jedynym Pierścieniem... to już nie Gandalf. To siła natury. Potęga zdolna obalać góry, rozkazywać morzom. Przy kimś takim Saruman byłby tylko dzieckiem bawiącym się zapałkami.

Musiał poznać prawdę, nawet jeśli ta prawda miała mu zaszkodzić. Jego własna ambicja i lęk pchały go w tym samym kierunku. Musiał nawiązać kontakt. Spojrzał ponownie na palantír. Każde

połączenie z Sauronem było jak połykanie rozżarzonych gwoździ, jak zanurzanie umysłu w rzece płynnego metalu. Wola Saurona była przytłaczająca, jego pogarda niemal fizycznie bolesna. Ale nie miał wyboru. Musiał zapytać. Musiał potwierdzić swoje najgorsze obawy. Musiał wiedzieć, czy jego pan wie, co się stało i czy ma jakikolwiek plan.

Bo jeśli Sauron jest bezradny, to on, Saruman, jest zgubiony. Uwięziony między gniewem dwóch najpotężniejszych istot w Śródziemiu. Z drżącą ręką, ale zdeterminowanym umysłem, wyciągnął dłoń w kierunku czarnej kuli. Musiał poznać prawdę. A prawda, jak podejrzewał, miała smak popiołu.

Zanim Saruman zdążył zebrać w sobie wolę, by sięgnąć ku czarnej sferze, ona sięgnęła ku niemu. Nie było ostrzeżenia. Żadnego dźwięku ani migotania. Palantír po prostu zapłonął, rozbłyskując wewnętrznym, krwistoczerwonym światłem, które zalało całą komnatę i rzuciło na ściany tańczące, potworne cienie. Światło nie było ciepłe. Było zimne, przenikliwe, jak spojrzenie chirurga zaglądającego w otwartą ranę. Saruman cofnął się gwałtownie, a z jego ust wyrwał się zduszony okrzyk. To nie było zaproszenie do rozmowy, to było wezwanie i rozkaz.

Wola Saurona wdarła się do Orthanku niczym taran, rozbijając psychiczne bariery, które Saruman tak starannie wokół siebie budował. Poczuł się nagi, bezbronny. Każda myśl i lęk, każda kalkulacja, którą przeprowadzał przed chwilą, została mu wyrwana i wystawiona na widok. Potem pojawił się głos. Nie w powietrzu,

ale bezpośrednio w jego czaszce. Nie był to już szept. Był to ryk uwięziony w ciszy, zgrzyt kontynentów ocierających się o siebie. — Curunír.

Samo imię, jego prawdziwe imię z Amanu, którego nie słyszał od nikogo innego od dawna, było jak uderzenie gorącym prętem. Było to przypomnienie o jego pochodzeniu i o tym, jak nisko upadł.

— Długo milczałeś. — głos ociekał drwiną, ciężką i oleistą.

— Czyżbyś drżał w swojej kamiennej wieży? Biały Mędrzec boi się cienia, który sam sobie wybrał?

Saruman próbował zapanować nad oddechem i strachem, który eksplodował w jego umyśle. Próbował przybrać maskę spokoju i kontroli, ale wiedział, że Sauron widzi przez nią jak przez szkło. Każde połączenie z Władcą Ciemności było jak połykanie trucizny. To było inne, czuł się połykany w całości.

— Coś się zmienia, Panie — zdołał wyszeptać, a jego głos był obcy, łamliwy. — Coś się wydarzyło. Wszyscy to czujemy. Czułem, że powinienem czekać na twój rozkaz.

Głos w jego głowie zaśmiał się, a śmiech ten był dźwiękiem pękających kości.

— Kłamiesz. Czułeś ciekawość. Chciałeś wiedzieć, czy twoja zdrada miała sens. Chciałeś wiedzieć, czy postawiłeś na właściwego konia. — Nastąpiła pauza, ciężka i znacząca.

— A więc wiesz.

Nie było sensu dalej udawać. Sauron już przejrzał jego myśli.

— Zniknął — przyznał Saruman cicho. — Pierścień. — On go zabrał.

— Twój brat w szarości. Ten, którego tak lekceważyłeś.

Saruman zadrżał, słysząc tę prawdę wypowiedzianą na głos.

— Gandalf — wyszeptał imię, jakby było przekleństwem.

— Tak. — głos Saurona stał się ostry, skupiony. — Znasz go lepiej niż ja. Znasz jego sentymentalne serce i słabości. Co zrobi?

— Nie wiem — odpowiedział Saruman, zbyt szybko.

— Kłamiesz!

Eksplozja. Czysta, psychiczna siła uderzyła go jak młot. Saruman krzyknął i upadł na kolana, chwytając się za głowę. Palantír zapłonął tak jasno, że go oślepiło. Czuł, jak myśl Saurona przeszukuje brutalnie jego duszę, wyrywając wspomnienia, analizując każdą rozmowę, każde spotkanie z Gandalfem na przestrzeni wieków. To było brutalne i upokarzające.

— Znasz go! — ryknął ponownie głos. — Znasz go od początku! Co planuje?! Gdzie się ukryje?!

Saruman próbował się bronić, zbudować mur z resztek swojej dumy, ale był zbyt słaby. Zbyt rozdarty między własnym lękiem a dawną ambicją. Poddał się, pozwalając, by fala bólu go zalała.

— Nie, on... zniknął! Przepadł! — krzyczał, a jego słowa mieszały się z agonią. — Nic nie mówił, nikt nie wie! On nawet mnie nie ufał! Nigdy mi nie ufał!

— Oczywiście, że ci nie ufał. — głos Saurona nagle złagodniał, ale ta łagodność była jeszcze straszniejsza. Była to łagodność kata, który uspokaja swoją ofiarę.

— Nie ufałby ci nawet jako duch. Nie widzisz, Sarumanie? Nie jesteś już dla niego równy. Nigdy nie byłeś.

Saruman podniósł głowę, a w jego oczach płonęła desperacka odwaga.

— I ty też nie jesteś! — zaryzykował, drżąc. — On ma Pierścień.

W jego umyśle zapadła cisza. Głęboka jak studnia bez dna. Czerwone światło w palantírze przygasło, zmieniając się w powolny, pulsujący żar. A potem głos Saurona się zmienił. Stracił swoją furię i drwinę. Był teraz zimny, analityczny, niemal partnerski. I to przeraziło Sarumana bardziej niż cokolwiek innego.

— A więc wszyscy jesteśmy chwilowo bezsilni. — głos był niemal melancholijny. — Ja, bez pełni mojej mocy. Ty, bez przyszłości. On, z ciężarem, którego nie zrozumie. Gra się zmieniła, a do końca daleka droga.

Nowa, opanowana postawa Saurona była pułapką, a Saruman wszedł w nią jak ćma w ogień. Myśl, że może być potrzebny, że jego pozycja w grze wciąż coś znaczy, pozwoliła mu na chwilę zapomnieć, z kim rozmawia.

— Jesteś cieniem samego siebie, Panie. Nie wiesz, gdzie jest Pierścień. Jesteś ślepy. — zaśmiał się cicho, a w jego głosie pobrzmiewała nuta dawnej arogancji.

Reakcja była natychmiastowa i brutalna. Z palantíra wystrzelił niewidzialny impuls mocy. Nie był to obraz ani głos. Był to czysty, fizyczny nacisk. Powietrze w komnacie zgęstniało, stało się ciężkie jak ołów. Saruman poczuł, jak niewidzialna siła wgniata go w kamienną posadzkę. Jego kolana ugięły się, a on sam upadł na czworaka, z trudem łapiąc oddech. Czuł, jak ciśnienie miażdży jego płuca, jak jego stare kości jęczą pod naporem woli Saurona.

— ŚLEPY? — Głos w jego głowie nie był już szeptem. Był to ryk, który wibrował w każdej komórce jego ciała.

— Czy ślepy jest wiatr, który łamie drzewa? Czy ślepa jest zaraza, która zabija bez wyjątku? Moja wola jest siłą natury, Curunírze. A ty jesteś tylko liściem na mojej drodze!

Saruman próbował się podnieść, ale presja była zbyt wielka. Mógł jedynie unieść głowę i spojrzeć w wirującą, czerwoną otchłań palantíra. Czuł metaliczny smak krwi w ustach.

— Ty masz swoją wieżę? — głos drwił, a Saruman poczuł, jak kamienie pod jego dłońmi drżą, jakby sam fundament Orthanku groził rozpadem. — Ta wieża stoi, bo ja na to pozwalam! Ty masz armie? Te kreatury oddychają, bo ja tchnąłem w nie iskrę nienawiści! Wszystko, co masz, jest pożyczone ode mnie! Jesteś tylko moim echem w tej części świata!

Ból zelżał na tyle, by Saruman mógł wyszeptać.

— Czego... czego chcesz?

Presja ustąpiła. Gwałtownie, jakby ktoś przeciął niewidzialne liny. Saruman zachłysnął się powietrzem, kaszląc i dysząc, leżąc na zimnej posadzce. Czuł się stary, słaby i upokorzony.

— Chcę, żebyś zrozumiał swoje miejsce. — głos Saurona powrócił do zimnego, beznamiętnego tonu, co było jeszcze gorsze.

— Nie jesteś moim sojusznikiem, jesteś narzędziem. Użytecznym, inteligentnym, ale wciąż narzędziem. I mam dla ciebie zadanie.

Saruman milczał, próbując zapanować nad drżeniem ciała.

— Będziesz czekał. Będziesz obserwował. Gandalf upadnie. To nieuniknione. Pierścień go złamie, tak jak złamałby każdego in-

nego. Kiedy to się stanie, kiedy jego umysł pęknie pod ciężarem mocy, której nie rozumie, ja to poczuję. Dam ci znak.

Saruman powoli, z wysiłkiem, podniósł się na kolana. Spojrzał na palantír, a w jego oczach nie było już dumy, tylko pustka.

— I co wtedy?

Sauron nie odpowiedział od razu. Pozwolił, by cisza wypełniła umysł Sarumana, by ten w pełni zrozumiał swoją pozycję.

— Wtedy podejdziesz do niego. Nie jako wróg, ale jako stary przyjaciel, który przychodzi z litością. Podejdziesz do niego, gdy będzie słaby, rozdarty, gdy będzie błagał o pomoc. — głos Saurona stał się niemal intymny, jak szept kochanka zdradzającego najmroczniejszy sekret.

— I wtedy, mój drogi Curunírze... wbijesz mu sztylet prosto w serce. Nie ze stali, ale ze słów. Złamiesz resztki jego ducha. Zdmuchniesz ostatnią iskrę jego nadziei. A gdy jego ciało będzie już tylko pustą skorupą, ja wezmę to, co moje.

To nie była propozycja, tylko wyrok. Saruman nie miał już być tylko zdrajcą. Miał dokonać czynu tak ostatecznego, że na zawsze pogrążyłby go w cieniu, bez możliwości odkupienia.

— Rozumiesz? — zapytał cicho Sauron.

Saruman nie był w stanie wydać głosu. Mógł jedynie nieznacznie skinąć głową, czując na policzku zimną łzę, pierwszą od niepamiętnych czasów. Łzę nie żalu, ale absolutnej, bezdennej rozpaczy.

Więź została zerwana. Czerwone światło zgasło. Saruman został sam na posadzce, w ciszy i mroku. Ból fizyczny minie, ale w jego duszy pozostała rana, która będzie się jątrzyła. Zrozumiał, że jego wieża nie jest już fortecą. Stała się celą śmierci.

# Rozdział 3

Wspomnienie tego wieczoru powracało do Gandalfa w jego najmroczniejszych snach, wyraźniejsze i bardziej bolesne niż jakiekolwiek wspomnienie z pola bitwy. Nie było w nim ognia ani stali, tylko cisza małej hobbickiej nory i ciężar, który zdawał się zakrzywiać samą przestrzeń.

Noc była złowieszczo spokojna. Bag End, zwykle pełne przytulnych szmerów, skrzypienia desek, westchnień wiatru na wzgórzu, cichego mruczenia kota, tym razem zamarło. Nawet ogień w kominku wydawał się płonąć ostrożniej, jego płomienie tańczyły nisko, jakby bojąc się wypowiedzieć na głos to, co niewypowiedziane.

Frodo siedział przy dębowym stole, a jego palce, zwykle zwinne i pewne, teraz drżały. Na jego twarzy malowało się zmęczenie tak głębokie, że zdawało się postarzać go o dziesiątki lat. Oczy, zazwyczaj błyskotliwe i pełne ciekawości, były teraz szeroko otwarte, przepełnione strachem i niezrozumieniem.

Naprzeciw niego siedział Gandalf. Pochylony, milczący, z twarzą ukrytą w cieniu kapelusza. Wyglądał jak granitowy posąg, odlany z troski i wieków. Na stole między nimi, na prostej, lnianej serwetce, leżał on. Pierścień, niewinny, gładki, cicha, nieruchoma kropla zastygłego złota, która wypełniała cały pokój niewidzialnym, duszącym ciężarem. Zdawało się, że pochłania światło,

dźwięk i ostatnią nadzieję.

Frodo podniósł w końcu wzrok. Jego spojrzenie było błagalne, złamane.

— Proszę, zabierz go, Gandalfie.

Jego głos był cichy, niemal niesłyszalny, ale w tej głuchej ciszy zabrzmiał jak krzyk. To nie była prośba, tylko błaganie.

— Ja nie mogę go nieść. On jest... za ciężki. Czuję go, nawet gdy go nie dotykam. Czuję, jak na mnie patrzy.

Jego wzrok, utkwiony w złotym krążku, był jak spojrzenie w otchłań. Nie w otchłań mroku, ale w otchłań możliwości. W wyobraźni widział w jego lśniącej powierzchni odbicia przyszłości, których wolałby nie widzieć, płonące miasta, armie maszerujące pod sztandarem Oka, ale też coś gorszego, wizję siebie samego, dzierżącego ten Pierścień, z twarzą sprawiedliwą, wydającego rozkazy, które miały przynieść pokój Śródziemiu. Każdy cząstka jego istoty, każdy instynkt wyuczony przez tysiąclecia służby, wołał, NIE BIERZ GO! NIE DOTYKAJ! TWOIM ZADANIEM JEST DORADZAĆ, A NIE WŁADAĆ!

Ale w tej małej, cichej norce, w obliczu rozpaczy w oczach tego hobbita, jego mądrość zaczęła pękać. Bo zobaczył inną przyszłość. Frodo, złamany pod ciężarem, którego żaden śmiertelnik nie powinien nosić. Pierścień, który go zdradza, wpadając w ręce sług Nieprzyjaciela. I świat pogrążający się w ciemności, bo on, Gandalf, trzymał się zasad, podczas gdy wróg łamał wszystkie.

„Nie proś mnie o to, Frodo. Nawet nie myśl o tym.” Tak powinien powiedzieć. Tak mówił mu rozum.

Ale głos, który odezwał się w głębi jego duszy, cichy, starożytny, może nawet jego własny, ten, który pamiętał jeszcze Muzykę Ainurów, szeptał coś innego. Coś strasznego i kuszącego.

Tylko ty możesz go ukryć. Nie zniszczyć. Ale ukryć.

Tylko ty możesz zniknąć tak, że nawet Oko cię nie znajdzie.

Tylko ty możesz zaszachować cień.

Gandalf zrozumiał, że stoi na rozdrożu, na którym nie ma już czystych decyzji. Są tylko te mniej splamione. Zostawić Pierścień z Frodem oznaczało skazać go na niemal pewną zgubę. Zabrać go, oznaczało skazać siebie. Spojrzał na Froda. Na jego drżące dłonie, na nadzieję i strach walczące w jego oczach. I podjął decyzję. Decyzję, która miała złamać jego serce i być może uratować, a może zniszczyć świat.

W sercu Gandalfa rozszalała się burza. Był Majarem, nieśmiertelnym duchem, który widział narodziny gwiazd i upadek wielkich królestw. Posiadał mądrość wieków. Ale był też wędrowcem, szarym czarodziejem, który przez stulecia chodził ścieżkami ludzi i hobbitów, ucząc się ich kruchej odwagi, odporności i serdeczności. I to właśnie miłość do nich, do ich niedoskonałego, śmiertelnego świata, czyniła tę decyzję tak rozdzierającą.

Jeśli go przyjmę, myślał, a jego umysł pędził przez niezliczone scenariusze, wezmę na siebie brzemię, którego nie udźwignął żaden mędrzec ani król. Pokusa będzie stała u mego boku w każdej chwili dnia i nocy. Będzie szeptać do mnie moim własnym głosem,

używając mojej własnej mądrości przeciwko mnie. Będzie oferować mi moc, by czynić dobro, by chronić tych, których kocham, a każda taka oferta będzie krokiem w stronę przepaści.

Jego wzrok znów spoczął na Pierścieniu. Był tak mały, tak doskonały. Prawdziwa władza, wiedział to, nie leżała w niszczeniu, ale w tworzeniu. W narzucaniu swojej woli światu. W zaprowadzaniu porządku, który on, Gandalf, uważał za słuszny. I to było najgroźniejsze. Bo w głębi duszy wierzył, że jego porządek byłby lepszy. Sprawiedliwszy. A ta wiara była nasieniem tyranii.

Ale jeśli go zostawię, kontrowała druga myśl, równie silna, oddam świat w ręce potęgi, która nie zna litości. Zostawię ten ciężar na barkach tego dziecka. Frodo jest odważny, ma czyste serce, ale to tylko hobbit. Jak długo jego wola oprze się szeptom? Każdy jego krok będzie śledzony. Każdy przyjaciel będzie potencjalnym zdrajcą. Przecież gego ścieżka będzie prowadzić do Mordoru. To nie jest zadanie dla niego, to wyrok. Spojrzał na postać Froda i zobaczył w nim wszystkich wolnych mieszkańców Śródziemia, ich nadzieje, strach, niewinność skazaną na zderzenie z bezlitosnym złem. Pojął, że nie ma prostych decyzji. Wstał, a jego cień zatańczył na ścianie, rosnąc do nienaturalnych rozmiarów. Frodo wstrzymał oddech, jego oczy rozszerzyły się w mieszaninie lęku i nadziei.

— Nie proś mnie o to — powiedział Gandalf, a jego głos był chrapliwy, jakby wydobywał się z głębokiej studni. — Nie możesz mi go ofiarować.

— Ale ja go nie chcę! — krzyknął Frodo.

— Pragnę go — odparł Gandalf z brutalną szczerością, która wstrząsnęła nimi oboma. — Pragnę go. Przez to właśnie nie

śmiem go przyjąć.

Przez chwilę wydawało się, że odmówi. Że jego mądrość i strach zwyciężą. Ale wtedy jego spojrzenie złagodniało. Zobaczył nie tylko artefakt zła, ale też przyjaciela w agonii. Zrozumiał, że jego plan, wysłanie Froda do Rivendell i tam podjęcie dalszych kroków, był tylko odkładaniem decyzji. Decyzji, którą tylko on mógł podjąć.

Zniszczyć go nie mogę, używać go nie śmiem. Ale ukryć... ukryć tak, by nawet Sauron go nie znalazł... być może to jest trzecia droga. Droga, której nikt się nie spodziewa.

Z ciężkim westchnieniem, które zdawało się nosić w sobie żal wszystkich minionych wieków, sięgnął ręką w stronę stołu. Frodo cofnął się nieznacznie, jakby sama bliskość czarodzieja i Pierścienia była aktem bluźnierstwa. Palce Gandalfa zawisły na moment nad złotym krążkiem. A potem, powoli, podniósł go. Złoto było zimne, cięższe niż powinno. A pod palcami natychmiast poczuł puls. Nie fizyczny, lecz duchowy. Prąd mocy przeszedł przez jego ciało, jakby każda jego cząstka została przeszyta starożytnym światłem i mrokiem naraz. W oczach Gandalfa pojawiła się łza. Jedna, pojedyncza łza, która spłynęła po jego pooranej zmarszczkami twarzy. Nie była to łza żalu. Była to łza poznania.

Bo oto stał się tym, czego zawsze się bał. Kimś, kto wie, że ma władzę absolutną i musi podjąć decyzję, co z nią zrobić. Schował Pierścień do wewnętrznej kieszeni swojej szaty. Materiał zdawał się syczeć w miejscu, gdzie dotknął złota.

— Nie włożę go — powiedział, bardziej do siebie niż do Froda.

— Nie teraz. Może nigdy. Ale muszę go zabrać. Stąd. Ze świata.

W tej samej chwili, daleko na wschodzie, Oko poczuło przesu-

nięcie. Jakby szachownica została wywrócona, piony przestawione, a król nagle zniknął ze wzroku.

Frodo zbladł, patrząc na pusty stół. Ulga, której tak pragnął, nie nadeszła. Zastąpił ją nowy, gorszy lęk. — Ale..., dokąd pójdziesz? Co z nami?

Gandalf spojrzał na niego, w jego oczach malował się ból pożegnania. — Pójdę tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Ani przyjaciel, ani wróg. Gdzie będę mógł zbudować mur między sobą a pokusą. Nie ufam sobie z tym Pierścieniem, Frodo. Ale wiem, że mogę go ukryć, na czas jakiś.

— To znaczy, że zostaniemy sami.

— Nie. — Gandalf położył dłoń na ramieniu hobbita, a jego dotyk był ciepły i uspokajający, ostatni gest starego przyjaciela.

— To oznacza, że wy będziecie musieli stać się tymi, kim byliście przeznaczeni. I to beze mnie.

W tej chwili Frodo zobaczył coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Zobaczył, że Gandalf się boi. Że ta decyzja kosztuje go wszystko.

Następnego ranka Bag End było ciche. Drzwi nie były zamknięte na klucz. W kominku wygasł ogień, pozostawiając po sobie jedynie zapach zimnego popiołu. Na dębowym stole, tam, gdzie jeszcze wczoraj leżał ciężar całego świata, teraz spoczywał tylko jeden przedmiot, mały, szary liść z Lórien, idealnie zachowany, jakby przyniesiony tu z odległej przyszłości lub przeszłości. Był to

jedyny ślad, jedyne, nieme pożegnanie.

Gandalf odszedł bez pożegnania, tylko pozostawił po sobie ciężki cień, namacalną pustka w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj siedział. Frodo stał pośrodku salonu, czując się bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu. Ulga której oczekiwał po pozbyciu się Pierścienia, okazała się ułudą. Zamiast niej przyszła trwoga innego rodzaju, trwoga opuszczenia. Zrozumiał, że nie tylko pozbył się Pierścienia, stracił też pewność i poczucie bezpieczeństwa. Teraz ta odpowiedzialność, choć niewypowiedziana, spadła na niego.

Słowa Gandalfa — będziecie musieli stać się tymi, kim byliście przeznaczeni — odbijały się echem w jego głowie. Co to miało znaczyć? Jakie przeznaczenie miał on, Frodo Baggins z Shire?

Przez kilka dni błąkał się po cichym domu, próbując zrozumieć, co dalej. Świat na zewnątrz wydawał się taki sam, a jednak wszystko było inne. Wiedział, że nie może tu zostać. Czuł że cień sięgał już do Shire, a zniknięcie Gandalfa było anomalią, która z pewnością nie umknie uwadze Nieprzyjaciela. Musiał uciekać, Gandalf chciał wysłać go do Rivendell, ostatniego przyjaznego domu. Miejsca, gdzie mieszkał Bilbo, gdzie mądrość Elronda mogła rzucić światło na tę nową ciemność. Musiał ostrzec innych. Musiał powiedzieć im, co się stało. To był teraz jego ciężar.

Podróżował samotnie, ostrożnie, trzymając się z dala od głównych traktów. Świat poza granicami Shire wydawał mu się groźniejszy i bardziej obcy niż kiedykolwiek. Każdy szelest liści, każdy krzyk ptaka napawał go lękiem. Samotność ciążyła mu niemal tak bardzo, jak wcześniej Pierścień.

Dotarł do Bree. W „Pod Rozbrykanym Kucykiem”, gdy siedział w kącie, próbując pozostać niewidocznym, podszedł do niego

mężczyzna. Był wysoki, ubrany w znoszone, podróżne odzienie. Twarz miał surową, przystojną, pooraną zmarszczkami, w jego szarych oczach płonęło światło mądrości i siły. Przedstawił się jako Obieżyświat. Początkowo Frodo był nieufny. Ale w głosie nieznajomego i w jego spojrzeniu było coś, co budziło zaufanie. Obieżyświat mówił mało, jego słowa były precyzyjne. Wiedział o rzeczach, o których nie powinien wiedzieć. Znał imię Froda i nawet znał Gandalfa, jakby czekał na niego. Zaoferował swoją pomoc, w drodze do Rivendell.

W towarzystwie milczącego strażnika strach nie zniknął, ale stał się znośniejszy. Obieżyświat był jak tarcza przeciwko cieniom, które zdawały się unikać jego obecności. Nauczył Froda, jak czytać ślady, jak rozpalać bezdymny ogień, jak przetrwać w dziczy.

Co ważniejsze, rozmawiali, spędzając długie wieczory, przy małych, ukrytych w zagłębieniach ogniskach, Frodo opowiadał o ciężarze Pierścienia, a Obieżyświat słuchał ze zrozumieniem, jakiego hobbit nie znalazł u nikogo innego, może poza Gandalfem. Strażnik dzielił się swoją wiedzą o świecie, o starożytnych królestwach, o wojnie, która nigdy tak naprawdę nie skończyła się.

W trakcie tej podróży zrodziła się między nimi głęboka więź. Partnerstwo wykute w niebezpieczeństwie i wspólnej odpowiedzialności. Stali się nierozłączni, na tyle na ile mogli. Hobbit, który niósł wieść o stracie, i strażnik, który od dawna niósł ciężar utraconego dziedzictwa.

Gdy w końcu, po tygodniach podróży, dotarli bezpiecznie do ukrytej doliny Rivendell, Frodo nie był już tym samym hobbitem, który opuścił Bag End. Był twardszy, mądrzejszy i choć wciąż pełen obaw, nie był już sam. Spojrzał na Obieżyświata, który stał

obok niego, wpatrzony w światła ostatniego przyjaznego domu, i zrozumiał pierwszą część przepowiedni Gandalfa. Być może nie wiedział jeszcze, kim ma się stać, ale wiedział, że nie będzie musiał stawać się nim w pojedynkę.

Gandalf, nie oglądając się za siebie, opuścił Shire, a każdy jego krok był ciężki, jakby niósł na barkach nie tylko mały, złoty krążek, ale całą żałobę świata, który właśnie postanowił oszukać. Zostawił Froda śpiącego, nieświadomego, z jednym tylko magicznym liściem jako niemym pożegnaniem. Wiedział, że hobbit będzie bezpieczny, przynajmniej na razie. Oko Saurona, jeśli już dostrzegło anomalię, będzie szukać jego, a nie małego niziołka.

Plan był prosty i rozpaczliwy, zniknąć. Jego droga prowadziła na wschód, ku dzikim ostępom. Wiedział, że musi dotrzeć do Bree, zanim skręci na północ, w bezdroża, które znał tylko on i nieliczni Strażnicy. Bree było niebezpiecznym punktem na mapie, miejscem, gdzie spotykały się różne ścieżki i gdzie szept mógł łatwo dotrzeć do niepowołanych uszu. Ale miał tam do załatwienia jedną, ostatnią sprawę. Musiał kogoś ostrzec.

„Pod Rozbrykanym Kucykiem" panował gwar. Gandalf, pochylony, wszedł do środka i zajął miejsce w najciemniejszym kącie, z dala od ciekawskich spojrzeń. Zamówił kufel miodu, którego prawie nie tknął, i czekał, a jego umysł był tarczą, odbijającą wszelkie próby odczytania jego myśli. Nie czekał długo. Z cienia kilka stołów dalej wyłoniła się postać. Wysoki, mężczyzna z kapturem nasuniętym głęboko na twarz. Usiadł naprzeciwko Gandalfa bez słowa.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.

— Późno przychodzisz, czarodzieju — odezwał się cicho nieznajomy, a jego głos był głęboki i spokojny.

— Droga była dłuższa niż sądziłem — odparł Gandalf, a na jego twarzy po raz pierwszy od wielu dni pojawił się cień uśmiechu. — Dobrze cię widzieć, Aragornie.

Aragorn uniósł głowę, a w jego szarych oczach błysnęło zdziwienie i troska. — Wyglądasz... inaczej. Jesteś zmęczony. Coś się stało. Czekałem na wieści od ciebie i hobbita. Czy jest bezpieczny?

Gandalf skinął głową.

— Frodo jest bezpieczny. Ale sprawy przybrały gorszy obrót, niż ktokolwiek z nas mógł przypuszczać.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, a jego ręka zawisła na moment, jakby dotykał rany. Aragorn, którego zmysły Strażnika były wyostrzone, poczuł chłód w powietrzu. Coś niewidzialnego, ale potężnego, znajdowało się w tej karczmie, w zasięgu jego ręki. Jego dłoń instynktownie powędrowała ku rękojeści miecza.

— Nie — powiedział cicho Gandalf, dostrzegając jego gest. — Nie rób tego. Jest ze mną.

Aragorn zbladł. Zrozumiał. Nie musiał pytać, co Gandalf ma na myśli. Niedowierzanie i groza malowały się na jego twarzy.

— Na Eru... Gandalfie, co ty zrobiłeś?

— Zrobiłem to, co musiałem. To jedyna droga. Ale nie ma czasu na wyjaśnienia. — Gandalf pochylił się, a jego głos był teraz natarczywym szeptem. — Przyszedłem cię ostrzec. Oni już tu są. Wysłannicy Mordoru. Dziewięciu. Nazgûle przemierzają te ziemie,

szukając Shire, szukając Bagginsa.

— Czarni jeźdźcy... — wyszeptał Aragorn.

— Czułem wcześniej ich obecność. Myślałem, że tropią mnie.

— Ciebie też. Ale ich głównym celem jest Pierścień. A teraz, gdy jest ze mną, skupią się na mnie. Muszę zniknąć. Ty musisz chronić hobbita. Musisz doprowadzić Froda do Rivendell, będzie tutaj niedługo. Niech świat myśli, że Pierścień jest z nim. Niech tak pozostanie. To jego jedyna tarcza.

Aragorn patrzył na starego przyjaciela, a w jego oczach mieszał się podziw dla jego odwagi i przerażenie jego decyzją.

— Ty bierzesz na siebie cały ciężar. Niesiesz ogień, a nas zostawiasz w cieniu.

— Taki musi być podział ról, przynajmniej na razie — odparł Gandalf. Jego twarz była surowa. — Nie szukaj mnie. Nie próbuj mnie odnaleźć. Jeśli los będzie łaskaw, spotkamy się ponownie. Jeśli nie... wiesz, co masz robić, dziedzicu Isildura.

Wstał, a jego postać znów zdawała się wypełniać cały kąt karczmy. Położył na moment dłoń na ramieniu Aragorna. Był to gest pożegnania, ale i przekazania pałeczki.

— Uważaj na siebie, stary przyjacielu. Cienie, z którymi przyjdzie ci walczyć, są niczym w porównaniu z cieniem, który noszę w sobie.

Odwrócił się i wyszedł w noc, znikając w mroku tak cicho, jak się pojawił. Aragorn został sam, z kuflem nietkniętego miodu i ciężarem wiedzy, która mogłaby złamać serca królów. Wiedział, że gra się rozpoczęła, a on, Gandalf, właśnie poświęcił swoją wieże, by uratować resztę figur.

Po opuszczeniu Bree, Gandalf skierował swoje kroki ku Wichrowemu Czubowi. Amon Sûl, ruiny dawnej wieży strażniczej, oferowały strategiczny widok i cień starożytnych kamieni, które zdawały się pamiętać czasy, gdy świat był młodszy i czystszy. Postanowił tam przenocować, by w samotności zebrać myśli.

Gdy noc spowiła wzgórze całunem bezgwiezdnego mroku, nadeszła nienaturalna cisza. Wiatr ucichł, a jedynym dźwiękiem był ledwo słyszalny oddech czarodzieja, ukrytego w ruinach. Wtedy przybyli. Z perspektywy śmiertelnika, pojawili się jak cienie zrodzone z ciemności. W świecie duchów, w którym tkwili, ich przybycie było inne. Pędzili przez krajobraz jako smugi rozpaczy, niewidzialne i nieme. Zatrzymali się gwałtownie, przyciągnięci sygnałem tak potężnym i nieodpartym, że wstrząsnął ich nie-istnieniem. Wróg, nie widzieli go fizycznie, ale w ich widmowym postrzeganiu jaśniał na szczycie wzgórza jak małe zamglone słońce. Musieli tam iść. Rozpoznali je natychmiast, to światło. Nie zwykłe, ale coś starego, czystego. Płomień Anoru. Mithrandir. W ich upiornych umysłach, które były jedynie echem dawnych ludzkich myśli, pojawiło się wahanie. To nie był zwykły strażnik czy elficki wojownik. To był Majar, istota z tej samej gliny, co ich Pan. Pamiętali rozkazy, unikać otwartej konfrontacji, jeśli to możliwe. Jego moc była inna niż ich, trudna do zwalczenia.

Jednak presja była silniejsza. Czuli wolę samego Saurona, napierającą na nich z Mordoru, palący, bezsłowny rozkaz, Pierścień może być z Mithrandirem i niziołkami. Wódz Nazgûli, Król-Czarnoksiężnik z Angmaru, odwrócił swoją niewidzialną twarz ku po-

zostałym. Nie było słów, jedynie wymiana myśli, przesyconych strachem i obowiązkiem. Dylemat był jasny, gniew Saurona za nieposłuszeństwo był pewny i wieczny. Gniew Gandalfa był opcją. Wybór, choć ciężki, był prosty. Otoczyli ruiny, zamykając krąg. Gandalf wstał, a koniec jego laski zapłonął białym światłem, Glamdring jaśniał w drugiej dłoni. Wiedział, że walka jest nieunikniona.

— Poddaj się, sługo Valarów — syknął Władca Morgulu, a jego głos był echem grobowej ciszy.

Dla Gandalfa była to próba woli. Dla Nazgûli była to desperacka misja. Zaatakowali. Ich blade miecze lśniły w mroku, a ich ruchy były koszmarną mieszanką królewskiej gracji i upiornej szybkości. Błyskawice rozświetlały ruiny, a krzyki Nazgûli, pełne bólu istnienia, raniły uszy i noc. Gandalf walczył dzielnie, jego miecz, laska i zaklęcia tworzyły tarczę światła. Czuł ich rozpacz. Czuł presję Saurona, która ich napędzała, czyniąc ich bardziej zdeterminowanymi, bardziej bezwzględnymi niż kiedykolwiek.

Poczuł też drugi atak, pierścień w jego kieszeni poruszył się, pulsując w rytm toczonej walki. Był jak trzecia strona tego konfliktu, kusząca go obietnicą łatwego zwycięstwa. Użyj mnie! — szeptał w jego duszy. Oni są tylko cieniami. Ty i ja jesteśmy ogniem! Spal ich! Zakończ to!

Jeden z Nazgûli przełamał jego obronę, a jego ostrze zostawiło na boku płaszcza czarodzieja ślad czarnego lodu, który palił zimnem. Gandalf cofnął się, dyszał, pokusa była niemal nie do odparcia. Była tak łatwa, jeden gest i ból by się skończył. Walka na szczycie Amon Sûl nie była starciem równych sił. Była obroną. Oblężenie jednej, samotnej iskry światła przez napierający,

wszechogarniający mrok.

Gandalf nie atakował w tradycyjnym sensie. Każdy jego ruch był odpowiedzią, desperacką paradą lub rozpaczliwym odparciem. Jego laska, żarząca się białym światłem, była niczym tarcza, miecz ciążył. Wirował pośród ruin, a jego szary płaszcz powiewał jak flaga na wietrze, ostatni bastion nadziei w morzu nicości. Jego zaklęcia nie były ognistymi kulami ani błyskawicami zniszczenia. Były to słowa ochrony, bariery świetlne, fale czystej woli, które na moment odpychały napierające cienie.

Nazgûle, napędzane presją Saurona, atakowały ze zdwojoną siłą. Ich blade i wąskie miecze cięły powietrze z sykiem, nie celując tylko w ciało Gandalfa, ale w jego ducha. Każdy cios, nawet zablokowany, niósł ze sobą chłód grobu i ciężar rozpaczy. Czuli jego obronę, czuli, że się waha, że nie używa pełni swojej mocy. I to czyniło ich jeszcze śmielszymi.

— Twoje światło gaśnie, Mithrandirze! — syczał głos Króla-Czarnoksiężnika, gdy jego miecz zderzył się z laską Gandalfa w deszczu białych iskier. — Walczysz jak starzec broniący gasnącej świecy!

Gandalf nie odpowiadał. Cała jego koncentracja była skupiona na dwóch frontach. Zewnętrzny front był walką z pięcioma nieśmiertelnymi widmami. Ale wewnętrzny był o wiele trudniejszy.

W jego kieszeni Pierścień był jak rozżarzony węgiel. Nie tylko kusił, ale i rezonował z mocą Nazgûli, wzmacniając ich, jednocześnie oferując Gandalfowi antidotum. To bezcelowe, szeptał w jego umyśle. Bronisz się resztkami sił. Oni są wieczni, nie męczą się, nie czują bólu. A ty? Jesteś tylko jednym, starym ciałem. Już czujesz zmęczenie. Już czujesz, jak twoja moc słabnie.

To była prawda. Czuł to. Każde sparowane uderzenie kosztowało go więcej sił niż poprzednie. Światło jego laski zaczęło przygasać, stawało się słabsze. Chłód Nazgûli przenikał jego obronę, sięgając aż do kości. Jeden z nich zaszedł go od tyłu, a jego ostrze zostawiło na plecach czarodzieja długą ranę, która paliła mrozem. Gandalf krzyknął z bólu i zaskoczenia, potykając się. Upadł na jedno kolano. To był moment, na który czekali. Pięć czarnych postaci zacieśniło krąg, unosząc miecze do ostatecznego ciosu.

TERAZ! — wrzasnął głos w jego duszy, już nie szept, ale ogłuszający ryk. SIĘGNIJ PO MNIE! Zniszcz ich! Pokaż im, czym jest prawdziwa władza! Nie ma innego wyjścia! To jest przetrwanie!

Zobaczył siebie, wkładającego Pierścień na palec. Czuł falę mocy, która wypełnia jego żyły, odnawia jego siły, czyni go bogiem. Zobaczył, jak podnosi rękę, a Nazgûle rozpadają się w proch. Zwycięstwo było absolutne, ostateczne, łatwe.

Ręka Gandalfa sama, niemal bez jego woli, zaczęła wędrować w stronę kieszeni. Jego palce musnęły zimne złoto.

— Tak... — mruknął Pierścień z satysfakcją. — ŻYJ.

Ręka Gandalfa, działając szybciej niż jego świadoma myśl, zanurzyła się w kieszeni. Palce zacisnęły się na gładkim, zimnym metalu. Nie było już wahania. Nie było walki. Była tylko potrzeba. Wyciągnął Pierścień. I wsunął go na palec. Świat zawirował. Nie było dźwięku. Była to implozja ciszy. Dla Gandalfa wszystko zwolniło, rozmyło się, a potem wyostrzyło z nadnaturalną klarownością. Materialny świat zniknął, a on znalazł się w królestwie cieni, w tym samym wymiarze, w którym istniały Nazgûle. Nie był tam gościem, był władcą. Zobaczył ich po raz pierwszy takimi, jacy byli naprawdę. Nie jako czarne płaszcze, ale jako blade, udręczo-

ne widma królów, ich twarze wykrzywione w wiecznej agonii, ich oczy płonące pustką. A oni zobaczyli jego. Nie zobaczyli Gandalfa Szarego. Zobaczyli płonącą, jaśniejącą postać, istotę ze światła i ognia, której moc była dla nich jak słońce dla ciem. W ich oczach, które nie widziały niczego od tysięcy lat, pojawiło się coś nowego. Czyste, absolutne przerażenie.

Gandalf, a raczej istota, którą się stał, uniósł rękę. Nie wypowiedział żadnego zaklęcia. On po prostu... zechciał. Moc, która w nim wezbrała, była jak ocean zamknięty w kropli wody. To nie była magia, którą znał. To była pierwotna, surowa siła tworzenia i niszczenia. Uderzyła w najbliższe dwa Nazgûle jak niewidzialny taran.

Ich reakcja była natychmiastowa i ostateczna. Ich widmowe formy, utrzymywane przez wolę Saurona, po prostu nie mogły istnieć w obecności tak skoncentrowanej, czystej energii. Rozpadły się. Nie w proch, nie w dym. Zostały wymazane z istnienia. Ich esencje, ich imiona, ich pamięć, wszystko zostało rozerwane i unicestwione, na zawsze utracone w pustce, z której nie było powrotu.

Pozostałe Nazgûle zawyły. Był to skowyt śmiertelnie rannego zwierzęcia. Groza, którą poczuły, była silniejsza niż wola ich Pana. Odwróciły się i uciekły, dematerializując się w panice, rozpływając się w nocy jak strzępy koszmaru.

Gandalf stał samotnie na szczycie Wichrowego Czuba. Świat cieni zniknął, a on znów znalazł się w ruinach, pod bezgwiezdnym niebem. Spojrzał na swoją dłoń. Na palcu lśniło złoto, pulsując cichym, zadowolonym blaskiem. A potem dotarło do niego, co zrobił. To nie była jego moc. Zaledwie musnął jej powierzchni, a zniszczył dwie nieśmiertelne istoty. Nie pokonał ich. Unicestwił, wymazał,

taka władza nie należała do nikogo w Śródziemiu. Należała do bogów. Teraz była jego.

Z krzykiem, który był mieszaniną bólu, strachu i wstrętu do samego siebie, zerwał Pierścień z palca. Złoto zapłonęło na moment, parząc jego skórę, jakby protestowało przeciwko rozłące. Rzucił go na ziemię, jakby to był jadowity wąż.

Upadł na kolana, dysząc ciężko, drżąc na całym ciele. Spojrzał w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stały dwa Nazgûle. Nie było nic. Nawet ich rozpacz nie pozostawiła echa. Zrozumiał, że przegrał. Wygrał bitwę, ale przegrał wojnę, którą toczył w swojej duszy. Granica została przekroczona. Okłamał sam siebie. Nie był w stanie oprzeć się pokusie. Nie czekając na świt, nie opatrując ran, chwycił swoją laskę i Pierścień z ziemi, chowając go głęboko, jak wstydliwą tajemnicę. Zaczął uciekać. Uciekał nie przed sługami Mordoru. Uciekał przed samym sobą. Przed potęgą, której właśnie posmakował, i przed przerażającą myślą, że w chwili próby... spodobała mu się.

W momencie, gdy dusze Nazgûli zostały rozerwane i wymazane z istnienia na szczycie Amon Sûl, przez Śródziemie przetoczyła się niewidzialna fala uderzeniowa. Nie była to fala dźwięku, ale wstrząs w samej tkaninie świata duchów, echo krzyku tak pierwotnego i ostatecznego, że odczuły go wszystkie istoty wrażliwe na magię, a nawet te, które nie były.

Na wschód od Starego Lasu, w starożytnych Kurhanach, złowroga mgła, która od wieków spowijała te wzgórza, nagle zadrża-

ła i zaczęła się rozwiewać. Wewnątrz kamiennych grobowców, upiory, złe duchy wysłane tam dawno temu przez Króla-Czarnoksiężnika z Angmaru, poczuły echo unicestwienia lepszych od siebie. Fala mocy, która zniszczyła Nazgûle, nie była skierowana w ich stronę, ale jej rezonans uderzył w ich własne, słabsze istnienie. Więzy, które trzymały ich przy tych grobowcach, pękły. Ich nienawiść i wola czynienia zła, która była tylko bladym odbiciem woli Nazgûli, zgasła. Zostały zredukowane do bezsilnych, szepczących wspomnień, które powoli rozpłynęły się w nocy, uwalniając Kurhany od ich klątwy po raz pierwszy od tysięcy lat.

W ukrytej dolinie Rivendell, chronionej przez potężne zaklęcia Elronda, echo tego wydarzenia było odczuwalne. Elfy, przechadzające się w świetle gwiazd, zatrzymały się, a ich pieśni zamarły im na ustach. Z dalekiego zachodu, odbijając się wielokrotnie od ścian doliny, dotarł do nich mentalny krzyk, nie jeden, a dwa, pełne rozpaczy. Elrond wstał gwałtownie w swojej bibliotece.

— Mithrandir... — wyszeptał w ciszy.

Najsilniej jednak ten wstrząs odczuto w Mordorze. W najwyższej komnacie Barad-dûr, Sauron nagle stracił połączenie z dwoma ze swoich najpotężniejszych sług. Pustka, która po nich pozostała, była bolesna i szokująca. Chwilę później poczuł, jak gasną również mniejsze ogniki jego woli, duchy z Kurhanów. Przez moment w jego bezcielesnej istocie wezbrała fala czystej furii. Takie straty zawsze są dotkliwe. Ale zaraz potem furia ustąpiła miejsca czemuś innemu. Zimnej, wyrachowanej satysfakcji.

Nie wydał z siebie dźwięku. Zamiast tego, w mroku swojej twierdzy, Sauron... westchnął. Było to westchnienie gracza, który stracił kilka ważnych figur, ale zobaczył, że jego przeciwnik wpadł

w o wiele gorszą pułapkę. Gandalf użył Pierścienia. Nie tylko go nosił. On go użył. Sięgnął po jego moc świadomie, by niszczyć. Zrobił pierwszy, nieodwracalny krok na ścieżce, którą Sauron znał tak dobrze. Smak tej mocy, raz poznany, nigdy nie zostaje zapomniany. Strach, który teraz czuł Gandalf, jego poczucie winy, jego rozpacz, wszystko to były tylko kolejne etapy. Były to pęknięcia w jego duszy, przez które Sauron zamierzał wlewać swoją wolę.

Utrata Nazgûli i upiórów była stratą taktyczną. Ale zysk strategiczny był nieskończenie większy. Gandalf złamał swoją najważniejszą zasadę. Udowodnił, że nie jest w stanie się oprzeć. A to oznaczało, że jego ostateczny upadek był już tylko kwestią czasu.

— Tak... — szepnął Sauron do samego siebie, a jego głos był jak tarcie kamienia o kamień. — Bój się, Mithrandirze. Uciekaj. Wątp w siebie. Każdy twój krok w stronę światła będzie teraz tylko głębszym zanurzeniem w moim cieniu.

Czekał na więcej błędów. I wiedział, że się ich doczeka. Gra weszła w nową, ekscytującą fazę. A na Wichrowym Czubie, Pierścień, leżący w kieszeni uciekającego czarodzieja, był cichy i spokojny. Wykonał swoje zadanie. Zasiał ziarno. Teraz wystarczyło tylko poczekać, aż wyda owoce.

# Rozdział 4

W Rivendell czas wydawał się upływać w inny sposób. Szmer liści w dolinie przypominał szept dawno zapomnianych melodii, a blask jesiennego słońca, przenikając przez złote i czerwone korony drzew, malował na kamiennych posadzkach obrazy ładu. Lecz pod tą powierzchnią krył się niepokój, zimny nurt płynący z otaczającego świata.

— Mój drogi chłopcze! A jednak dotarłeś! Siadaj, siadaj! Opowiadaj! Co tam słychać w starym Shire? Czy Gamgee wciąż narzeka na moje grządki?

Frodo usiadł, a ciężar ostatnich tygodni na chwilę z niego opadł. W obecności Bilba, w bezpiecznej dolinie Rivendell, trudy podróży zdawały się odległe. Ale gdy Bilbo zapytał o cel jego przybycia, uśmiech zniknął z twarzy Froda. — Chodzi o Pierścień, Bilbo.

Stary hobbit zamilkł. Jego palce, które przed chwilą bębniły wesoło o poręcz fotela, znieruchomiały. Spojrzał na Froda, a w jego oczach pojawił się cień, wspomnienie dawnego ciężaru.

— A więc jednak. Wiedziałem. Wiedziałem, że pewnego dnia znów da o sobie znać. Gdzie on jest? Pokaż mi go. Chciałbym go zobaczyć, tylko na chwilę.

Frodo pokręcił głową. — Nie mam go, Bilbo.

Bilbo zamrugał, a cień w jego oczach ustąpił miejsca zdumieniu.

— Nie masz go? Co to znaczy? Zniszczyłeś go?

— Nie, chociaż chciałbym — Frodo wziął głęboki oddech, jakby same słowa były ciężkie. — Gandalf go zabrał.

Cisza, jaka zapadła w pokoju, była inna niż wszystkie, które Frodo znał. Jakby główny aktor dramatu nagle opuścił scenę, pozostawiając wszystkich w niepewności, co dalej.

— Gandalf... — powtórzył wolno Bilbo, próbując zrozumieć. — Nasz stary, dobry Gandalf. Zabrał go. Cóż, to chyba dobrze, prawda? On będzie wiedział, co z nim zrobić. Jest mądry. Zawsze był.

— Mam nadzieję, Bilbo. Naprawdę mam taką nadzieję. — ale w głosie Froda brakowało przekonania.

Przez resztę popołudnia nie rozmawiali już o Pierścieniu. Jakby na mocy cichej umowy, odsunęli ten temat na bok. Zamiast tego, wrócili do wspomnień. Bilbo opowiadał o swoich podróżach, o spotkaniu ze smokiem, o górach i elfach, a jego opowieści, które Frodo znał na pamięć, brzmiały teraz inaczej. Były jak echa z innego, prostszego świata. Świata, w którym przygody miały wyraźny początek i koniec, a zło, choć straszne, było czymś, co można było pokonać sprytem i odwagą.Frodo słuchał, serce napełniała nostalgia. Tęsknił za tamtym światem. Tęsknił za czasami, gdy największym zmartwieniem było uniknięcie wścibskich Sackville-Bagginsów.

— To były dobre czasy, prawda? — zapytał cicho Bilbo, patrząc w dal, jakby widział tam Samotną Górę. — Wszystko wydawało się wtedy możliwe.

— Tak, były — odparł Frodo.

Pierścień został wyjęty z równania, przynajmniej na razie. Zniknął z ich życia, a wraz z nim jego bezpośredni, toksyczny wpływ. Ale pustka, którą po sobie zostawił, była równie niepokojąca. Pustka pełna pytań, na które żaden z nich nie znał odpowiedzi. Obaj mieli cichą nadzieję, że tak już pozostanie. Że opowieść o Pierścieniu dobiegła końca, a oni będą mogli żyć dalej, w spokoju. Ale w głębi duszy, obaj wiedzieli, że to tylko złudzenie. Cisza była tylko wstępem. A kurtyna miała dopiero opaść przed kolejnym, być może mroczniejszym aktem tej historii.

Boromir, syn Denethora, Namiestnika Gondoru, przybył do Rivendell po długiej podróży, gnany przez proroczy sen i ciężar odpowiedzialności za swoje miasto. Był ucieleśnieniem siły i dumy Gondoru. Wysoki, barczysty, z twarzą szlachetną, choć naznaczoną troską o nieustanną walką na granicach Mordoru. W jego oczach płonął ogień silnej woli. Czuł się tu jednak nieswojo. Powietrze Rivendell było dla niego zbyt lekkie, pieśni elfów zbyt melancholijne, a spokój doliny zdawał się kpić z zagrożenia, które codziennie widział na własne oczy.

Pewnego wieczoru, szukając wytchnienia od elfickiej gracji, przechadzał się po jednym z zewnętrznych tarasów, skąd widać było góry spowite nisko zawieszonymi chmurami. To tam go zobaczył. Mężczyzna siedział samotnie na kamiennej ławie, wpatrzony w zachodzące słońce. Był ubrany jak zwykły wędrowiec, buty miał czyste, ale widać było na nich ślady wielu dróg. W jego postawie było coś, co przykuło uwagę Boromira. Była to cicha godność,

spokój, który nie rodził się z ignorancji, ale z głębokiego zrozumienia świata. Mężczyzna palił fajkę, a smużka dymu unosiła się w chłodnym powietrzu.

Boromir podszedł bliżej, kierowany ciekawością.

— Dobry wieczór — powiedział, a jego głos, nawykły do wydawania rozkazów na polu bitwy, zabrzmiał w tej ciszy nieco zbyt donośnie.

Mężczyzna odwrócił głowę. — I dla ciebie, Kapitanie Gondoru — odparł, a jego głos był spokojny i głęboki.

Boromir uniósł brwi ze zdziwienia. — Znasz mnie?

— Twoja twarz nosi znamię Białego Miasta. Widziałem je u wielu dobrych ludzi — odpowiedział nieznajomy, zaciągając się dymem. — Jestem podróżnikiem. Nazywają mnie Obieżyświatem.

Boromir usiadł obok niego, czując dziwną, niewytłumaczalną potrzebę rozmowy.

— Przybyłem tu szukać odpowiedzi. Mój kraj krwawi. Każdego dnia odpieramy ataki z Mordoru. Trzymamy straż, podczas gdy reszta świata zdaje się spać.

— Nie wszyscy śpią — odparł cicho Obieżyświat. — Są tacy, co czuwają w dziczy. Strażnicy, którzy nie zapomnieli o dawnych paktach.

W jego głosie było coś, co sprawiło, że Boromir spojrzał na niego uważniej. To nie był zwykły wędrowiec. Mimo prostego stroju, jego postawa i sposób mówienia zdradzały dostojeństwo. Była w nim siła, ale ukryta, jak siła starego dębu, który przetrwał setki zim.

— Dawne pakty... — mruknął Boromir, bardziej do siebie niż do rozmówcy. — Opowiadano mi o nich. O królach, którzy niegdyś rządzili. O dniach, gdy Gondor był silny, a jego władza sięgała daleko. Ale ci królowie odeszli. Zostali tylko namiestnicy, którzy próbują utrzymać to, co się rozpada.

— Pamięć o nich wciąż trwa — odpowiedział Obieżyświat, a jego wzrok zdawał się sięgać daleko, ku ruinom dawnych królestw północy.

— Drzewo może uschnąć, ale jego korzenie wciąż tkwią głęboko w ziemi. A z korzeni może wyrosnąć nowy pęd, jeśli tylko nadejdzie wiosna.

Boromir zaśmiał się gorzko. — Wiosna? Przyjacielu, nadchodzi zima, która może trwać wiecznie. Potrzebujemy siły, mieczy, wodza. Nie opowieści o minionej chwale. Gondor potrzebuje króla, ale ród królów przepadł.

Obieżyświat zamilkł. Wypuścił z ust krąg dymu, który powoli rozpłynął się w wieczornym powietrzu.

— Żaden ród nie przepada, dopóki choć jeden jego potomek nosi w sercu jego dziedzictwo. Król powróci, gdy nadejdzie jego godzina.

— A jeśli ta godzina już nadeszła i minęła? — zapytał Boromir, a w jego głosie pobrzmiewała rozpacz. — Jeśli jesteśmy już sami?

Obieżyświat odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. I w tym momencie Boromir zobaczył w nich coś więcej niż tylko mądrość podróżnika. Zobaczył w nich cień tysięcy lat, ciężar odpowiedzialności i przebłysk ognia, który zdawał się płonąć wbrew wszelkiej nadziei.

— Nikt, kto walczy o swój dom, nie jest sam, synu Denethora — powiedział cicho. — Nawet jeśli myśli, że wszyscy go opuścili.

Siedzieli w milczeniu, gdy ostatnie promienie słońca zniknęły za górami. Boromir nie wiedział, kim jest ten tajemniczy Obieżyświat. Ale czuł, że spotkał kogoś, kto rozumie ciężar, jaki nosi. I po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł, że w tej walce o przyszłość Gondoru, być może, naprawdę nie jest sam.

Sala Elronda, skąpana w łagodnym, jesiennym świetle, nigdy wcześniej nie gościła tak ciężkiej ciszy. Zgromadzili się tam przedstawiciele wszystkich wolnych ludów. Nie było tylko Pierścienia, który skupiałby na sobie wszystkie spojrzenia, była pustka. Elrond powstał, a jego głos, spokojny i czysty, niósł w sobie jednak nutę głębokiej zadumy.

— Zwołałem was, przyjaciele, w godzinie próby, która jest inna, niż ktokolwiek z nas mógł przewidzieć. Gandalf Szary, nasz przyjaciel, zabrał Jedyny Pierścień. I zniknął.

Szmer pełen niedowierzania przeszedł przez salę, ale uciszył je głos Boromira. Wstał, a jego potężna postać zdawała się wypełniać przestrzeń.

— Zniknięcie czarodzieja to jedno. Ale są inne, bardziej namacalne groźby. W drodze do Rivendell widziałem mrok gromadzący się wokół Orthanku. To nie był cień z Mordoru. Był gęsty, pełen zdrady i dymu. Lasy umierają, a dzikie plemiona ludzi zbroją się pod nowym sztandarem, białej dłoni. Saruman nas zdradził.

— To prawda — potwierdził ponuro Elrond. — Ale to nie wszystko. Kilka nocy temu, echo niewyobrażalnego krzyku dotarło do tej doliny. Krzyk istot, które nie powinny ginąć. Dwóch z Dziewięciu zostało... unicestwionych.

Zapadła grobowa cisza. Wszyscy zrozumieli implikacje. Tylko moc Pierścienia mogła dokonać takiego czynu.

— Nie wiemy, jak do tego doszło — kontynuował Elrond. — Nie wiemy, czy Gandalf użył go w akcie desperackiej obrony, czy też... świadomie sięgnął po jego moc. Stoimy w obliczu potrójnej groźby, Saurona, Sarumana i potęgi, którą dzierży nasz przyjaciel.

Aragorn wstał, jego głos był cichy, ale przyciągał uwagę wszystkich. — Nie możemy walczyć na trzech frontach. Sauron jest zbyt odległy, a Gandalf... jest niewiadomą. Ale Saruman jest celem, który możemy dosięgnąć. Jego zdrada jest raną, która ropieje w sercu Zachodu. Jeśli jej nie oczyścimy, zgnilizna rozprzestrzeni się na Rohan, a potem na Gondor. Musimy uderzyć na Isengard.

— Zgadzam się — rzekł twardo Boromir. — Ale jak mamy to zrobić? Rohan, nasz najbliższy sojusznik, milczy. Król Théoden jest jakby w letargu, a jego umysłem kieruje doradca, Gríma. Podejrzewam, że to sługa Sarumana.

— Zatem nasz pierwszy ruch jest jasny — powiedział Elrond, a jego wzrok spoczął na Aragornie. — Zanim jakakolwiek armia wyruszy przeciw Orthankowi, musimy obudzić Rohan. Musimy otworzyć oczy króla Théodena i przeciąć nić, którą pociąga Saruman. Potrzebna jest szybka i dyskretna misja, na pewno będzie niebezpieczna.

Spojrzał na Aragorna, który powoli skinął głową, akceptując niewypowiedziane zadanie.

— Pójdę.

— Nie pójdziesz sam — odezwał się Legolas, a jego oczy elfa błysnęły determinacją. — Mój łuk będzie ci służył.

Gimli, syn Gloina, uderzył pięścią w stół.

— Skoro idzie elf, to musi iść i krasnolud, by pilnować, żeby nie narobił głupstw! Mój topór jest gotów!

Aragorn uśmiechnął się lekko.

— I Gondor nie pozostanie w tyle — dodał z mocą Boromir. — Ta sprawa dotyczy nas wszystkich. Mój róg wezwie ludzi, gdy nadejdzie czas. Do tego momentu, mój miecz będzie strzegł tej misji.

— Czterech, to dobra liczba. Strażnik, kapitan, elf i krasnolud. Wystarczająco, by dotrzeć niepostrzeżenie.

— I hobbit — odezwał się niespodziewanie Frodo. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Wstał, a jego głos, choć cichy, był pozbawiony drżenia. — Ludzie i elfy nie traktują nas poważnie. Nikt nie będzie się obawiał małego hobbita. A właśnie to może uczynić mnie użytecznym. Mogę słuchać, mogę pozostać niezauważony. Gandalf mi ufał. Chcę pomóc dokończyć to, co zostało przerwane.

Elrond uniósł brwi, zaskoczony odwagą i mądrością w słowach Froda. Spojrzał na niego, jakby widział w nim kogoś więcej niż tylko posłańca.

— Mądrze mówisz, Frodo, synu Droga. Twój udział może okazać się cenniejszy niż sądzisz.

I tak, decyzja została podjęta. Podczas gdy Elrond miał wysłać posłów do Lórien i Gondoru, by budować większy sojusz, mała, niezwykła drużyna miała wyruszyć w tajemnicy. Pięciu sojusz-

nikow, z różnych ras, zjednoczonych wspólnym celem. Ich misja, udać się do Edoras, stolicy Rohanu. Przeniknąć na dwór królewski, zdemaskować Grímę Smoczego Języka i wyrwać króla Théodena z zatrutego snu, w który pogrążył go Saruman. Narada dobiegła końca, ale nie w atmosferze rozpaczy. Zrodziła się z niej nowa wspólnota, plan i nadzieja. Pierwszy krok w wojnie na trzy fronty nie miał być uderzeniem wielkiej armii, ale cichą misją pięciu towarzyszy.

Cisza, która zapadła po słowach Elronda, była cięższa niż jakikolwiek kamień. Myśl, że Gandalf, ich przewodnik i przyjaciel, mógł stać się zagrożeniem, była dla wielu niemal bluźnierstwem. To Frodo, ku zdziwieniu wszystkich, pierwszy przerwał milczenie.

— Nie możemy go spisać na straty! — zawołał, a jego głos, choć wciąż drżący, nabrał siły. — Poświęcił się, żeby nas chronić! Może ta... ta moc, której użył, była koniecznością? Może walczył o życie? Nie możemy go teraz traktować jak wroga!

— Nikt nie mówi o jego potępieniu, młody hobbicie — odezwał się spokojnie, lecz stanowczo Glorfindel, a jego oczy zdawały się widzieć rzeczy niewidzialne dla innych.

— Mówimy o ostrożności. Mithrandir był najsilniejszy spośród nas. Jeśli nawet on uległ, lub jest na granicy upadku, to kto nas ocali? Musimy być przygotowani na najgorsze, nawet jeśli modlimy się o najlepsze.

Boromir wstał ponownie, a jego twarz była surowa. — Elrond ma rację. Mamy wroga, który się podzielił. Sauron w Mordorze. Saruman w Orthanku. I Gandalf, gdziekolwiek jest, z bronią, która może nas zniszczyć. Nie możemy walczyć z nimi wszystkimi naraz. Musimy wybrać cel.

— Sauron jest zbyt potężny — rzekł Gloin. — Atak na Mordor to samobójstwo, przynajmniej na razie.

— A Gandalf... — zaczął jeden z ludzi z Północy, ale urwał, nie wiedząc, jak dokończyć.

— Gandalfa nie możemy atakować, bo nie wiemy, gdzie jest ani kim się stał — dokończył za niego Aragorn, który dotąd milczał w cieniu. Jego głos był cichy, ale przyciągał uwagę wszystkich.

— Szukanie go teraz byłoby jak szukanie igły w płonącym stogu siana.

— Zostaje więc Saruman — powiedział Boromir z ponurą satysfakcją.

— On jest blisko. Jest namacalny. Jego zdrada jest jawna. Jeśli pozwolimy mu rosnąć w siłę, jego armie zaleją Rohan i uderzą na Gondor od zachodu, podczas gdy Sauron zaatakuje od wschodu. Zostaniemy zmiażdżeni w kleszczach.

— To prawda — przyznał Elrond.

— Saruman jest najpilniejszym zagrożeniem. Jego działania są bezpośrednie. Musimy go powstrzymać, zanim jego plany dojrzeją. Uderzenie na Isengard jest logicznym i koniecznym krokiem.

Ale wtedy Legolas, elf z Mrocznej Puszczy, który dotąd tylko słuchał, zabrał głos. Jego spojrzenie było dalekie, jakby wpatrywał się w niewidzialny horyzont.

— Jeśli zaatakujemy Isengard, zwrócimy na siebie uwagę obu pozostałych. Sauron może to wykorzystać, by przyspieszyć swój atak. A Gandalf? Jeśli wróci i zobaczy, że świat pogrążył się w wojnie, co zrobi z mocą, którą posiada? Czy użyje jej, by zaprowadzić pokój siłą? By stać się tym, od czego chciał nas chronić?

To było pytanie, którego wszyscy się obawiali. Pytanie, które wisiało nad zgromadzeniem jak cień.

Elrond opuścił wzrok, a na jego twarzy malował się ciężar decyzji.

— Nie możemy dłużej zwlekać w bezczynności. Mithrandir był strażnikiem równowagi. Teraz, gdy go nie ma, sami musimy się nią stać. Musimy działać, ale z otwartymi oczami. Dlatego potrzebujemy dwóch planów.

Wszyscy wpatrywali się w niego z napięciem.

— Pierwszy jest prosty, uderzamy na Orthank. Zbieramy siły, jakie mamy i próbujemy zniszczyć potęgę Sarumana, zanim on zniszczy nas. — zrobił pauzę, a jego głos stał się jeszcze cichszy i bardziej bolesny.

— A drugi... drugi jest planem na wypadek, gdyby nasze najgorsze lęki się spełniły. Musimy być przygotowani na pojawienie się Gandalfa. I być gotowi, by stanąć przeciwko niemu.

Głośne westchnienie niedowierzania przeszło przez salę. Gimli, syn Gloina, aż zerwał się z miejsca.

— Przeciwko Gandalfowi?! To bluźnierstwo! Był naszym przyjacielem!

— Był — powiedział cicho Glorfindel, a jego słowa ucięły wszelkie protesty. — Ale nikt z nas nie wie, kim jest teraz. To już nie Mithrandir, wędrowiec i doradca. Jeśli Pierścień znalazł miejsce w jego duszy, to z każdym dniem staje się kimś nowym. I musimy być na to gotowi.

Zapadła ostateczna, ciężka cisza. Wszyscy zrozumieli. Mieli trzech wrogów. Dwóch z nich było ucieleśnieniem mroku i zdrady.

Trzeci nosił twarz ich największej nadziei. Decyzja została podjęta. Siły Zachodu ruszą przeciwko Isengardowi. Ale w sercach przywódców zrodził się nowy, straszliwy plan awaryjny. Plan, który zakładał, że być może będą musieli stoczyć wojnę nie tylko z cieniem, ale i ze światłem, które stało się zbyt jasne.

Narada ucichła. Ciężar potrójnego zagrożenia, Saurona, Sarumana i nieznanego losu Gandalfa, przygniatał zebranych.

— Zdaje się, że nadszedł czas na stary wiersz, — powiedział Bilbo Baggins, który dotąd siedział w kącie, przysłuchując się wszystkiemu z uwagą. Wstał, a jego oczy, choć stare, błysnęły dawną, psotną iskrą. Spojrzał prosto na Aragorna i zaczął recytować, a jego głos był jak echo dawnych przygód:

Nie każde złoto jasno błyszczy,
Nie każdy błądzi, kto wędruje...

Jego głos był słaby, ale w idealnej ciszy sali niósł się wyraźnie. Mówił o sile, która nie rzuca się w oczy, o celu ukrytym w wędrówce. Gdy doszedł do trzeciego wersu, stało się coś nieoczekiwanego. Frodo, który siedział niedaleko, podniósł głowę. Pamiętał te słowa. Pamiętał list od Gandalfa, który zostawił mu w Bree, list, w którym zawarta była ta właśnie strofa, wtedy jeszcze nie wiedział kim jest Obieżyświat. Te słowa były dla niego testamentem przyjaciela i kluczem do przetrwania. Spojrzał na Bilba, a potem na Aragorna. I jego głos, cichy, ale pewny i naznaczony ciężarem

własnych doświadczeń, dołączył do głosu starego hobbita. Razem, w niezwykłej, dwugłosowej harmonii, kontynuowali:

Nie każdą siłę starość zniszczy.
Korzeni w głębi lód nie skuje...

Głos Bilba był wspomnieniem, nostalgią za przygodą. Głos Froda był świadectwem, prawdą wypróbowaną w ogniu strachu. Stary i młody hobbit, przeszłość i teraźniejszość, razem, słowami, malowali portret nadziei. Gdy ich głosy nabrały siły, atmosfera w sali zmienia się. Ciężar zdawał się lżejszy, a mrok w kątach jakby rzedniał. Legolas uśmiechnął się lekko, Gimli pogładził brodę w zamyśleniu, a nawet Boromir, dumny syn Gondoru, patrzył na Aragorna z nowym, głębszym szacunkiem. Dwa hobbickie głosy, zjednoczone w wierze, doszły do kulminacji, a ich słowa były już nie tylko wierszem, ale proroctwem wygłaszanym tu i teraz:

Z popiołów strzelą znów ogniska,
I mrok rozświetlą błyskawice.
Złamany miecz swą moc odzyska,
Król tułacz wróci na stolicę.

Gdy ostatnie słowo ucichło, nikt nie śmiał się odezwać. Wiersz, który w innej sytuacji mógłby być tylko miłym przerywnikiem, w tej godzinie próby stał się manifestem. Przypominającym, że nadzieja nie zawsze jest tam, gdzie się jej szuka, a prawdziwa siła często kryje się w cieniu. Elrond spojrzał na Aragorna, a na jego twarzy malowało się głębokie wzruszenie i odnowiona wiara.

— Proroctwo zostało wypowiedziane na nowo. Przez tych, którzy mają najwięcej powodów, by tracić nadzieję.

Aragorn stał wyprostowany, a blask Andúrila zdawał się odpowiadać na słowa pieśni. Wątpliwości zniknęły, misja w Rohanie nie była już tylko desperackim planem. Stała się pierwszym krokiem na drodze do wypełnienia przeznaczenia. A drużyna, która miała w nią wyruszyć, właśnie zyskała serce i duszę.

# Rozdział 5

Podróż do Edoras była szybka i pełna napięcia. Pięciu towarzyszy, dwóch ludzi, elf, krasnolud i Hobbit, poruszało się niczym duchy przez rozległe równiny Rohanu. W trakcie tej podróży, przy jednym z wieczornych ognisk, doszło do rozmowy, która zmieniła wszystko. Boromir, obserwując Aragorna od wielu dni, jego mądrość, jego siłę, sposób w jaki czytał znaki na ziemi i w gwiazdach, w końcu postanowił zadać pytanie, które nurtowało go od spotkania w Rivendell.

— Mówią na ciebie Obieżyświat. Nosisz pierścień Barahira. A twój miecz... śpiewa pieśnią, której nie słyszałem od lat.

Aragorn spojrzał na niego przez płomienie. W jego oczach nie było pychy, tylko ciężar losu.

— Bilbo mnie przedstawił, jestem Aragorn, syn Arathorna. I jestem, jeśli los pozwoli, dziedzicem Isildura, z rodu Elendila.

Cisza, jaka zapadła, była cięższa niż jakikolwiek kamień. Boromir, dumny syn Gondoru, wpatrywał się w niego, a w jego oczach mieszało się niedowierzanie, szok, a w końcu, zrozumienie. Zobaczył w twarzy Aragorna nie tylko strażnika, ale i cień dawnych królów. Powoli, z namaszczeniem, Boromir uklęknął na jedno kolano.

— Mój kapitanie, mój królu — powiedział, a jego głos, zwykle donośny, teraz drżał ze wzruszenia. — Mój ojciec jest tylko namiestnikiem. Ale ród królów nie zaginął. Przysięgam ci moją służbę. Mój

miecz i moje życie należą do ciebie, od tej chwili aż do mojego końca. Aragorn położył mu dłoń na ramieniu i podniósł go.

— Wstań, synu Denethora. Nie potrzebuję sług, ale przyjaciół. I dzisiaj zyskałem jednego z najcenniejszych.

Od tej chwili dynamika w drużynie się zmieniła. Szli dalej, zjednoczeni nowym, potężnym celem. Gdy w końcu ujrzeli Złoty Dwór Meduseld, zostali zatrzymani u wrót przez człowieka o bladej twarzy, który przedstawił się jako Gríma. Zażądał, by złożyli broń.

— Król Théoden nie przyjmuje obcych z bronią w ręku — syknął.

Legolas i Gimli spojrzeli na niego z wrogością, ale to Boromir wystąpił do przodu, a jego dłoń spoczęła na rogu Gondoru.

— Jesteśmy przyjaciółmi Rohanu! A to — wskazał na Aragorna — jest człowiek o wielkim rodowodzie. Nie odda swojego miecza.

— A kimże on jest, by stawiać warunki w dworze króla? — zakpił Gríma.

Aragorn nie odpowiedział słowami. Powolnym, ruchem sięgnął do rękojeści i wydobył Andúrila. W mrocznej sali jego ostrze rozbłysło własnym, wewnętrznym światłem.

Strażnicy cofnęli się gwałtownie, nawet Gríma zbladł. Ale tym razem, to nie tylko oni zareagowali. Boromir, widząc Płomień Zachodu w dłoni swojego króla, stanął dumnie u jego boku, a jego obecność, jego siła, dodawała autorytetu tej chwili.

— Stoisz przed Aragornem, synem Arathorna, dziedzicem Elendila i Isildura — powiedział donośnie. — A ja, Boromir, syn Namiestnika Gondoru, ręczę za niego. Przybywamy jako sojusznicy. A ten miecz jest oznaką władzy, której ty, Smoczy Języku, nigdy nie zrozumiesz. Połączony autorytet dziedzica tronu Gondoru i syna na-

miestnika, poparty przez lśniące ostrze Andúrila, był siłą, której Gríma nie mógł się oprzeć. Z nienawiścią w oczach, ale bezsilny, ustąpił i poprowadził ich w głąb sali, na spotkanie z królem. Droga do Théodena została otwarta.

Wielka sala Meduseld była pogrążona w półmroku. Okiennice były pozamykane, a jedyne światło pochodziło z paleniska na środku, które ledwo się tliło. Na rzeźbionym tronie siedział król Théoden. Nie wyglądał jak potomek dumnych Eorlingów. Był zgarbiony, postarzały, a jego oczy, niegdyś błękitne i bystre, teraz były mętne i pozbawione wyrazu. U jego stóp, na schodkach tronu, usiadł Gríma, szepcząc coś do ucha władcy, jak wąż wlewający truciznę.

Gdy drużyna podeszła bliżej, Gríma wstał i zastąpił im drogę.

— Król jest zmęczony — syknął. — Nie będzie z wami rozmawiał. Wasze wieści mogą poczekać.

— Obawiam się, że cień nie czeka — odparł sucho Aragorn, a blask Andúrila zdawał się rozpraszać mrok w sali.

— Przybyliśmy z pilną wiadomością od Elronda z Rivendell.

Na dźwięk tego imienia Théoden poruszył się niespokojnie, a w jego oczach na moment błysnęła iskra świadomości.

— Elrond... — wyszeptał, a jego głos był słaby i chrapliwy, jak szept suchych liści.

— To tylko wędrowcy, przynoszący złe wieści, by zatruć twój umysł. Nie słuchaj ich. Oni chcą tylko wojny i zniszczenia. — uspo-

kajał go Gríma, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— To ty jesteś trucizną, Smoczy Języku! — warknął Gimli, ale Aragorn powstrzymał go gestem.

Podszedł do samego tronu, a jego postać emanowała siłą i pewnością, której brakowało w tej sali od lat. Gríma próbował go zatrzymać, ale spojrzenie Aragorna, zimne i zdecydowane, zmusiło go do cofnięcia się.

Aragorn uklęknął na jedno kolano przed Théodenem.

— Panie Rohanu — powiedział, a jego głos był pełen szacunku.

— Jestem Aragorn, syn Arathorna. Przybywam jako przyjaciel. Spójrz na mnie.

Théoden powoli uniósł głowę. Jego spojrzenie było puste, ale skupiło się na twarzy Aragorna. W jednej chwili wpływ Sarumana, który zatruwał umysł króla, napotkał nową, nieoczekiwaną siłę. Czary Sarumana, osłabione przez jego własne problemy i rozproszoną uwagę, była magią kłamstwa i zwątpienia. Siła Aragorna była inna. Była to siła dziedzictwa, woli i niezłomnej nadziei. Była to siła królów.

— Przynosisz burzę, Obieżyświecie — wyszeptał Théoden, powtarzając słowa Grímy.

— Przynoszę prawdę — odparł Aragorn, a jego głos był jak dźwięk rogu bojowego. — Saruman cię oszukał. Uwięził cię w klatce strachu i apatii, podczas gdy jego orkowie palą twoje wioski. Rohan płonie, a ty siedzisz w cieniu!

— Kłamiesz! — krzyknął Gríma. — On chce cię zniszczyć, mój panie!

Jego słowa nie miały już mocy. Bezpośrednia konfrontacja z wolą Aragorna przełamała słabe już zaklęcie Sarumana. W oczach Théodena coś się zmieniło. Mętna zasłona zaczęła opadać. Wspomnienia, dawna duma, gniew, wszystko to zaczęło wracać. Król powoli, z wysiłkiem, zaczął się prostować na tronie. Jego zgarbione plecy wyprostowały się, a jego dłonie, które drżały, zacisnęły się na poręczach. Spojrzał na Grímę, a w jego oczach nie było już pustki, ale płomień.

— Twoje kłamstwa zatruły mi uszy na zbyt długo, żmijo.

Gríma cofnął się, przerażony nagłą przemianą.

Théoden wstał z tronu. I wtedy wszyscy zobaczyli cud. Z każdym oddechem zdawał się młodnieć. Zmarszczki na jego twarzy łagodniały, siwe włosy nabierały złotego blasku, a jego postać odzyskiwała dawną, królewską postawę. Siła witalna, stłumiona przez czary, powróciła do niego z mocą wiosennej odwilży.

— Mój miecz! — zawołał, a jego głos był teraz donośny i potężny.

— Przynieście mi Herugrim! I wyprowadźcie tego zdrajcę z mojego dworu!

Strażnicy, którzy do tej pory stali w letargu, nagle ożyli, jakby i oni zostali uwolnieni z zaklęcia. Chwycili przerażonego Grímę i wywlekli go na zewnątrz.

Théoden stanął przed Aragornem, już nie jako złamany starzec, ale jako król w pełni sił. W jego oczach płonął gniew i determinacja. Spojrzał na Andúrila w dłoni Aragorna, a potem na jego twarz.

— Witaj, synu Arathorna — powiedział, a w jego głosie pobrzmiewał szacunek. — Twoje przybycie jest jak pierwszy powiew wiosennego wiatru po długiej zimie. Rohan był chory. Ale teraz się

obudził. I jest wam winien wdzięczność.

Wielka sala Meduseld, jeszcze przed chwilą mroczna i cicha, teraz rozbrzmiewała odgłosami budzącego się do życia dworu. Słońce, jakby na zawołanie, wdarło się przez otwarte okiennice, zalewając wnętrze złotym blaskiem. Zima w sercu Rohanu dobiegła końca.

Podczas gdy Aragorn, Boromir i Frodo pozostali w Edoras, by wraz z królem Théodenem planować dalsze kroki i gromadzić wojska, Legolas i Gimli otrzymali inną, równie ważną misję. Wieści o umierających lasach w pobliżu Isengardu, które przyniósł Boromir, a potwierdzili zwiadowcy Rohirrimów, zaniepokoiły wszystkich, ale najbardziej elfa i krasnoluda.

Zgodzono się, że muszą zbadać sprawę. Wyruszyli we dwójkę, niezwykła para, elf o lekkich krokach i krasnolud o butach podkutych metalem, aż dotarli do granic tajemniczego lasu Fangorn.

Gdy tylko weszli pod jego korony, poczuli, że znaleźli się w innym świecie. Powietrze było gęste, ciężkie od zapachu wilgotnej ziemi i wieków. Panowała głęboka, niemal ogłuszająca cisza, przerywana jedynie skrzypieniem starych gałęzi, które brzmiały jak westchnienia. Światło ledwo przenikało przez gęste sklepienie, tworząc wieczny, zielony zmierzch.

Przez wiele godzin wędrowali w milczeniu, a Legolas czuł na sobie spojrzenie lasu, nie wrogie, ale czujne i pełne smutku. To on pierwszy go usłyszał. Głos, niski, powolny, dudniący, jak tarcie o siebie ogromnych głazów.

— Hum, hum... Obcy w moim lesie... Nie orkowie... ale i nie elfy z dawnych lat...

Z cienia między dwoma potężnymi drzewami, które wyglądały jak omszałe wieże, wyłoniła się postać. Była wysoka jak troll, ale nie była trollem. Wyglądała jak drzewo, które nauczyło się chodzić. Jej skóra przypominała korę, broda plątaninę korzeni, a w głęboko osadzonych, brązowych oczach płonęły zielone iskry.

Gimli instynktownie sięgnął po topór, ale Legolas położył mu dłoń na ramieniu. — Spokojnie, mistrzu krasnoludzie. To jeden z Pasterzy Drzew. Ent.

Ent, którego imię brzmiało Drzewiec, spojrzał na nich swoimi starymi jak świat oczyma. Poruszał się i mówił z powolnością kogoś, dla kogo stulecia są tylko chwilą. Początkowo był nieufny, ale w Legolasie rozpoznał echo dawnych elfów, które kiedyś spacerowały po jego lesie, a w Gimlim, szacunek dla tego, co stare i trwałe, choć odrobinę za pochopne dla niego.

Opowiedzieli mu o Sarumanie, o zdradzie białego czarodzieja i o zniszczeniach, jakich dokonuje na skraju Fangornu. W miarę ich opowieści, powolny spokój w oczach Drzewca zaczął ustępować miejsca czemuś innemu.

— Saruman Burárum... — zadudnił głos Enta, a tym razem brzmiał jak odległy grzmot. — Ufałem mu. Miał łagodny głos. Ale jego myśli stały się zimne jak metal. Jego orkowie... tak... czułem ich topory. Rąbią, palą, niszczą bezmyślnie. Nie spieszą się, ale ich niszczenie postępuje. Obudzili we mnie coś, co spało od bardzo, bardzo dawna. Obudzili gniew.

Drzewiec opowiedział im o Wiecu Entów, zgromadzeniu wszystkich Pasterzy Drzew, które zwołał, by zdecydować, co ro-

bić. Był to proces powolny, jak wszystko u Entów. Ale opowieść Legolasa i Gimliego, wieści ze świata zewnętrznego, stały się iskrą, która przyspieszyła decyzję.

— Nie jestem po niczyjej stronie — powiedział Drzewiec. — Bo nikt nie jest całkowicie po mojej stronie. Ale Saruman... Saruman postanowił być naszym wrogiem. A to jest błąd, którego nie popełnił nikt od Czasów Ciemności.

Pod koniec ich rozmowy, Drzewiec nie był już tylko starym, sennym duchem lasu. Był ucieleśnieniem gniewu samej ziemi. Obiecał, że gdy tylko Wiec dobiegnie końca, Entowie ruszą, ale nie dołączą do armii ludzi. Pójdą własną drogą.

— Idziemy na wojnę — zadudnił na pożegnanie, a ziemia pod stopami Legolasa i Gimliego zadrżała. — Idziemy zniszczyć Isengard.

Gdy elf i krasnolud opuszczali Fangorn, czuli, że obudzili potęgę starszą i bardziej pierwotną niż jakiekolwiek królestwo ludzi. Wiedzieli, że Saruman, w swojej pysze i pogardzie dla natury, popełnił fatalny błąd. Nie docenił gniewu lasu, który miał wkrótce zalać jego kamienną wieżę.

# Rozdział 6

Wiadomość o przebudzeniu króla Théodena rozeszła się po Rohanie jak ogień po suchym stepie. Z najdalszych zakątków Marchii, z Zachodniej i Wschodniej Bruzdy, zaczęli przybywać jeźdźcy. Zew królewskiego rogu, który milczał przez lata, teraz rozbrzmiewał donośnie, wzywając Eorlingów do broni.

Wielkie pastwiska wokół Edoras zapełniły się tysiącami wojowników. To nie była armia w stylu Gondoru, z równymi szeregami ciężkozbrojnej piechoty i zdyscyplinowanymi łucznikami. Armia Rohanu była czymś innym, czymś bardziej żywiołowym. Była to nierozerwalna jedność człowieka i konia.

Każdy z Rohirrimów był urodzonym jeźdźcem. Uczyli się trzymać włócznię, zanim jeszcze nauczyli się dobrze chodzić. Ich konie, dumne i silne, nie były tylko wierzchowcami, były towarzyszami broni, częścią rodziny, przedłużeniem woli jeźdźca.

Na placach musztry w Edoras trwał przegląd wojsk. Aragorn i jego towarzysze obserwowali to z podziwem. Widzieli wojowników o długich, jasnych włosach powiewających na wietrze, z twarzami smagłymi od słońca i oczami, które miały w sobie dziką wolność stepu. Ich pancerze, były proste i solidne, okrągłe tarcze ozdobione były wizerunkiem białego konia.

Jako piechurzy, byli niezwykle sprawni. Wymiennie używali długich włóczni i długich mieczy, tworząc mur z tarcz, który trud-

no było przełamać. Ale ich prawdziwa potęga ujawniała się, gdy wsiadali na koń. Gdy tysiące jeźdźców ruszało do szarży, ziemia drżała. Był to widok przerażający i piękny zarazem. Wyglądali jak fala, stalowa nawałnica pędząca po zielonym morzu trawy, z lasem włóczni pochylonych do ataku. Wystawianie przeciwko nim zwartej formacji piechoty było samobójstwem. Ich szarża była jak fala przypływu, nie do zatrzymania, druzgocąca wszystko na swojej drodze. Wbijali się klinem w szeregi przeciwnika, zawracali, formowali na nowo i uderzali ponownie, nie dając przeciwnikowi chwili wytchnienia.

Król Théoden, teraz w pełni sił, w lśniącej zbroi, objeżdżał swoje wojska na wielkim, białym ogierze, Śnieżnogrzywym. Jego głos, donośny i pewny, zagrzewał serca wojowników.

— Jeźdźcy Rohanu! — wołał. — Zbyt długo siedzieliśmy w cieniu! Zbyt długo pozwalaliśmy, by Saruman nas zatruwał! Myślał, że jesteśmy złamani! Myślał, że zapomnieliśmy, jak walczyć!

Odpowiedział mu ryk tysięcy głosów i uderzanie mieczy o tarcze.

— Dzisiaj przypomnimy mu o gniewie Marchii! Za króla, za Riddermark!

Przygotowania nie trwały długo. Rohirrimowie nie potrzebowali machin oblężniczych ani długich linii zaopatrzeniowych. Każdy wojownik miał przy sobie to, czego potrzebował. Ich siłą była mobilność i szybkość. Wkrótce potem, ogromna armia konna, największa, jaką widziano od pokoleń, ruszyła na zachód, ku Isengardowi. Tuman kurzu, który wzbili, był widoczny z wielu mil, jak chmura burzowa pełznąca po horyzoncie. Nieśli ze sobą nie tylko stal i ogień, ale i gniew ludu, który został zdradzony i któ-

ry powstał, by odzyskać swój honor. Saruman, zamknięty w swojej wieży, pewny potęgi swoich Uruk-hai i maszyn, nie spodziewał się, jak szybko i z jak wielką furią nadejdzie odpowiedź. Nie docenił potęgi jeźdźców Théodena.

Atak na Isengard był szybki, armia Rohanu, pędząca niczym gniew natury, starła w pył siły Sarumana, które wyszły jej na spotkanie na otwartym polu. Uruk-hai, choć potężni i zdyscyplinowani, nie mieli szans w starciu z miażdżącą szarżą. Jednak prawdziwe oblężenie rozpoczęło się, gdy do walki włączył się las. Z Fangornu nadciągnęli Entowie. Ich gniew, który narastał przez lata, w końcu znalazł ujście. Z potężnym trzaskiem przełamali kamienną zaporę Sarumana i skierowali wody rzeki Iseny wprost do doliny. Woda zalała kuźnie, zgasiła ognie przemysłu, zniszczyła machiny wojenne i utopiła resztki armii orków. Isengard, niegdyś zielona dolina, a potem jałowa jama pełna dymu, stał się teraz wzburzonym, błotnistym jeziorem, z którego sterczała tylko jedna, nienaruszona budowla.

Wieża Orthank. Gładka, czarna, niezdobyta. Wykonana z materiału tak twardego, że nawet pięści Entów nie mogły jej skruszyć. Gdy wody opadły, a gniew bitwy ucichł, Théoden, Aragorn i ich towarzysze stanęli u stóp wieży. Wysoko na balkonie pojawiła się postać w białych szatach, Saruman. Jego twarz była blada, w oczach płonęła duma i pogarda.

— Cóż to za zgraja obdartusów pod moimi drzwiami? — zakpił, a jego głos, wciąż potężny i melodyjny, niósł się po całej dolinie.

— Théodenie, starcze, czyżbyś wstał z grobu tylko po to, by poprowadzić swój lud na ostateczną rzeź?

— Twoje czary już na mnie nie działają, Sarumanie — odparł król, a jego głos był twardy. — Wyjdź i stań przed sądem za swoją zdradę.

Saruman zaśmiał się, a jego śmiech był pusty i pozbawiony radości. — Sąd? Wy chcecie mnie sądzić? Wy, którzy ślepo podążacie za czarodziejem, który was opuścił? Który zabrał waszą jedyną nadzieję i zniknął? Pytajcie Gandalfa o zdradę! Pytajcie go, dlaczego was zostawił! On gra we własną grę, a wy jesteście tylko pionkami!

Aragorn postąpił krok do przodu, a blask Andúrila zdawał się drażnić oczy czarodzieja.

— Dość tych kłamstw, Sarumanie. Jesteś pokonany. Twoje armie zniszczone, twoja forteca zalana. Poddaj się.

— Poddać się? — Saruman spojrzał na niego z nienawiścią.

— Tobie, potomkowi zapomnianego rodu? Nigdy. Zamknę się w mojej wieży. Będę patrzył, jak wasz świat płonie, zniszczony nie przez Saurona, ale przez waszą własną głupotę i przez pychę Gandalfa. Czas jest po mojej stronie.

Z tymi słowy odwrócił się i zniknął we wnętrzu wieży. Ciężkie, drzwi zamknęły się z głuchym hukiem. Nie było sposobu, by go stamtąd wydostać. Wieża była nie do zdobycia. Zdecydowano, że Entowie wezmą Orthank pod swoją straż. Otoczyli wieżę, żywym i czujnym lasem, przez który nikt nie mógł przejść.

Saruman nie został zabity ani osądzony. Został skutecznie odcięty od świata. Jego wieża, niegdyś symbol jego potęgi, stała się

jego więzieniem. Wiedzieli jednak, że to nie jest prawdziwe zwycięstwo. Nie zmusili go do wyjawienia planów Saurona. I, co najważniejsze, w wieży, razem z nim, pozostał palantír. Jego jedyne i ostatnie oko na świat. Choć był więźniem, wciąż mógł patrzeć. I szeptać. Bitwa o Isengard została wygrana, ale Saruman, choć pokonany, wciąż stanowił zagrożenie. Był jak uśpiony wulkan, cichy, ale wciąż zdolny do erupcji.

Wieczorem, w obozie rozbitym na skraju zrujnowanej doliny Isengardu, panowała atmosfera powściągliwej radości. Rohirrimowie śpiewali pieśni o zwycięstwie, a dźwięk ich potężnych głosów niósł się echem pośród ciszy, która zastąpiła wojenny zgiełk. Zwyciężyli. Zdrada Sarumana została ukarana, a groźba dla Rohanu zażegnana.

Aragorn stał z Théodenem na niewielkim wzniesieniu, patrząc na czarną iglicę Orthanku, otoczoną teraz przez czujnych, milczących Entów. Wieża była jak pomnik pychy, który stał się grobowcem.

— To wielkie zwycięstwo dla twojego ludu, królu Théodenie — powiedział cicho Aragorn. — Odparliście cień ze swoich granic.

Théoden skinął głową, ale jego wzrok był zamyślony.

— Tak. Dzisiaj świętujemy. Ale czuję, że to była tylko jedna bitwa w znacznie dłuższej wojnie.

Wszyscy przywódcy czuli to samo. Upadek czarodzieja przyniósł ulgę, tak jak ulgę przynosi usunięcie bolesnej drzazgi. Ale

rana, która ją spowodowała, musi się zagoić. Pokonanie Sarumana było koniecznością, później, gdy przywódcy zebrali się przy małym ognisku, nikt nie mówił już o Sarumanie. Temat rozmowy, niewypowiedziany, ale obecny w myślach każdego, był inny.

— Jeden wróg naraz — mruknął Gimli, ostrząc swój topór. — Tak mawiają u nas. I dobrześmy zrobili. Ale co teraz?

Legolas spojrzał w nocne niebo, jakby szukał tam odpowiedzi.

— Teraz musimy zmierzyć się z pytaniami, od których uciekliśmy, wyruszając do Edoras. Co z Mordorem? I... co z Mithrandirem?

Frodo, który siedział w milczeniu, poczuł, jak wraca do niego znajomy chłód. Zwycięstwo nad Sarumanem było ważne, ale wydawało się niemal błahe w porównaniu z ogromem tajemnicy, która otaczała los Gandalfa i Pierścienia. Gdzie on był, co robił, czy wciąż był ich przyjacielem? Aragorn westchnął, para z jego ust uniosła się w chłodnym powietrzu. — Zrobiliśmy to, co było słuszne i konieczne. Pokonaliśmy jednego wroga. Teraz musimy przygotować się na następnego. I musimy mieć nadzieję, że gdy ponownie spotkamy Gandalfa, będzie on stał po naszej stronie.

Zwycięstwo nad Sarumanem było ważne. Taktycznie sytuacja Śródziemia poprawiła się. Jednak główny problem, los Jedynego Pierścienia i czarodzieja, który go niósł, pozostawał nieznany. Wszyscy czuli, że w porównaniu z tą zagadką, bitwa o Isengard była nieistotną potyczką. Cień na wschodzie rósł, a w nieznanej dziczy wędrował ich przyjaciel, dzierżąc w dłoni moc zdolną zbawić lub zniszczyć ich wszystkich. Wojna dopiero się zaczynała.

# Rozdział 7

Po bitwie na Amon Sûl, Gandalf musiał zniknąć, a żeby zniknąć naprawdę, musiał wybrać drogę, której nikt by się nie spodziewał. Drogę, której on sam, w innych okolicznościach, unikałby za wszelką cenę. Jego kroki skierowały go ku Górom Mglistym, ku mrocznym wrotom starożytnego królestwa Khazad-dûm.

Wspomnienie tego miejsca było dla niego jak niegojąca się rana. Pamiętał opowieści o jej upadku, o chciwości krasnoludów, która obudziła zło z głębin ziemi. Strach przed Zgubą Durina był jednym z powodów, dla których tak usilnie próbował przekonać Drużynę do wybrania innej drogi. A jednak teraz, z własnej woli, stał przed jej zachodnią bramą.

Ale strach, który go kiedyś paraliżował, teraz był inny. Został przyćmiony przez nowe uczucie, przerażenie samym sobą i mocą, którą nosił. Ciemność Morii, jej grobowce i zapomniane korytarze, wydawały mu się niemal schronieniem w porównaniu z wojną, która toczyła się w jego własnej duszy.

Zimny, złoty przedmiot w jego kieszeni zdawał się ciążyć mu bardziej niż kiedykolwiek. Czuł jego obecność jak fizyczny ból, przypomnienie o jego upadku na Wichrowym Czubie. Wiedział, że Sauron go szuka. Wiedział, że jego wola, niczym niewidzialne macki, przeszukuje świat. Moria, ze swoją przytłaczającą ciszą i mrokiem, była jedynym miejscem, które mogło na chwilę zagłu-

szyć ten zew. Była jak ołowiana trumna, która mogła osłonić go przed wszechwidzącym Okiem. Wypowiedział słowo otwierające, a kamienne drzwi, ozdobione wizerunkiem drzew i gwiazd, otworzyły się bezgłośnie, wypuszczając ze środka stęchłe powietrze z głębin. Gandalf rozejrzał się i wkroczył do środka.

Wkroczył do mrocznego świata, ale, o dziwo, nie czuł już tylko rozpaczy. Wraz ze strachem, w jego sercu tliła się nowa, desperacka nadzieja. Użył Pierścienia, zgrzeszył pychą. Ale ocalił swoje życie. I to życie, myślał, musi mieć teraz nowy cel. Skoro nie mógł zniszczyć Pierścienia, a nie śmiał go używać, musiał znaleźć trzecią drogę, o której myślał w Bag End. Musiał go ukryć. Nie w skrzyni, nie w morzu, ale w miejscu tak odległym i tak przesiąkniętym pierwotną magią, że nawet szept Pierścienia by w nim zamilkł.

Wędrował przez ogromne, puste sale Khazad-dûm. Jego laska rzucała nikłe światło na potężne kolumny, które wyglądały jak kamienne drzewa, na mosty przerzucone nad bezdennymi przepaściami, na szkielety krasnoludów i orków, nieme świadectwo minionych bitew. Cisza była przytłaczająca.

Nie bał się już goblinów ani trolli. Czuł, że jego nowa moc odstrasza te mniejsze istoty. Ale wiedział, że w głębinach czai się coś jeszcze. Coś starszego i o wiele potężniejszego. Zguba Durina. Wiedział, że spotkanie z nim jest prawie pewne. To miała być jego prawdziwa próba. Sprawdzian, czy jego nowa misja jest czymś więcej niż tylko ucieczką przed własną słabością.

Gandalf dotarł do mostu Khazad-dûm. Wąska, kamienna kładka przerzucona nad przepaścią, z której nie dochodził żaden dźwięk. To tutaj, czuł to, miało dojść do konfrontacji. Zatrzymał się pośrodku, a światło jego laski oświetlało jedynie niewielki krąg

wokół niego. Nie pojawił się w ogniu i furii. Z mroku, z którego przybył, po prostu wyłonił się cień. Zgęstniał, nabrał kształtu, stając się postacią wyższą od człowieka, spowitą w ciemność tak głęboką, że zdawała się pochłaniać światło własnych płomieni.

Balrog. Zguba Durina. Gandalf uniósł laskę, gotów do walki. Spodziewał się ataku. Ale Balrog nie ruszył do przodu. Zatrzymał się na skraju mostu. I stało się coś niewyobrażalnego. Potężna, demoniczna istota, powoli, z niemal majestatyczną gracją, pochyliła swoją płonącą głowę. A potem, ku absolutnemu zdumieniu Gandalfa, uklęknął na jedno kolano. W ciszy, która zapadła, Gandalf nie usłyszał żadnego dźwięku. Ale w jego umyśle rozbrzmiał strumień czystej, pierwotnej myśli, zimnej i ciężkiej jak głębiny ziemi.

— Wyczuwam go. — myśl była prosta, pozbawiona emocji. — Wyczuwam echo Jego Woli.

Gandalf stał w osłupieniu. Balrog nie widział w nim Gandalfa, wroga. Widział w nim nowego posiadacza potęgi, która była mu znajoma. Balrogi nigdy nie służyły bezpośrednio Sauronowi. Były dumnymi duchami ognia, Majarami, którzy ulegli bezpośrednio największemu z Valarów, Morgothowi, pierwszemu Wrogowi. Sauron wtedy był tylko jego kapitanem, najpotężniejszym, ale wciąż sługą. Dla Balroga, który spał przez wieki, Pierścień nie był tylko artefaktem Saurona. Był to najpotężniejszy pośredni przejaw woli ich wspólnego, dawno upadłego Pana, który przetrwał w tym świecie.

— Czekałem. — kontynuował Balrog. — Czekałem w ciszy. Świat na górze stał się mały i cichy. Ale teraz... teraz jest znów Wielka Wola. Jest cel, jest porządek. Rozkazuj. A będę posłuszny.

Gandalf poczuł, jak po plecach przebiega mu lodowaty dreszcz. To była pokusa na zupełnie innym poziomie. Oferta absolutnego posłuszeństwa od istoty o niewyobrażalnej sile, mogącej niszczyć całe krainy, która widziała w nim następcę lub naczynie dla woli samego Morgotha. Mógł jednym skinieniem zyskać sługę, który mógłby zniszczyć dowolną armię.

Pierścień w jego kieszeni zaczął pulsować z dziką radością.

— Tak! — krzyczał w jego duszy. To jest prawdziwa władza! Nie niszczenie cieni, ale rozkazywanie im! Przyjmij jego służbę! Użyj go! Zmiażdż wszystko! Stań się Panem, którym powinieneś być!

Gandalf zacisnął zęby. Wiedział, że to pułapka. Skupił całą swoją wolę. Nie na ataku, na odparciu, na projekcji jednej, prostej myśli w kierunku klęczącego demona.

— Nie jestem twoim Panem. — pomyślał z całą mocą. — Jego czas przeminął. Służę światłu, nie cieniowi.

Przez chwilę nic się nie działo. A potem Gandalf poczuł opór. Wola Balroga, uśpiona, ale nie złamana, nie chciała tak łatwo zrezygnować z odnalezionego celu.

— Nie. — odpowiedziała myśl Balroga, a w jej prostocie krył się upór góry. — Jest moc, musi być rozkaz.

Rozpoczęła się bezgłośna walka. Dwie wole Majarów zderzyły się na wąskim moście. Gandalf pchał swoją wolą, wolą światła i wolności. Balrog opierał się swoją, wolą służby i mroku. Gandalf czuł, że jego umysł jest miażdżony przez starożytną, niewzruszoną siłę. Czuł, że przegrywa. I wtedy, w akcie desperacji, sięgnął po jedyną rzecz, która mogła przechylić szalę. Po autorytet, który Balrog sam mu nadał.

— Jestem teraz nosicielem tej Woli! — pomyślał, a jego myśl była teraz ostra i zimna jak lód. — Jako jej pan, rozkazuję ci, ODEJDŹ! To jest mój pierwszy i ostatni rozkaz!

To zadziałało. Balrog nie mógł się sprzeciwić logice, którą sam przyjął. Jego całe istnienie było oparte na hierarchii mocy. A autorytet, który wyczuwał, był absolutny. Demon zadrżał. Cień wokół niego zafalował gwałtownie. A potem, z mentalnym westchnieniem, które było echem rozpaczy i rezygnacji, poddał się.

— Tak... Panie... — wyszeptała ostatnia myśl.

A potem w jego umyśle zapadła cisza. Ale Gandalf wiedział, że to nie koniec. Wola została złamana, ale ciało wciąż istniało. I ciało, pozbawione rozkazu, mogło kierować się już tylko jednym, pierwotnym instynktem zniszczenia.

Cisza, która zapadła po kapitulacji Balroga, trwała tylko kilka uderzeń serca. Ale była to cisza ciężka i groźna, jak spokój przed erupcją wulkanu. Wola demona została złamana, jego umysł zmuszony do posłuszeństwa. Ale jego fizyczna forma, starożytne naczynie ognia i cienia, nie znała pojęcia poddania się. Pozbawiony kierownictwa woli, zareagował jedynym instynktem, jaki mu pozostał, ślepą, pierwotną furią.

Balrog wyprostował się, nie było w tym już majestatu. Był to ruch czystej, bezmyślnej siły. Cień wokół niego eksplodował, a z jego wnętrza buchnął ogień. Skrzydła ciemności rozpostarły się na całą szerokość przepaści, a w jego dłoni zmaterializował się płonący miecz, równie wielki jak on sam. Wydał z siebie ryk, tym

razem prawdziwy, fizyczny, ogłuszający. Był to ryk bólu, frustracji i nienawiści, który wstrząsnął fundamentami Morii.

Gandalf wiedział, że nie ma już czasu na subtelności. Walka na wolę się skończyła. Zaczynała się walka o przetrwanie. Demon runął na niego przez most. Każdy jego krok sprawiał, że kamienny most trzeszczał. Uderzył pierwszy, a jego ognisty miecz zderzył się z laską Gandalfa. Eksplozja była oślepiająca. To nie było zderzenie metalu, ale starcie dwóch pierwotnych sił. Skały mostu wokół nich zaczęły się topić, spływając jak wosk. Powietrze zgęstniało od żaru, a ciemność pulsowała w rytm ciosów.

Ta walka była zupełnie inna niż starcie z Nazgûlami. Tamci byli tylko cieniami, echami dawnej potęgi, utrzymywanymi przez wolę Saurona. Balrog był czymś innym. Był równy Gandalfowi, był upadłym Majarem, istotą zrodzoną z tego samego, pierwotnego ognia co Gandalf. Jego siła fizyczna była ogromna, a jego ciało, zdawało się niemal niezniszczalne.

Bicz o wielu rzemieniach smagał powietrze, a jego końcówki uderzały w kamień z siłą gromu. Gandalf tańczył na wąskim moście, unikając ciosów, parując uderzenia, a krople potu spływały mu po twarzy, mieszając się z pyłem i sadzą. Wiedział, że nie wygra tej walki w ten sposób. Jego fizyczne ciało, ciało starca, nie mogło wiecznie opierać się tej brutalnej sile.

I znowu poczuł zew Pierścienia. Ale tym razem był inny. Nie był to już szept pokusy. Był to zimny, pragmatyczny głos sojusznika w śmiertelnej walce.

— Nie pokonasz go sam. Ale razem... razem jesteśmy potęgą, której nic się nie oprze. Połączmy się. Nie walcz z nim i ze mną. Walcz z nim przeze mnie.

Nie było już wyboru. Gandalf otworzył się na moc Pierścienia. Światło jego laski zapłonęło oślepiającym blaskiem. Jego ciało, choć wciąż stare, poruszało się z nadludzką szybkością i siłą. Gdy następnym razem ognisty miecz Balroga uderzył, Gandalf nie tylko go sparował, ale odepchnął demona z siłą, która wstrząsnęła jego ognistą formą. Balrog zawahał się, zaskoczony tą nagłą zmianą. I to wahanie było jego ostatnim błędem. Gandalf nie celował w most. Wiedział, że zrzucenie demona w przepaść to za mało. Ta walka musiała się skończyć. Tu i teraz. Musiał zniszczyć nie tylko ciało, ale i ducha.

— Jesteś pustym echem! — krzyknął Gandalf, a jego głos był teraz głosem połączonych mocy, głosem, który mógł kruszyć góry. — A ja przynoszę ciszę!

Zebrał całą potęgę, która przez niego przepływała, swoją własną, pierwotną moc Majara, połączoną z bezdenną, zimną wolą Jedynego. Uniósł laskę, która była teraz niczym fragment słońca, i wycelował ją prosto w serce cienia, w płonący rdzeń istoty Balroga.

Uderzył, nie było eksplozji na zewnątrz, była implozja. W momencie, gdy skoncentrowana wiązka czystej mocy dotknęła demona, cały dźwięk, całe światło i cały żar zostały wessane do środka. Na jedną, nieskończenie długą chwilę, na moście zapanowała absolutna ciemność i cisza. Fragment mostu, okoliczne ściany, wszystko zniknęło, pochłonięte przez punkt o niewyobrażalnym przyciąganiu.

Potem nastąpił bezgłośny wybuch pustki. Fala nicości przetoczyła się przez most, wymazując wszystko na swojej drodze. Kamienna kładka obróciła się w pył. Ognista forma Balroga, jego cień

i krzyk, wszystko przestało istnieć, wchłonięte przez moc tak ostateczną, że nie pozostawiła nawet echa. Gandalf stał na krawędzi przepaści, która była teraz szersza niż wcześniej. Złoty blask powoli gasł w jego oczach, pozostawiając po sobie jedynie głębokie zmęczenie. Patrzył w otchłań, w której nie było już nic. Nie było ciała, była tylko pustka. Dokonał niemożliwego. Zniszczył Balroga. Nie pokonał go. Zniszczył. Ale cena tego czynu była wysoka. Wiedział, że moc, której użył, nie była jego własna. I że właśnie, kolejny raz pokazał światu, i sobie samemu, do czego jest zdolny z Pierścieniem jako sojusznikiem. Ta wiedza stawała się coraz cięższa.

W Barad-dûr, w komnacie utkanej z czystej woli i rozpaczy, Sauron czekał. Nie był już niecierpliwy ani wściekły. Był ucieleśnieniem skupienia. Jego istota, rozciągnięta jak pajęcza sieć nad Śródziemiem, nasłuchiwała drgań w osnowie rzeczywistości.

Nagle to poczuł, po raz drugi od zniknięcia Pierścienia. Nie był to stały szept, do którego przywykł. Był to gwałtowny, oślepiający błysk jego własnej, dawno utraconej mocy, który na moment zapłonął jak na Wichrowym Czubie. Był to sygnał tak wyraźny, że przez chwilę Sauron myślał, że to pułapka. Ale zaraz potem poczuł coś jeszcze. Coś znacznie słodszego, pęknięcie w woli Gandalfa.

W jego mentalnym krajobrazie, w sali tronowej jego pamięci, nagle zmaterializowała się postać czarodzieja. Blada, drżąca, pokonana. I w tej wizji, w tym symbolicznym teatrze dusz, Gandalf uklęknął i wyciągnął dłoń, na której lśnił Pierścień. Sauron, w swo-

jej idealnej, majestatycznej formie, sięgnął i przyjął go. Był to tylko ułamek sekundy, ale w tym ułamku sekundy Sauron poczuł smak zwycięstwa.

Wizja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, pozostawiając go w jego mrocznej samotni. Ale wiedział, co to oznacza. Gandalf sięgnął po moc. Użył jej, każdy taki akt był powolną kapitulacją. Był cichym przyznaniem, nie daję rady. Potrzebuję cię. Sauron zaśmiał się, ten głupiec! Ten sentymentalny starzec myślał, że walczy o światło. Nie rozumiał, że używając Pierścienia, staje się jego najskuteczniejszym narzędziem. Każdy dobry uczynek dokonany z pomocą tej mocy, każde ocalone życie, każda wygrana bitwa, wszystko to umacniało Saurona. Każde takie działanie było symbolicznym oddawaniem Pierścienia. Było przyznaniem, że wola Saurona jest jedynym skutecznym sposobem na zaprowadzenie porządku w tym chaotycznym świecie.

Sauron nie musiał już wysyłać armii, by zniszczyć Gandalfa. To byłoby zbyt proste, jednocześnie zbyt ryzykowne. Zamiast tego, musiał go zachęcać. Musiał stawiać przed nim problemy, których Gandalf nie mógłby rozwiązać bez sięgnięcia po ostateczne rozwiązanie. Musiał sprawić, by świat błagał Gandalfa o interwencję, a Gandalf, w swojej litości, odpowie mocą Pierścienia.

Czuł, jak z każdym takim symbolicznym oddaniem, jego więź z Pierścieniem się odbudowuje, staje się silniejsza. Czuł, jak pęknięcia w duszy Gandalfa się powiększają. Wystarczyło czekać. Czekać na moment, w którym Gandalf będzie tak zmęczony, tak przekonany o słuszności swoich metod, że ostatnie, symboliczne oddanie Pierścienia stanie się tym rzeczywistym. I wtedy powróci. Nie jako mroczny pan w czarnej zbroi. Ale w lśniącej, białej szacie

czarodzieja, witany jako zbawca. A świat uklęknie przed nim, nie ze strachu, ale z wdzięczności. Tryumf był nieuchronny. Wystarczyło tylko pozwolić, by jego największy wróg sam przygotował mu drogę do zwycięstwa.

Jego droga prowadziła przez północne i wschodnie krańce Śródziemia. Musiał przekroczyć Mroczną Puszczę. Las, który niegdyś napawał go niepokojem ze względu na swój mrok i starożytne zło czające się w Dol Guldur, teraz wydawał mu się... posłuszny. Cienie cofały się przed jego krokami, a plugawe istoty, które zamieszkiwały puszczę, uciekały w panice, wyczuwając potęgę, która szła przez ich terytorium.

Nie szukał ukrytych ścieżek. Szedł prosto, a las zdawał się sam otwierać mu drogę. Był jak król wracający do swojego dawno utraconego królestwa. Dotarł w końcu do podziemnych pałaców Thranduila, Króla Leśnych Elfów. Strażnicy przy bramach, zwykle nieufni i gotowi do strzału, na jego widok opuścili łuki. Wprowadzili go do sali tronowej bez słowa sprzeciwu.

Thranduil siedział na swoim tronie z żywego drewna, dumny i niezmienny jak zawsze. Gdy Gandalf wszedł do sali, król elfów wstał, a w jego oczach pojawił się błysk niedowierzania i głębokiego szacunku, zmieszanego z ledwo skrywanym lękiem.

— Mithrandir? — zapytał, a jego głos, zwykle chłodny i opanowany, był pełen zdumienia. — Przychodzisz... odmieniony.

— Pokonałem ogień — odparł Gandalf, a jego nowy głos rezonował w podziemnej sali. — By wypełnić swoje zadanie.

— Słyszeliśmy wieści — powiedział Thranduil, podchodząc bliżej. — Wieści o upadku Sarumana. I inne... mroczniejsze. O twoim zniknięciu.

— Jestem tutaj, by ostrzec cię przed tym, co nadchodzi. Cień na południu twojego królestwa, Dol Guldur, nie śpi. Sauron jest osłabiony przez niepewność, ale jego zło wciąż się sączy. Gromadzi siły. Musicie wzmocnić straże na południowej granicy. Nie pozwólcie, by jego plugastwo rozlało się na północ.

Thranduil słuchał, a jego twarz była poważna. Zawsze był królem dumnym i dbającym przede wszystkim o własne królestwo, ale w obecności tej nowej, potężnej wersji Gandalfa czuł, że nie może lekceważyć jego słów.

— Zrobimy, co w naszej mocy. Ale powiedz mi, czarodzieju, co z Pierścieniem? Mówiono, że go zabrałeś.

Gandalf spojrzał mu prosto w oczy. Jego spojrzenie było tak intensywne, że nawet król elfów poczuł się nieswojo.

— Pierścień jest bezpieczny. I to wszystko, co musisz wiedzieć.

W jego głosie była ostateczność, która nie dopuszczała dalszych pytań. Thranduil zrozumiał, że czarodziej, który stał przed nim, nie był już tylko doradcą. Był siłą, która sama podejmowała decyzje o losach świata. Skinął głową w milczeniu.

— Dobrze, że wróciłeś, by nas poprowadzić — powiedział w końcu.

Gandalf uśmiechnął się, ale był to uśmiech smutny i pełen rezygnacji. — Nie wróciłem, by prowadzić, królu Thranduilu. Wróciłem, by zniknąć.

Z tymi zagadkowymi słowami, odwrócił się i opuścił salę tronową, pozostawiając za sobą zdumionego króla i dwór pełen szeptów. Thranduil wiedział jedno, właśnie rozmawiał z kimś, kto dzierżył w sobie moc zdolną odmienić losy Ardy. I nie był pewien, czy powinien się z tego powodu cieszyć, czy bać. Ale wiedział też, że ostrzeżenie było prawdziwe. I jeszcze tego samego dnia wydał rozkazy, by podwoić straże na granicach Mrocznej Puszczy. Wysłał również gońców do sprzymierzeńców. Cień mógł rosnąć, ale Leśne Królestwo nie zamierzało poddać się bez walki.

Spotkanie z Thranduilem było ostatnim przystankiem Gandalfa w znanym mu świecie. Gdy opuścił jego podziemne królestwo i ponownie znalazł się pod gołym niebem, poczuł na sobie ciężar spojrzeń, nie tylko króla elfów, ale i całego świata, który oczekiwał od niego odpowiedzi i przywództwa. I właśnie wtedy, w ciszy północnej puszczy, ostatecznie zrozumiał, że przegrywa.

Nie przegrywał wojny z Sauronem, przegrywał wojnę z samym sobą. Każde spotkanie, każde dobre słowo, każde ostrzeżenie było pokusą, by użyć mocy, do mocy by naprawić świat. A każde takie użycie, jakkolwiek słuszne by się wydawało, było kolejnym, cichym zwycięstwem Pierścienia. Każdy akt władzy, nawet ten najmniejszy, był krokiem w stronę tronu w Barad-dûr.

Zrozumiał, że nie może być Gandalfem Białym. Nie mógł być przywódcą ani zbawcą. Sama ta rola była pułapką. By być strażnikiem Pierścienia, musiał przestać być strażnikiem świata. Musiał zerwać z wszystkim. Ta decyzja zrodziła się w nim w bólu, ale

i z poczuciem ostatecznej ulgi. To była jedyna droga, jedyna ścieżka, która nie prowadziła do tyranii.

Znalazł ustronną polanę, nad brzegiem małego, bezimiennego strumienia. Tam, w samotności, dokonał ostatniego rytuału. Zdjął swoją szatę, złożył ją starannie i puścił z nurtem. Patrzył, jak płynie, aż zniknęła mu z oczu, jak duch odchodzący w zapomnienie.

Jego laska, potężne narzędzie, które skruszyło most w Morii, została wbita w miękką ziemię. Położył na niej dłonie i wyszeptał słowa zaklęcia. Blask, który w niej tkwił, zgasł, a ona sama stała się zwykłym, sękatym kijem, kawałkiem drewna pozbawionym mocy.

Na koniec spojrzał na swoje odbicie w wodzie. Zobaczył twarz starca, pooraną zmarszczkami i troską, ale w jego oczach wciąż tliła się iskra dawnej potęgi. Musiał zgasić i ją. Zamknął oczy i skupił się, budując w swoim umyśle mur. Nie przeciwko Sauronowi, ale przeciwko światu. Mur, który miał go oddzielić od przyjaciół i wspomnień. Gdy je otworzył, był już kimś innym. Porzucił tożsamość czarodzieja, przestał być Gandalfem, członkiem Zakonu Istari. Stał się nikim, bezimiennym wędrowcem, jednym z wielu, którzy przemierzali dzikie ostępy Śródziemia. Jego celem nie była już walka ze złem, ale ucieczka.

Uciekał przed wszechwidzącym Okiem Saurona, które szukało potężnego czarodzieja, a nie zgarbionego starca w szarym płaszczu. Uciekał przed przyjaciółmi, których miłość i zaufanie były największą z pokus. Uciekał przed samym sobą, przed tą częścią jego duszy, która posmakowała absolutnej mocy i wciąż jej pragnęła.

Ruszył w dalszą drogę na wschód, podróż przestała być misją, była pielgrzymką pokutnika. Stał się cieniem idącym przez cień,

i tylko on, i Pierścień, wiedzieli, że ta ucieczka jest ostatnią, desperacką próbą ocalenia nie tylko świata, ale i własnej, zagrożonej duszy.

# Rozdział 8

Odrzucenie własnej tożsamości było jak wymazanie siebie z pamięci świata. Podróż na daleki wschód była długa i samotna, a jej celem było nie tylko dotarcie do celu, ale i zatarcie za sobą wszelkich śladów. Nie podróżował już jako czarodziej. Nie przyzywał ognia, by rozpalić ognisko. Nie rozmawiał z orłami ani nie prosił o pomoc zwierząt. Poruszał się pieszo, głównie nocą, jak jeden z wielu bezimiennych wędrowców.

Mordor ominął szerokim łukiem, czuł obecność Oka, chaotyczną i natarczywą, jak oddech bestii, która wyczuła krew, lecz nie potrafiła jeszcze wytropić ofiary. Wiedział, że Sauron go szuka, ale szuka Gandalfa, potężnej, świetlistej istoty. Nie szukał tego, kim się stał, bezimiennego pielgrzyma, którego moc była stłumiona, a wola skupiona tylko na jednym, na ukrywaniu się.

Omijał ruchliwe trakty i znane ścieżki. Przemierzał bezkresne stepy Rhûn, gdzie wiatr był jedynym towarzyszem, a niebo zdawało się sięgać od jednego krańca świata do drugiego. Mijał z daleka koczownicze obozy Easterlingów, widząc w nocy ich ogniska jak odległe, nieprzyjazne gwiazdy. Czuł ich obcą mentalność, ich wierność dla Mrocznego Pana, i wiedział, że nie może się do nich zbliżyć.

Kiedy napotykał rzadkie osady lub karawany kupieckie, rzucał na siebie proste, zaklęcia cienia. Była to subtelna magia, praktycz-

nie niezauważalna. Ci, których mijał na drodze, widzieli tylko starego, zgarbionego człowieka, a gdy tylko znikał im z oczu, jego obraz natychmiast zacierał się w ich pamięci. Zapominali o jego istnieniu, nim zdążyli się zastanowić, kim był i dokąd zmierzał. Pierścień w jego kieszeni był cichy. Jakby rozumiał tę nową strategię. Nie kusił, nie szeptał, ale czekał.

Minął wielkie, Jezioro Rhûn,a potem zagłębił się w bezdroża szarych pustkowi, które leżały jeszcze dalej na wschód. Tam nie było już ani drzew, ani śpiewu ptaków. Tylko kamień, wiatr i głuche echa krzyku sprzed tysiącleci, gdy Melkor po raz pierwszy uderzył w fundamenty świata.

Z każdym krokiem zostawiał za sobą nie tylko znany świat, ale i samego siebie. Zrzucał z siebie kolejne warstwy tożsamości, nadziei i obowiązków, aż pozostała tylko esencja, stara, zmęczona istota niosąca przeklęty skarb do miejsca, które było ostatnią nadzieją. I w końcu, po długich miesiącach marszu, niemal bez snu i bez słowa, dotarł. Ujrzał przed sobą wody, które nie odbijały nieba, ale same zdawały się świecić wewnętrznym, gwiezdnym blaskiem. Zobaczył drzewa, jakich nie widział od czasu opuszczenia Valinoru. I poczuł w powietrzu ciszę tak głęboką, że można było w niej usłyszeć bicie własnego serca. Dotarł na miejsce, do Wód Przebudzenia. Ostatniej przystani, gdzie mógł jeszcze spróbować być sobą.

Cuiviénen było jak sen o świecie, zanim poznał on zło. Woda jeziora nie odbijała twarzy, zdawała się odbijać duszę, ukazując jej

najgłębsze pragnienia i lęki. Drzewa rosły tu w ciszy tak głębokiej, że można było usłyszeć wspomnienia czasu, a ziemia wciąż pulsowała starożytną, nieokiełznaną, ale czystą mocą. Tu obudziły się pierwsze z Dzieci Ilúvatara. To tu elfy po raz pierwszy spojrzały na gwiazdy, zanim świat poznał słońce i księżyc. Dla śmiertelnika miejsce to byłoby świętością. Dla Gandalfa, było ostatnią przystanią, na granicy nadziei i rozpaczy.

Zbudował sobie niewielkie, proste schronienie z drewna i głazów przy brzegu jeziora, tam, gdzie woda przybierała barwę srebrzystego dymu. Przez pierwsze dni, a może były to tygodnie, czas płynął tu inaczej, nie robił nic. Po prostu był. Medytował, próbując oczyścić umysł z kurzu i znoju długiej drogi. Pierścień trzymał zamknięty w drewnianym pudełku, które owinął runami czuwania i zaklęciami uśpienia.

Ale nawet zamknięty, Pierścień śpiewał. Jego pieśń była inna niż wcześniej. Nie było w niej już obietnic władzy, dominacji ani zniszczenia wrogów. Była subtelniejsza. I przez to o wiele bardziej niebezpieczna. Nie kusił go już potęgą nad światem. Świat był daleko. Zamiast tego zaczął kusić go potęgą nad tym małym, zapomnianym rajem. W snach i w chwilach głębokiej medytacji Gandalf słyszał jego nowy szept. Spójrz na to miejsce, Olórinie. Jest piękne, ale dzikie. Zapomniane. Spójrz na to złamane drzewo, pamiątkę po dawnej burzy. Możesz je uzdrowić. Jednym gestem. Nie dla siebie. Dla niego.

Posłuchaj ciszy. Jest głęboka, ale pusta. Możesz wypełnić ją muzyką, jakiej nie słyszano od początku czasów. Możesz sprawić, by te wody śpiewały, a kwiaty kwitły w rytm twojej pieśni. Nie dla chwały, ale piękna. Jesteś w kolebce życia. Ale nawet tu jest

ślad rozkładu, piętno czasu. Możesz to zatrzymać. Możesz stworzyć tu ogród doskonały, azyl. Miejsce wiecznej wiosny, chronione przed złem świata. Nie po to, by rządzić, ale chronić.

Gandalf toczył z tymi myślami wewnętrzną walkę. Wiedział, że to pułapka, że każde użycie Pierścienia, nawet w najszlachetniejszej intencji, jest krokiem w stronę ciemności. Powtarzał sobie, że jego jedynym zadaniem jest ukrycie artefaktu, a nie jego używanie.

Pokusa była ogromna. Po latach walki, ucieczki i strachu, wizja tworzenia zamiast niszczenia, leczenia zamiast ranienia, była jak balsam dla jego zmęczonej duszy. W jego sercu Majara, sługi Valarów, zawsze tkwiło pragnienie porządku, harmonii i piękna. Pierścień to wyczuł. I przestał być narzędziem Saurona. Stał się narzędziem najgłębszych, najczystszych pragnień samego Gandalfa.

Pewnego dnia, spacerując wzdłuż brzegu jeziora, zobaczył małego ptaka ze zwichniętym skrzydłem, który trzepotał bezradnie na ziemi. Zwykle uzdrowiłby go prostym zaklęciem, czerpiąc z własnej mocy. Ale był wyczerpany, a jego własna magia zdawała się słaba i niepewna w porównaniu z obietnicą, którą czuł w kieszeni. Pierścień śpiewał w jego umyśle głośniej niż kiedykolwiek. Pozwól mi. To tylko drobiazg. Gest litości. Komu to zaszkodzi? Gandalf nie wahał się. To tylko ptak. To tylko jedno, małe życie.

Akt czystego dobra, spojrzał na cierpiące stworzenie, potem na swoje drżące dłonie. A potem, powoli, sięgnął do kieszeni i wyjął z pudełka mały, złoty krążek. W czystym świetle Cuiviénen lśnił niewinnie. To był pierwszy krok. I Gandalf, w głębi duszy, wiedział, że wchodząc na tę ścieżkę, może już nigdy nie znaleźć

drogi powrotnej. Jego pragnienie czynienia dobra było silniejsze niż jego strach.

Gandalf nie włożył Pierścienia na palec. Po prostu trzymał go w dłoni, pozwalając, by jego moc przepłynęła przez niego jak ciepły, uzdrawiający prąd. Skupił swoją wolę, a zwichnięcie skrzydła, zniknęło na jego oczach. Stworzenie zatrzepotało, a potem z radosnym śpiewem wzbiło się w powietrze. Gandalf poczuł ukłucie czystej, nieskażonej radości. Uczucie, którego nie doświadczył od bardzo dawna.

To był ten moment. Moment, w którym pułapka się zatrzasnęła, choć on jeszcze o tym nie wiedział. Ośmielony tym sukcesem, zaczął używać mocy do innych, dobrych celów. Uzdrowił stare, złamane drzewo, które runęło podczas burzy wieki temu. Pod jego dotykiem, martwe drewno odzyskało życie, a nowe, zielone liście wyrosły w ciągu kilku minut. Z każdym podobnym aktem czuł, jak jego więź z tym miejscem się pogłębia. Nie zdawał sobie sprawy, że pogłębia się również jego zależność od Pierścienia.

Z czasem jego działania stawały się coraz bardziej ambitne. Nie tylko leczył, ale i tworzył. Sprawił, że wyrosły kwiaty o barwach, jakich nie widziano w Śródziemiu, a ich zapach niósł ze sobą wspomnienie ogrodów Lórien. Jego muzyka, wzmocniona mocą Pierścienia, przyciągała zwierzęta z całego lasu, które przychodziły, by słuchać go w milczeniu, bez lęku.

Cuiviénen zaczęło się zmieniać. Nie gwałtownie, lecz powoli, nieuchronnie. Stawało się... doskonalsze. Zbyt piękne, by było

prawdziwe. Było jak sen o Valinorze, który Gandalf nosił w sercu, a który teraz, dzięki Pierścieniowi, mógł urzeczywistnić.

Przy tym wszystkim Pierścień milczał. Nie kusił go już słowami. Nie musiał. Był narzędziem doskonałym, posłusznym i potężnym. Gandalf uczył się, że z Pierścieniem jego zaklęcia nie tylko działały lepiej, działały perfekcyjnie. Bez wysiłku i widocznych, negatywnych konsekwencji. Wiedza, której nie posiadał, pojawiała się w jego umyśle, jakby świat sam otwierał przed nim swoje tajemnice.

Był ostrożny. Używał mocy tylko tutaj, w odosobnieniu. Wmawiał sobie, że to tylko eksperyment, sposób na zrozumienie natury wroga, by móc go lepiej strzec. Ale w głębi duszy wiedział, że się oszukuje. Uzależnił się. Uzależnił się od uczucia tworzenia, poczucia kontroli, od mocy która pozwalała mu przekształcać chaos w harmonię.

Był tak skupiony na pięknie, które tworzył, że nie zauważył subtelnej zmiany w samym sobie. Jego ruchy stały się bardziej pewne, jego głos nabrał nowej głębi. Chodził po swoim małym raju nie jak skromny pielgrzym, ale jak pan swojego ogrodu. Nie ze złością czy pychą, ale z cichą satysfakcją kogoś, kto zaprowadził idealny porządek.

Pierścień nie musiał go już korumpować mrokiem. Znalazł znacznie lepszą drogę. Korumpował go światłem. Pozwalał mu wierzyć, że jest dobry, że jego działania są szlachetne. Pozwalał mu zbudować najpiękniejsze, najbezpieczniejsze więzienie na świecie. Bo kiedy świat, który stworzysz, jest doskonały, zaczynasz go kochać. A gdy go kochasz, zrobisz wszystko, by go chronić. Nawet jeśli będzie to oznaczało użycie pełni mocy, przed

którą tak długo uciekałeś.

Gandalf, uzdrowiciel i stwórca, stał pośrodku swojego ogrodu, nieświadom, że z każdym uleczonym drzewem i każdym wyczarowanym kwiatem, Pierścień zapuszczał korzenie w jego duszy, cierpliwie czekając na dzień, w którym poprosi go nie o stworzenie raju, ale o jego obronę.

Minęły lata, a może dekady. W Cuiviénen czas był pojęciem płynnym, nie mierzonym w obrotach słońca. Ogród Gandalfa stał się cudem, miejscem o pięknie tak czystym i harmonijnym, że zdawał się być echem samej Muzyki Ainurów. Drzewa nie gubiły liści, kwiaty nigdy nie więdły, a woda w jeziorze lśniła stałym, gwiezdnym blaskiem.

W sercu tego raju, jego twórca był pełen niepokoju. Gandalf, nie był głupcem, czuł jak euforia tworzenia powoli ustępowała miejsca sprawdzonej, dobrze znanej podejrzliwości. Siedział na brzegu jeziora, wpatrując się w idealnie gładką taflę wody, a w jego umyśle toczyła się bezgłośna walka. Pierścień, który nosił teraz na łańcuszku na szyi, ukryty pod szatą, był ciepły i spokojny. Zbyt spokojny.

— Dlaczego jesteś taki cichy? — myślał, kierując swoją wolę w stronę złotego krążka. Na Wichrowym Czubie krzyczałeś. W Morii śpiewałeś pieśń potęgi. A teraz, milczysz. Służysz mi bez słowa sprzeciwu. Pomagasz mi tworzyć piękno, leczyć i budować. To nie jest w twojej naturze.

Nie było odpowiedzi. Tylko spokojne, jednostajne pulsowanie, jak mruczenie kota. Oszukujesz mnie, kontynuował swój wewnętrzny monolog. Pokazujesz mi to, co chcę zobaczyć. Używasz mojej własnej miłości do porządku i harmonii przeciwko mnie. Sprawiasz, że wierzę, iż cię kontroluję. Że w moich rękach stałeś się narzędziem dobra. Ale ty nie jesteś narzędziem, jesteś obcą wolą. Wolą zniszczenia, która przybrała postać najpiękniejszej z pokus.

Chodził wzdłuż brzegu, a jego kroki były niespokojne. Jego idealny ogród nagle zaczął go dusić, każdy idealny kwiat, każde zdrowe drzewo, wydawało się teraz częścią misternej pułapki.

Co się stanie, gdy nadejdzie prawdziwa próba? Co się stanie, gdy ktoś lub coś zagrozi temu miejscu? Temu mojemu, małemu rajowi? Czy wtedy też będziesz milczał? Czy wtedy poprosisz mnie o użycie twojej mocy nie do tworzenia, ale do obrony, tylko do niszczenia? Gandalf wiedział, że odpowiedź brzmi tak. Wiedział, że Pierścień cierpliwie buduje w nim przywiązanie do tego miejsca, by w chwili kryzysu mieć pretekst do uwolnienia swojej prawdziwej natury. Uczynił go strażnikiem raju, by w odpowiednim momencie zamienić go w tyrana.

— Muszę to sprawdzić. — Ta myśl pojawiła się w jego umyśle nagle, zimna i ostra. — Muszę cię sprowokować. Zmusić do pokazania prawdziwej twarzy. Jeśli jesteś złem, to musisz reagować na zło. Musisz cieszyć się złem. Nie możesz wiecznie udawać niewinności.

Pierścień na jego piersi wciąż był ciepły i cichy. Czekał i słuchał, ale milczał. I tak narodził się w umyśle Gandalfa chytry, jednocześnie desperacki plan. Postanowił uczynić zło. Nic wielkiego, małe,

świadome akty ciemności, skazy na idealnym płótnie jego raju. Chciał zobaczyć, czy i jak Pierścień zareaguje.

Gandalf czuł, że nie może dłużej żyć w tej dwuznaczności, w tym pięknym, ale zatrutym spokoju. Musiał sprowokować reakcję. Musiał zmusić go do zrzucenia maski. Jego doświadczenia z mocą Jedynego były skrajnie niejednoznaczne. Uzasadnionym aktem desperacji było użycie go przeciwko Nazgûlom i Balrogowi. W tamtych momentach był narzędziem zniszczenia, a ich połączona moc, brutalna i ostateczna. Było to oczywiste.

W Cuiviénen, działo się coś innego. Pierścień stał się narzędziem tworzenia. Był niczym pędzel w ręku artysty, posłuszny, precyzyjny, pozwalający realizować najśmielsze wizje. I ta dwoistość doprowadzała Gandalfa na skraj szaleństwa. Czy Pierścień był tylko naczyniem, które przybierało barwę woli swojego nosiciela? Czy może jego dobroć była tylko nową, bardziej wyrafinowaną formą zła?

Chciał zobaczyć, czy Pierścień się ucieszy. Czy jego spokojny, ciepły pomruk zamieni się w gorączkowe drżenie podniecenia. Czy w jego złotej powierzchni pojawi się choć na chwilę odbicie Oka. Czuł, że nie ma innego wyjścia. Był jak lekarz, który musi wstrzyknąć pacjentowi niewielką dawkę trucizny, by zobaczyć, jak organizm na nią zareaguje i czy uda się znaleźć antidotum.

Stanął pośrodku swojego idealnego ogrodu. Rozejrzał się wokół, po doskonałych kwiatach, po zdrowych, wiecznie zielonych drzewach, po zwierzętach, które nie czuły lęku. Wszystko to

było dziełem jego i Pierścienia. Wszystko było piękne. I wszystko było kłamstwem.

Teraz zamierzał wprowadzić do tego raju skazę. Kropelkę ciemności w czystym kielichu światła. Wybrał swój pierwszy cel. Spojrzał na gniazdo małych, śpiewających ptaków. Nie chciał ich zabijać. Chciał je tylko zranić. Sprawić im ból. I zobaczyć, co się stanie.

Gandalf stał przed swoim pierwszym celem, czując się jak bluźnierca we własnej świątyni. Jego serce protestowało przeciwko temu, co zamierzał zrobić, ale umysł, zimny i analityczny, parł naprzód. Musiał wiedzieć.

Próba pierwsza, czar bólu.

Na brzegu Cuiviénen, w miejscu, gdzie gniazdowały, Gandalf schwytał jedną z tych rozumnych istot. Był to ptak o skrzydłach jak błękitne szafiry, śpiewający tylko o zmierzchu pieśni tak czyste, że mogłyby ukoić każde serce. Gandalf trzymał go delikatnie w wielkiej dłoni, czując drżenie małego ciałka.

— To tylko na chwilę — wyszeptał, bardziej do siebie niż do przerażonego stworzenia. — Chcę tylko zobaczyć, co się stanie.

Skupił swoją wolę, sięgając po moc Pierścienia, który spoczywał w jego drugiej dłoni. Przywołał w umyśle mroczne zaklęcie, którego nauczył się dawno temu. Języki ciemnego, bezdymnego ognia zatańczyły na moment w jego dłoniach. Pierścień błysnął, na jedną krótką, ostrą chwilę, jakby podniecony, jakby mówił Tak! Nareszcie!. Gandalf poczuł ukłucie triumfu, oto jest, prawdziwa na-

tura bestii!

Ale gdy wypowiedział słowa zaklęcia, skupiając wolę na zadaniu bólu... nic się nie stało. Czar zgasł w jego dłoni jak zdmuchnięta świeca. Płomień umarł, a Pierścień, który przed chwilą błysnął, nagle zamilkł, stając się ponownie obojętny. Ptak, który powinien wić się z bólu, tylko spojrzał na Gandalfa swoimi małymi, czarnymi oczami. A potem, zamiast krzyczeć, wydał z siebie cichy, melodyjny dźwięk. Nie był to dźwięk bólu. Był to dźwięk tak pełen czystego, niezrozumiałego rozczarowania, że Gandalf poczuł się, jakby to jemu zadano cios. Ptak odleciał, pozostawiając go w osłupieniu.

Próba druga, iluzja strachu.

Porażka pierwszej próby tylko wzmocniła jego determinację. Tym razem nie chciał nikogo ranić. Chciał tylko wywołać strach. W dolinie, gdzie pasły się łagodne, świetliste jelenie, stworzył widmo. Używając mocy Pierścienia, uformował iluzję z mgły i mrocznych wspomnień, kształt cienia przypominający Balroga, potężny i groźny. Zaklęcie zadziałało bezbłędnie. Pierścień odpowiedział natychmiast, chętnie, jakby cieszył się z tworzenia iluzji. Widmo ruszyło w stronę doliny, a jego ryk powinien był zmrozić krew w żyłach każdego żywego stworzenia.

A jednak jelenie nie drgnęły. Podniosły swoje łby, spojrzały na zbliżającą się grozę, ale nie było w nich paniki. Nie uciekły. Patrzyły z łagodną ciekawością, jakby oglądały teatr cieni, pozbawiony jakiegokolwiek zagrożenia. Po chwili iluzja, nie znajdując pożywki w ich strachu, rozpadła się, rozpływając w porannym powietrzu. Pierścień znów milczał. A w dolinie rozbrzmiała cisza tak głęboka, że niemal słyszalna, cisza porażki.

Próba trzecia, dominacja woli.

Pozostała ostatnia, najbardziej niebezpieczna próba. Gandalf postanowił nie ranić i nie straszyć. Chciał zawładnąć, zdominować umysł innej istoty, narzucić jej swoją wolę. Wybrał samotnego wilka, który mieszkał na skraj jego raju. Było to dumne, silne zwierzę, ucieleśnienie dzikiej natury. Gandalf wyciągnął rękę, trzymając w niej Pierścień. Skupił całą jego moc jak promień, celując w umysł wilka.

Wilk zatrzymał się, wpatrując się w Gandalfa swoimi szaro-zielonymi oczami. Nie warczał, czekał. Gandalf poczuł, jak moc Pierścienia otacza umysł zwierzęcia, jak jego wola zaczyna wnikać do środka. Czuł, że jest o krok od przejęcia całkowitej kontroli. I wtedy coś się wydarzyło. Nie w wilku, w nim samym. W jego głowie, jego własnym głosem, rozbrzmiały słowa.

— Ty też jesteś tylko zwierzęciem, Gandalfie. Starszym, mądrzejszym, ale wciąż kierujesz się instynktami. Czyń, co zamierzasz, bo przecież to dla dobra świata, prawda?

Głos był jego, ale myśl była obca. Była to zimna, drwiąca logika, która obnażyła jego własną pychę. Drżał. Serce waliło mu jak młot. A wilk patrzył, z niemym spokojem, jakby wiedział, że to Gandalf udowodnia coś samemu sobie. Czarodziej cofnął rękę, jakby dotknął ognia. Zaklęcie pękło. Wilk, jakby obudzony z transu, odwrócił się i bezszelestnie zniknął w lesie. Czarodziej osunął się na kolana, pokonany. Pokonany nie przez opór, ale przez jego absolutny brak.

Gandalf klęczał, a echo jego trzech porażek wciąż rozbrzmiewało w jego duszy. Oczekiwał oporu, walki, triumfalnego śmiechu mroku, gdy on sam sięgnie po zło. Spodziewał się, że Pierścień, istota zrodzona z woli Saurona, zatańczy z radości na widok jego upadku. Zamiast tego spotkała go cisza i obojętność. A co najgorsze, odmowa. Wstał powoli, a jego umysł, zwykle tak bystry i analityczny, teraz wirował w chaosie. Próbował zrozumieć to, co się właśnie wydarzyło.

Pierwsza próba, zadanie bólu. Czar po prostu zgasł. Jakby Pierścień powiedział: Nie. Tą ręką nie będziemy ranić bez powodu. To nie jest eleganckie. To nie jest skuteczne. Nie sprzeciwił się z moralności. Sprzeciwił się z... estetyki? Z braku celu?

Druga próba, wzbudzenie strachu. Iluzja była potężna i doskonała, Pierścień chętnie użyczył swojej mocy do jej stworzenia. Ale gdy iluzja nie wywołała pożądanego efektu, czar po prostu się rozpadł. Jakby Pierścień stwierdził. — To nie działa. Strach jest narzędziem dla prostaków. My mamy lepsze metody.

Trzecia próba, dominacja. Najbardziej groźna ze wszystkich. Był tak blisko, a jednak to nie Pierścień go powstrzymał. To jego własne, odbite w zwierciadle Pierścienia myśli, jego własna pycha obnażona i rzucona mu w twarz, sprawiły, że się cofnął. Pierścień nie musiał nic robić. Wystarczyło, że pokazał Gandalfowi jego samego.

Usiadł na zwalonym pniu, ukrywając twarz w dłoniach. Zrozumiał. Pierścień nie odmówił mu, bo był dobry. Odmówił mu, bo jego metody były prymitywne. Były to metody Saurona, ból, strach, do-

minacja. A Pierścień, w rękach Gandalfa, ewoluował. Nauczył się czegoś nowego. Zrozumiał, że jego nowy nosiciel nie pragnie władzy absolutnej nad światem. Pragnie porządku, harmonii, piękna. I właśnie tymi narzędziami zamierzał go zniewolić.

Ku zdumieniu Gandalfa, Pierścień nie pozwalał mu czynić zła, bo zło w tej formie było niepotrzebne i nieefektywne. Po co zadawać ból jednemu ptakowi, skoro można uzależnić od siebie całą krainę, czyniąc ją tak piękną, że jej stwórca nie będzie w stanie jej opuścić? Po co straszyć jelenie, skoro można sprawić, by wszystkie istoty przychodziły do ciebie z miłości i zaufania? Po co dominować umysł jednego wilka, skoro można zawładnąć sercem najpotężniejszego z czarodziejów, pozwalając mu wierzyć, że to on rządzi?

Pierścień, swoim działaniem, udowadniał rzekomą czystość. Ale nie była to czystość światła. Była to czystość doskonałego, wyrachowanego planu. Odrzucał proste, brutalne zło, na rzecz znacznie bardziej wyrafinowanej i skutecznej formy korupcji, przez dobro. Gandalf poczuł się jak dziecko, które próbowało przechytrzyć mistrza szachowego, a ten, zamiast zbić jego figury, po prostu pokazał mu, że cała jego strategia była od początku błędna. To nie była walka, tylko lekcja. A Gandalf był uczniem, który właśnie zrozumiał, że nie ma pojęcia, z kim gra.

Po trzech nieudanych próbach, przez wiele dni Gandalf nie dotykał Pierścienia. Chodził po swoim ogrodzie, ale jego piękno już go nie cieszyło. Teraz widział w nim tylko misterne pręty złotej klat-

ki, którą sam dla siebie zbudował. Każdy doskonały kwiat, każde zdrowe drzewo, każda melodia śpiewana przez ptaki, wszystko to było dowodem jego porażki. Jego pewność siebie, hartowana przez wieki, została ostatecznie rozbita. Ale nie przez cios miecza czy mroczne zaklęcie. Została zniszczona przez szept logiki i pasywną inteligencję złotego krążka.

Usiadł na brzegu jeziora, tego samego, w którym odbijało się światło gwiazd Vardy, i wpatrywał się w swoje odbicie. Ale nie widział Gandalfa, mędrca, doradcy i wojownika. Widział tylko zmęczonego starca, który dał się oszukać w najprostszy możliwy sposób. Więc to jest twoja gra, myślał, a jego myśli nie były już skierowane do Pierścienia, ale do samego siebie. Nie chcesz mnie uczynić drugim Sauronem. Chcesz mnie uczynić... idealnym Gandalfem. Chcesz, bym był tym, kim zawsze chciałem być, mędrcem który leczy, twórcą który buduje i strażnikiem który chroni. Ale chcesz, bym robił to wszystko z twoją pomocą.

Zrozumiał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli będzie się opierał Pierścieniowi, będzie żył w wiecznym strachu i napięciu, a świat na zewnątrz i tak spłonie. Jeśli go użyje, nawet w najszlachetniejszej intencji, będzie realizował jego plan, stając się coraz bardziej od niego zależnym. Pytanie, które go dręczyło, nie brzmiało już, jak mogę go pokonać? Teraz brzmiało, czy ja jeszcze w ogóle z nim walczę?

Nie wiedział już, czy to on kontroluje Pierścień, czy Pierścień kontroluje jego. Granica między jego wolą a wolą artefaktu zatarła się. Czy pragnienie stworzenia pięknego ogrodu było jego własne, czy zostało mu podsunięte? Czy jego litość dla cierpiących istot była prawdziwa, czy była tylko pretekstem, by sięgnąć po moc?

Kim on właściwie był bez Pierścienia? Czy pozostała w nim jeszcze jakakolwiek siła, która nie była pożyczona?

W tej chwili zwątpienia, Pierścień, który spoczywał w jego kieszeni, zdawał się odpowiadać. Nie słowami , ale uczuciem spokoju, harmonii i... słuszności.

— Zobacz? — zdawał się mówić. Nie walcz ze mną. Walcz przeze mnie. Ja jestem tylko narzędziem. Najlepszym, jakie kiedykolwiek miałeś. Jestem narzędziem doskonałym.

I to było najgorsze. Bo gdzieś głęboko, w części jego duszy zmęczonej wieczną walką, ta myśl była kusząca. Myśl o poddaniu się. O zaprzestaniu walki z samym sobą. O zaakceptowaniu tej nowej, potężnej symbiozy i użyciu jej, by naprawdę zmienić świat na lepsze.

Gandalf wstał, jego odbicie w wodzie zadrżało. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł się całkowicie i bezgranicznie samotny. Uwięziony w raju, który sam stworzył, z wrogiem, który nie walczył, ale pomagał. Zrozumiał, że jest w pułapce znacznie głębszej i mroczniejszej niż jakakolwiek sztolnia Morii.

Nie wiedział już, czy jest strażnikiem, czy więźniem. Czy jest panem, czy narzędziem. Wiedział tylko, że przegrał bitwę, której nawet nie był świadomy, że toczy. A wojna o jego duszę weszła w nową, przerażającą fazę, cichej i dobrowolnej współpracy.

# Rozdział 9

Cuiviénen było ciche tej nocy, ziemia oddychała, głęboko i spokojnie, jak starożytny duch śniący w korzeniach świata. Gandalf leżał wśród niskich, srebrzystych traw, z oczyma utkwionymi w bezchmurnym niebie. Ziemia pod nim była chłodna, a światło gwiazd przenikało przez liście drzew, drżąc na trawie jak delikatna, świetlista tkanina. Nie spał. W swoim nowym stanie nie musiał spać, by śnić.

W tym samym czasie, tysiące mil na zachód, Galadriela stała nad swoim Zwierciadłem. Woda w misie, choć wcześniej drżąca, teraz była gładka i czysta jak szkło, wstrzymując oddech w oczekiwaniu. Obok niej stał Celeborn, ale milczał. Wiedział, że w tej chwili jego słowa nie miałyby znaczenia. To była rozmowa, która musiała odbyć się w ciszy.

Palce Galadrieli musnęły powierzchnię wody, nie po to, by ją zakłócić, ale by przywołać, by dostroić ją do jednej, konkretnej duszy. Nie szukała Gandalfa, czarodzieja. Szukała Olórina, Majara, ducha, którego znała, zanim świat przybrał swój obecny kształt.

— Olórinie — powiedziała cicho, a jej głos był jak szept liścia na wietrze.

Nie widziała jego twarzy, bo nie ukazał się w Zwierciadle. Ale przez idealnie gładką taflę wody poczuła go. Poczuła pęknięcie w jego istocie, jakby coś, co było kiedyś czystym światłem, drżało

teraz pod ciężarem zbyt wielkiej, mocy. Zamknęła oczy i otworzyła swój umysł. Jej głos, nie w formie dźwięku, ale czystej, życzliwej myśli, popłynął na wschód. Płynął przez rzeki, przez góry i pustkowia, nie jak rozkaz czy wezwanie, ale jak dłoń wyciągnięta w ciemności.

W swoim raju nad brzegiem jeziora, Gandalf zadrżał, nie ciałem ale duszą. W bezkresnej ciszy Cuiviénen, w której zdążył się już pogrążyć, nagle usłyszał dźwięk echa. Jego własne, dawno zapomniane imię, Olórin, powróciło do niego z najgłębszych zakamarków pamięci, z miejsca między światami. Usłyszał ją.

— Wciąż jesteś tym, kim byłeś — szeptała myśl Galadrieli, delikatna i ostrożna. Choć być może, już w to nie wierzysz. Pierścień jeszcze cię nie przemienił. Ale czas... czas może to uczynić. Czas i samotność. Wróć do nas. Lub przynajmniej odpowiedz. Daj jakiś znak. Nie jesteś sam.

Na moment, tylko na jeden, pojedynczy ułamek wieczności, Gandalf poczuł przemożną chęć odpowiedzenia. Jego serce, stare i zmęczone, zapragnęło wyciągnąć rękę i chwycić tę, która została do niego wyciągnięta. Pragnął podzielić się swoim ciężarem, swoim lękiem i nową wiedzą. Ale wtedy coś w nim się cofnęło. Nie był to strach ani pycha. Było to chłodne, wyrachowane wahanie, zrodzone z jego nowej mądrości. Bo u brzegu tej świetlistej myśli od Galadrieli, usłyszał inny, cichy szept. Głos Pierścienia, który przemówił jego własnymi, racjonalnymi myślami.

— Zachód cię nie zrozumie. Oni się boją. Boją się mocy, której ty się nauczyłeś używać. Chcą, żebyś wrócił i był taki sam jak dawniej. A ty już nigdy nie będziesz taki sam.

Pierścień, leżący na jego piersi, był zimny i cichy. Ale Gandalf wiedział, że nasłuchiwał. I że, na swój sposób, odpowiadał za niego.

W Lórien, Galadriela cofnęła rękę znad Zwierciadła. Woda znów zadrżała, a potem się uspokoiła. Jej twarz nie zdradzała emocji, ale milczenie ze strony Gandalfa wywołało w niej niepokój głębszy niż jakakolwiek gniewna odpowiedź.

— Nie odpowiada — szepnęła. — Ale usłyszał mnie. To jeszcze nie koniec.

Gandalf w Cuiviénen siedział w cieniu drzewa i ściskał Pierścień w dłoni, której nie mógł rozluźnić. Na jego policzku pojawiła się łza. Nie wiedział, czy była to łza smutku, czy ulgi. Ale wiedział jedno, nie był sam. I to, bardziej niż jakakolwiek moc, mogło wszystko odmienić. Na dobre lub na złe.

Głos Galadrieli odbijał się echem w duszy Gandalfa. Był jak dotyk ciepłej dłoni na policzku po długim, mroźnym spacerze. Poczuł ulgę. Przypomniał sobie o Lórien i Rivendell, o twarzach przyjaciół. Przypomniał sobie, że istnieje świat poza jego idealnym, samotnym ogrodem. To uczucie trwało tylko chwilę. Zaraz po nim przyszła chłodna analiza, przefiltrowana przez logikę, którą przez lata wypracował w symbiozie z Pierścieniem.

Usiadł prosto, a jego oczy, wpatrzone w gwiazdy, stały się twarde. Zrozumiał, co się właśnie stało. Galadriela go wyczuła. Sięgnęła do niego przez pół świata. A to oznaczało, że nie jest tak dobrze ukryty, jak mu się wydawało. Oznaczało, że wciąż jest częścią gry,

z której tak desperacko próbował się wypisać.

Jego umysł, teraz ostry i precyzyjny jak nigdy dotąd, zaczął pracować. — Dlaczego teraz? — pytał sam siebie. Dlaczego właśnie, teraz gdy znalazłem spokój i sposób na kontrolowanie tej mocy? Odpowiedź przyszła natychmiast.

— Oni się boją. — Ta myśl była tak klarowna i logiczna, że przyjął ją jako własną. — Boją się ciebie. Boją się mocy, której użyłeś. Słyszeli echo upadku Nazgûli, czuli śmierć Balroga. Nie rozumieją, że to były akty koniecznej obrony. Widzą w tym tylko niekontrolowaną siłę, która ich przeraża.

Jej głos... — myślał dalej. — Wróć do nas, prosiła. Ale co to znaczy? Chce, żebym porzucił to miejsce, tę wiedzę i kontrolę. Chce, żebym wrócił i znów był starym, Gandalfem, który boi się własnego cienia. Chce, żebym oddał im Pierścień, by mogli debatować nad nim bez końca, aż Sauron odzyska pełnię sił i zniszczy ich wszystkich. Ona nie rozumie.

To przekonanie uderzyło go. Zachód, jego dawni przyjaciele i sojusznicy, nie rozumieli jego nowej drogi. Utknęli w starych schematach walki dobra ze złem, w których moc jest zawsze zła, a słabość jest cnotą. Nie próbowali pojąć, że znalazł trzecią drogę, drogę kontrolowanej mocy, używanej w słusznym celu. Drogę tworzenia, a nie niszczenia.

To, co dla Galadrieli było wyciągnięciem ręki w geście przyjaźni, dla niego stało się próbą dławienia, wezwaniem do powrotu do starego, nieskutecznego porządku. Utwierdziło go to w przekonaniu, że jednak jest sam. Nie dlatego, że nikt o nim nie pamiętał, ale dlatego, że nikt nie był w stanie pojąć jego wizji.

Spojrzał na swój ogród. Na uzdrowione drzewa, na kwiaty, które nie więdły. Mimo że do tej pory, w jego mniemaniu, nie stało się nic złego, wręcz przeciwnie, tworzył tylko dobro i piękno, zrozumiał, że w oczach zachodu jest potworem. Potężną, nieprzewidywalną istotą, która wymknęła się spod kontroli.

Poczucie osamotnienia, które na chwilę zniknęło, powróciło ze zdwojoną siłą. Tteraz była to inna samotność, nie było w niej już rozpaczy. Była duma pioniera, którego nikt nie rozumie. Duma jedynego, który widzi prawdziwą ścieżkę.

Nie mogę wrócić, postanowił. Nie teraz. Muszę im udowodnić, że moja droga jest słuszna. Muszę stworzyć coś tak doskonałego, tak bezpiecznego, że nawet oni będą musieli przyznać mi rację.

Kontakt z Galadrielą, zamiast przyciągnąć go z powrotem, ostatecznie go odepchnął. Uwierzył, że musi chronić swój raj nie tylko przed Sauronem, ale i przed swoimi przyjaciółmi, którzy w swojej ignorancji mogliby zniszczyć jedyną prawdziwą nadzieję dla Śródziemia. Jego izolacja stała się jego fortecą. A Pierścień, cichy i ciepły na jego piersi, pulsował z zadowoleniem. Gra weszła na kolejny poziom.

Zwierciadło Galadrieli znów było tylko wodą. Gładka, nieruchoma tafla odbijała jedynie światło gwiazd i zaniepokojoną twarz swojej pani. Próba nawiązania kontaktu dobiegła końca. Nie było odpowiedzi. Była tylko cisza, która krzyczała głośniej niż jakikolwiek krzyk.

Galadriela cofnęła dłoń, a w jej oczach, które pamiętały światło Drzew Valinoru, pojawił się cień głębokiego smutku. Odwróciła się od Zwierciadła i spojrzała na Celeborna, który przez cały czas stał milcząco u jej boku.

— Usłyszał mnie — powiedziała cicho, a jej głos był pozbawiony zwykłej, melodyjnej siły. Brzmiał jak głos kogoś, kto właśnie stracił coś cennego. — Poczułam go. Na moment... na moment niemal odpowiedział. Była w nim tęsknota.

— Ale jej nie uległ — dokończył za nią Celeborn, a jego twarz była surowa. — Co poczułaś potem, moja pani?

— Opór — odparła Galadriela, a jej spojrzenie powędrowało ku koronom mallornów, jakby szukała odpowiedzi w ich złotych liściach. — Chłodny, wyrachowany opór. Jakby moja myśl uderzyła w mur, który sam wokół siebie zbudował. Mur z logiki i... pychy. On już nie myśli tak jak my, Celebornie. Jego umysł został wyostrzony przez Pierścień, ale ta ostrość tnie w obie strony. Widzi w nas zagrożenie dla siebie.

Usiadła na kamiennej ławie, a jej postać, zwykle emanująca siłą, zdawała się na chwilę krucha. — Próbowaliśmy wyciągnąć do niego rękę, a on uznał to za próbę zamknięcia go w klatce. On myśli, że jest sam, bo nikt nie jest w stanie go zrozumieć. A on karmi to poczucie izolacji, czyniąc z niej cnotę.

Celeborn usiadł obok niej, a jego obecność była cicha i wspierająca.

— Czy mamy więc jeszcze nadzieję? Czy powinniśmy próbować ponownie?

Galadriela pokręciła głową. — Nie. Nie w ten sposób. Każda kolejna próba będzie go tylko odpychać. Utwierdzi go w przekona-

niu, że próbujemy nim manipulować. Nie możemy już rozmawiać jak z przyjacielem, którym był. Musimy zacząć myśleć o tym, kim się staje.

Wstała, a w jej oczach znów zapłonęła dawna determinacja.

— On nie upadł tak jak Saruman, w otchłań zdrady i nienawiści. Jego droga jest subtelniejsza i być może groźniejsza. On upada w górę, ku światłu, które sam tworzy. Staje się panem swojego małego raju, a tacy władcy są najtrudniejsi do obalenia, bo wierzą w słuszność swojej sprawy.

— Więc co zrobimy? — zapytał Celeborn.

— Będziemy czuwać — odparła Galadriela, a jej głos odzyskał dawną moc. — Ale nasza straż musi się zmienić. Nie możemy już tylko patrzeć w Zwierciadło, czekając na jego ruch. Musimy zacząć przygotowywać się na dzień, w którym jego raj zechce się rozszerzyć. Musimy wzmocnić granice Lórien, nie tylko przeciwko orkom z Morii, ale i przeciwko dobru, które może nadejść ze wschodu, niosąc ze sobą jarzmo doskonałości.

Spojrzała w kierunku, w którym zniknęła jej myśl. — Nasz przyjaciel wciąż tam jest, uwięziony wewnątrz potężnej istoty, którą się stał. Ale nie możemy go już uratować słowami. Jeśli ma zostać ocalony, będzie to wymagało czynów. I być może ofiary, której nikt z nas nie jest jeszcze gotów ponieść. W złotym lesie Lórien zapadła noc. Była to noc piękna i smutna, bo oto dwoje najstarszych i najmądrzejszych istot w Śródziemiu zrozumiało, że właśnie stracili przyjaciela. I być może zyskali nowego, nieprzewidywalnego wroga, który nosił jego twarz.

# Rozdział 10

Za bezkresnymi wodami oceanu, za magicznymi wyspami i Zasłoną, która oddzielała świat śmiertelników od tego, co boskie, leżała kraina Aman. Królestwo Błogosławione. Tutaj powietrze było inne, nie tylko czystsze czy świeższe. Było przesiąknięte pamięcią o Pieśni Początku, echem samej myśli Eru Ilúvatara. Każdy powiew wiatru niósł ze sobą nuty, których nie potrafiło odtworzyć żadne gardło ani instrument w Śródziemiu. Każdy promień światła zdawał się mieć własną, świetlistą świadomość.

Łąki Valinoru falowały łagodnie, ich trawa była bardziej zielona niż jakikolwiek szmaragd, a kwiaty, które na nich rosły, nigdy nie więdły, zmieniały swoje barwy w rytm niewidzialnej muzyki. Lasy Yavanny były pełne drzew o srebrnych i złotych liściach, a ich konary uginały się od owoców.

Nad wszystkim górowały Pelóri, góry Amanu, najwyższe góry Ardy. Ich szczyty, ostre i majestatyczne, sięgały tak wysoko, że przebijały się przez warstwę chmur, a ich wierzchołki lśniły w wiecznym, nieziemskim świetle. Na najwyższym z nich, Taniquetilu, wznosiły się pałace Manwëgo, Władcy Oddechu Ardy i Vardy, Królowej Gwiazd. Stamtąd ich spojrzenie mogło objąć cały świat. Valinor był krainą pokoju. Nie było tu chorób, smutku ani rozkładu. Elfy, które dotarły tu po Wielkiej Wędrówce, żyły w wiecznym szczęściu, przechadzając się po lśniących ulicach Tirionu lub

śpiewając pieśni na brzegach morza. A jednak, nawet w tym raju, od wieków wyczuwalny był cień. Odległe, ale stałe echo zranionego świata, który zostawili za sobą. Był to cień bólu Śródziemia, a jego epicentrum znajdowało się teraz w jednym, małym, złotym przedmiocie i w duszy istoty, którą sami tam wysłali, by leczyła, a nie rządziła. I ten cień, choć odległy, zaczynał rzucać długą smugę nawet na błogosławione wybrzeża Amanu.

W sercu Valinoru, niedaleko złotych bram miasta Valmar, wznosiło się, zielone wzgórze. Było to miejsce zarówno chwały, jak i wiecznej żałoby. Ezellohar. To tutaj, w Czasach Dawnych, rosły srebrny Telperion i złoty Laurelin, których światło było źródłem całego błogosławieństwa Amanu. Teraz wzgórze było puste, pokryte jedynie trawą, która zdawała się pamiętać i tęsknić za utraconym blaskiem. Było to ciche, potężne przypomnienie o tym, co zostało zniszczone przez wielkie zło, i o kruchości nawet najdoskonalszego piękna.

Niedaleko tego wzgórza, w miejscu, gdzie nic nie rzucało cienia, znajdował się Krąg Przeznaczenia, Máhanaxar. Nie była to budowla, lecz krąg lśniących, wypolerowanych tronów, ustawionych na otwartym powietrzu. To tutaj Valarowie zbierali się, by sądzić i podejmować najważniejsze decyzje dotyczące losów Ardy. Trony były teraz puste, z wyjątkiem dwóch.

Na jednym z nich, który zdawał się utkanym z samej gwiezdnej nocy, zasiadała Varda, Elentári, Pani Gwiazd. Jej piękno było surowe i olśniewające, a w jej oczach, głębokich jak kosmiczna pustka,

drgały światła wszystkich konstelacji, które stworzyła. Nie patrzyła na Valinor. Jej spojrzenie, przenikające przez Zasłonę, skupiało się na jednym, odległym punkcie w Śródziemiu.

Obok niej, na tronie z czarnego, pozbawionego blasku kamienia, siedział Mandos, Sędzia Umarłych. Jego twarz była bez wyrazu, spowita w cień, a jego postać zdawała się emanować ciszą i ostatecznością. Rzadko opuszczał swoje podziemne sale, ale waga chwili sprawiła, że zajął swoje miejsce w Kręgu, on również patrzył.

Nie potrzebowali kryształowej kuli ani zwierciadła. Obserwowali losy Gandalfa bezpośrednio, wplatając swoją świadomość w osnowę świata. Widzieli go nie jako starca w szarym czy białym płaszczu. Widzieli jego duszę, jego fëa, płomień, który kiedyś był czystym światłem w ich obecności, a który teraz drgał, zmieniał barwę, otoczony przez pasożytniczy blask Pierścienia.

Widzieli jego podróż, jego ucieczkę w głąb siebie. Widzieli przybycie do Cuiviénen, miejsca tak świętego, że ich serca napełniły się bólem na myśl o profanacji, jaka się tam dokonywała.

— On tworzy ogród — odezwała się Varda, a jej głos był jak muzyka odległych gwiazd. — Używa mocy Jedynego, by naśladować pieśń Yavanny. Buduje swój własny, mały Valinor. Myśli, że czyni dobro.

— Każdy tyran zaczyna od wiary, że jego porządek jest lepszy — odparł Mandos, a jego głos był bezbarwny jak echo w pustej sali.

— On nie walczy już z Pierścieniem. On z nim współpracuje. Znalazł usprawiedliwienie dla używania jego mocy. To najgorsza z dróg.

Widzieli jego eksperymenty. Także próby czynienia zła, które Pierścień udaremnił. Widzieli, jak jego pewność siebie pęka, zastąpiona przez pychę zrodzoną z izolacji. A ostatnio widzieli, jak myśl Galadrieli dotknęła go, a on, zamiast ją przyjąć, odrzucił ją, pogrążając się jeszcze głębiej w swoim przekonaniu o własnej wyjątkowości.

— Z każdym dniem staje się bardziej podobny do niego — rzekł cicho Mandos, oboje wiedzieli, o kim mówi. Nie o Sauronie, ale ich dawnym bracie, Melkorze. Nie w jego niszczycielskiej furii, ale w jego pierwotnej pysze — pragnieniu tworzenia własnego, doskonałego świata, niezależnego od woli Stwórcy.

Varda westchnęła, a na nocnym niebie Valinoru jedna z gwiazd zamigotała i przygasła. — Czas się kończy. Wkrótce stanie przed ostatecznym wyborem. A ja... ja obawiam się, że już go dokonał. Musimy być gotowi.

Mandos odwrócił swoje spojrzenie od wizji Śródziemia i spojrzał na Vardę. Jego twarz wciąż była spowita cieniem, ale w jego słowach czaiła się frustracja, tak stara jak sama Arda.

— Dlaczego więc milczymy? — zapytał, a jego myśl uderzyła w ciszę Kręgu Przeznaczenia. — Dlaczego Manwë siedzi na Taniquetilu i rozmawia z orłami, zamiast wezwać burzę, która zmyłaby ten mrok z powierzchni ziemi? Dlaczego Aulë nie kuje nowej broni, a Tulkas nie rwie się do walki?

Varda nie odpowiedziała od razu. Jej gwiezdne oczy wpatrywały się w pustkę, która pozostała po Dwóch Drzewach, jakby szu-

kała tam odpowiedzi.

— Bo nasze dłonie są związane, Námo — powiedziała w końcu, a jej głos niósł w sobie ciężar Prawa.

— Związane przez wybory, których dokonaliśmy dawno temu.

Rozumieli to oboje, aż za dobrze. Nie mogli interweniować bezpośrednio. Ich ostatnia wielka interwencja, Wojna Gniewu, która zakończyła Pierwszą Erę, pokonała Morgotha, ale przy okazji zatopiła Beleriand. Ich potęga była zbyt wielka dla delikatnej równowagi świata śmiertelników. Potem był Númenor, kiedy ofiarowali ludziom dar długiego życia i wyspę z dala od cieni, a ci, w swojej pysze, podburzeni przez Saurona, odwrócili się przeciwko nim i próbowali najechać Valinor. Wtedy interweniował sam Eru Ilúvatar. Zmienił kształt świata, zatopił Númenor i uczynił Aman niedostępnym dla śmiertelników. Był to znak, że Dzieci Ilúvatara same muszą kształtować swoje losy, odnosić własne zwycięstwa, popełniać błędy i płacić za nie.

— Ustanowiliśmy Prawo — kontynuowała Varda, a jej głos był pełen rezygnacji. — Świat ma należeć do ludzi. Możemy im doradzać, możemy ich inspirować, możemy wysyłać posłańców, takich jak Olórin. Ale nie możemy walczyć w ich wojnach. Gdybyśmy to zrobili, odebralibyśmy im wolną wolę, która jest największym darem od Jedynego. Zastąpilibyśmy tyranię Saurona naszą własną, boską tyranią.

— A czy to, co robi Olórin, nie jest właśnie taką tyranią? — zapytał Mandos. — Używa mocy, która nie należy do tego świata, by kształtować go według własnej woli. Czym to się różni od naszych dawnych interwencji?

— On wciąż jest częścią tego świata — odparła Varda. — Działa od wewnątrz, a nie z zewnątrz. Jego upadek lub zwycięstwo będzie ich upadkiem lub zwycięstwem. To ich historia, nie nasza.

Mandos zamilkł. Wiedział, że Varda ma rację. Takie było Prawo, które sami napisali, teraz wydawało im się więzieniem. Byli wszechpotężni, a jednak bezsilni. Mogli tylko patrzeć, jak jeden z ich najwierniejszych sług stacza się w otchłań, pociągając za sobą cały świat.

— A więc mamy tylko patrzeć? — zapytał w końcu, a w jego głosie, po raz pierwszy od wieków, pobrzmiewała nuta bezradności. — Patrzeć, jak światło, które sami wysłaliśmy, staje się nowym cieniem?

Varda odwróciła wzrok od pustego wzgórza i spojrzała w jego stronę. W jej oczach nie było już rezygnacji, ale nowa, zimna determinacja.

— Nie. Patrzeć już nie wystarczy. Nie możemy interweniować bezpośrednio. Ale to nie znaczy, że nie możemy się przygotować. Prawo zabrania nam walczyć za nich. Ale nie zabrania nam otworzyć im drzwi, gdy ich własna walka dobiegnie końca. Na powrót... lub na ostateczne zatracenie.

— Co proponujesz? — zapytała cicho, a jej głos niósł w sobie gotowość do działania, która zastąpiła wcześniejszą rezygnację.

Mandos, Strażnik Domów Umarłych, powoli wstał ze swojego czarnego tronu. Jego postać, choć wciąż spowita cieniem, zda-

wała się nabierać nowego, groźnego majestatu.

— Myślimy o tym w złych kategoriach. Próbujemy znaleźć sposób, by ocalić Olórina. Być może musimy zacząć myśleć o ocaleniu Ardy przed nim.

Varda również wstała.

— Myślisz, że stanie się jak Melkor? Że zapragnie zniszczenia?

— Nie — odparł Mandos, a jego myśl była ostra i precyzyjna.

— To byłoby zbyt proste. Olórin nigdy nie pokocha zniszczenia. On zechce uratować wszystko. Nawet to, co nie powinno być ocalone. Zechce zatrzymać czas, powstrzymać śmierć, narzucić światu wieczną, niezmienną harmonię. Zechce stworzyć raj, w którym nie ma już miejsca na wolny wybór, na błąd, na smutek. A to jest śmierć gorsza niż ogień. To śmierć ducha.

Varda wpatrywała się w niego, rozumiejąc przerażającą logikę jego słów. — Więc co możemy zrobić? Nie możemy go zniszczyć. Nie możemy odebrać mu mocy, której sam się nauczył.

— My nie — zgodził się Mandos. — Ale możemy przygotować świat na konsekwencje. Jeśli Olórin ostatecznie upadnie, jeśli jego wola i wola Pierścienia staną się jednością, jego moc osiągnie poziom niemal boski. Będzie w stanie zakrzywiać rzeczywistość, wpływać na same fundamenty świata. Ale nawet on nie będzie wszechmocny. Będzie miał jedną słabość.

— Jaką? — zapytała Varda.

— Pamięć — odparł Mandos. — Pamięć o tym, czym świat miał być. Pamięć zapisaną w sercach Dzieci Ilúvatara. Pamięć o Pieśni, która go stworzyła.

Jego plan był subtelny i miał kosmiczną skalę. Nie chodziło o wysłanie armii ani stworzenie nowej broni. Chodziło o przygotowanie duchowego antidotum.

— Musimy sięgnąć do samej Pieśni Początku — kontynuował Mandos. — Musimy odnaleźć w niej akordy, które rezonują z wolnością, zmianą i śmiertelnością. Z tym wszystkim, co Olórin będzie chciał zniszczyć. Musimy utkać z nich nową, cichą pieśń. Pieśń, której nie usłyszą uszy, ale którą poczują dusze.

— I co z nią zrobimy?

— Irmo, Pan Snów, pomoże nam zasiać ją w snach elfów i ludzi. Aulë, kowal, może znaleźć sposób, by wpisać ją w strukturę kamienia i metalu. Yavanna może tchnąć ją w nasiona drzew, które kiedyś wyrosną. Nie będzie to zaklęcie. Będzie to... fundamentalna prawda o świecie, ukryta tuż pod powierzchnią, czekająca na przebudzenie.

Varda zrozumiała.

— Jeśli Gandalf stworzy swój idealny, statyczny raj, ta pieśń będzie wiecznym dysonansem. Będzie przypominać światu o tym, co utracił. Będzie budzić w sercach tęsknotę za wolnością, nawet jeśli zapomną, czym ona jest.

— Dokładnie — potwierdził Mandos.

— To nie pokona go siłą. Ale podważy fundamenty jego władzy. Sprawi, że jego raj stanie się jego więzieniem, wiecznie nękanym przez szept prawdy, której nie będzie mógł wymazać. To będzie nasza ostatnia interwencja. Nie walka o świat, ale zasianie nasion dla świata, który nadejdzie po nim.

— A jeśli zwycięży? — zapytała Varda, a w jej głosie znów po-

jawiła się iskierka nadziei.

— Jeśli w ostatniej chwili odrzuci Pierścień i pozostanie sobą?

Mandos spojrzał w jej stronę, a w cieniu jego kaptura na moment pojawił się niemal niewidoczny błysk. — Wtedy ta pieśń stanie się jego drogą powrotną. Będzie mógł podążyć za jej echem aż do brzegów Amanu. Nie po chwałę, ani przebaczenie. Ale po ciszę i uzdrowienie.

Varda skinęła głową. — Zatem zróbmy to. Stwórzmy pieśń cichszą niż pamięć, ale silniejszą niż czas.

W Kręgu Przeznaczenia, dwa potężniejsze duchy Ardy rozpoczęły pracę. Nie kuły mieczy, nie zbierały armii. Zaczęły tkać melodię z nadziei i rozpaczy, przygotowując świat na najgorszy z możliwych scenariuszy. Walka o duszę Gandalfa przestała być tylko sprawą Śródziemia. Stała się walką o naturę rzeczywistości.

W Cuiviénen gwiazdy, które odbijały się w tafli jeziora, zdawały się być na wyciągnięcie ręki. Gandalf siedział w milczeniu, a jego umysł, połączony z mocą Pierścienia, był spokojny i rozległy jak ocean. Tworzył w myślach nowe wzory dla płatków kwiatów i nucił bezgłośne melodie, które sprawiały, że liście na drzewach drżały w harmonijnym rytmie. Był pogrążony w swoim dziele, w swoim małym, doskonałym wszechświecie.

I wtedy to poczuł, było to subtelne, niemal niezauważalne zakłócenie w samej osnowie rzeczywistości. Jak fałszywa nuta w doskonałej symfonii. Jego zmysły, wyostrzone przez moc Pierścienia

do niewyobrażalnego poziomu, sięgnęły daleko poza granice fizycznego świata. Podążyły za tym echem, przez kontynenty, przez ocean, przez Zasłonę, która miała być nieprzenikniona. I tam, na progu wieczności, w miejscu, które było tylko wspomnieniem w jego duszy, poczuł spojrzenie.

Nie jedno, a dwa. Nie były wrogie. Jedno było zimne i ostateczne jak wyrok, jak cisza grobowca. Drugie było jasne i odległe jak światło najdalszych gwiazd. Mandos i Varda. Przez tysiąclecia żył ze świadomością, że Valarowie obserwują świat w sposób pasywny. Ale to było inne. To spojrzenie skupione było prosto na nim, na jego duszy.

— Więc patrzycie — wyszeptał do ciszy swojego raju, a jego głos był pełen zdumienia i nagłej, lodowatej goryczy. — Nawet tutaj.

Poczuł się jak owad przypięty szpilką do stołu przez bezlitosnego badacza. Każdy jego ruch, każda myśl, każda chwila jego samotnej walki i jego cichego, małego tryumfu, wszystko to było obserwowane i oceniane. W jego umyśle pojawiła się fala gniewu, tak silna, że aż zadrżały liście w jego ogrodzie.

— Nie przyszliście, gdy świat płonął — mówił dalej, a jego słowa były oskarżeniem rzuconym w pustkę. — Gdy Sauron rósł w siłę. Gdy elfy i ludzie przelewali krew. A teraz? Teraz, gdy znalazłem sposób, by zapanować nad tą mocą, by użyć jej do tworzenia, a nie niszczenia, teraz mnie obserwujecie?

Zaczął chodzić wzdłuż brzegu jeziora, a jego kroki były ciężkie i gniewne. — Czego się boicie? Że mi się uda? Że udowodnię, iż wasza bezczynność była błędem? Że stanę się siłą, której nie będziecie mogli kontrolować?

W tej chwili niebo nad Cuiviénen lekko przygasło. Nie była to chmura. Raczej zawahanie światła, jakby sama rzeczywistość wstrzymała oddech, słuchając tego bluźnierstwa. I wtedy, przez gniew, przebiła się inna myśl. Bardziej bolesna i niepokojąca.

— A może... — szepnął, a jego głos się załamał. — Może się mylę. Może patrzycie nie dlatego, że się boicie. Ale dlatego, że wciąż we mnie wierzycie?

Zamilkł. Pierścień na jego piersi, był cichy. Jakby on również poczuł to spojrzenie i rozpoznał w nim swoich najstarszych, największych wrogów. Gandalf zrozumiał, że jego moc sięgnęła miejsc, do których żaden śmiertelnik, a nawet żaden Majar w Śródziemiu, nie miał prawa sięgać. Zrozumiał, że jeśli zechce, może skupić swoją wolę i spojrzeć z powrotem. Dostrzec Krąg Przeznaczenia, trony Valarów, a może nawet twarz samego Mandosa, sędziego umarłych.

Ale nie zrobił tego, nie chciał wiedzieć. Strach przed tym, co mógłby zobaczyć, potępienie czy nadzieję, był zbyt wielki.

Usiadł z powrotem na brzegu i spojrzał w wodę. Tym razem nie widział własnego odbicia. Widział tylko nieskończoną, gwiezdną pustkę. I po raz pierwszy w swoim idealnym raju poczuł się jak w potrzasku. Uwięziony nie tylko przez Pierścień, ale i przez spojrzenie bogów.

Spojrzenie Valarów, choć trwało tylko chwilę, na zawsze zmieniło Cuiviénen. Raj, który był dla Gandalfa schronieniem, stał się teraz sceną, na której był głównym i jedynym aktorem, obserwo-

wanym przez niewidzialną, kosmiczną publiczność. Uczucie bycia sądzonym stało się jego nieodłącznym towarzyszem.

To potęgowało jego poczucie osaczenia do niewyobrażalnego stopnia. Z jednej strony czuł nieustanną presję Oka, które przeszukiwało świat w poszukiwaniu Pierścienia. Z drugiej, czuł teraz chłodne, oceniające spojrzenie zza Morza, spojrzenie istot, które go wysłały, a które teraz, jak sądził, czekały na jego potknięcie. Był uwięziony pomiędzy dwoma potęgami, z których żadna go nie rozumiała.

Jego reakcja nie była jednak taka, jakiej mogliby się spodziewać Valarowie. Gandalf nie czuł skruchy i nie wątpił w swoje wybory. Przeciwnie, poczucie bycia niezrozumianym i osaczonym tylko utwierdziło go w jego postanowieniu. Jeśli cały świat, patrzył na niego z podejrzliwością, to znaczyło, że jego droga musi być słuszna. Była to ścieżka tak rewolucyjna, że nikt inny nie był w stanie jej pojąć.

Zamiast otworzyć się na świat, zamknął się jeszcze bardziej. Jego ogród w Cuiviénen przestał być tylko azylem. Stał się fortecą. Gandalf zaczął używać mocy Pierścienia nie tylko do tworzenia piękna, ale i do budowania barier. Nie były to mury z kamienia, ale subtelne, potężne osłony mentalne i duchowe. Stworzył wokół swojej krainy zasłonę ciszy, która miała tłumić jego obecność, czyniąc go jeszcze trudniejszym do wykrycia, obojętne dla kogo. Nauczył drzewa i kamienie, by szeptały fałszywe echa, które miały zmylić każdego, kto próbowałby go nasłuchiwać. Pracował z gorączkową determinacją, a Pierścień, jego cichy sojusznik, służył mu bez wahania. Cieszył się z tej nowej paranoi czarodzieja. Każda bariera, którą tworzył Gandalf, by odizolować się od świa-

ta, była jednocześnie barierą, która jeszcze mocniej wiązała go z Pierścieniem. Stawali się zamkniętym, samowystarczalnym systemem.

Jego poczucie izolacji przerodziło się w pychę. Nie potrzebuję ich, myślał, odnosząc się zarówno do Valarów, jak i do swoich dawnych przyjaciół w Śródziemiu. Nie rozumieją ofiary, jaką ponoszę. Nie widzą piękna, które tworzę. Zbuduję tu świat tak doskonały, że gdy w końcu go zobaczą, będą musieli przyznać mi rację. Uklękną, nie ze strachu, ale z podziwu.

Przestał walczyć ze swoimi wątpliwościami. Teraz walczył ze światem zewnętrznym, który w jego oczach stał się zagrożeniem dla jego utopii. Jego raj, niegdyś schronienie dla jego zmęczonej duszy, stał się jego ostatecznym więzieniem. Zbudowanym z najpiękniejszych kwiatów, najczystszej wody i najgłębszej, najbardziej samotnej dumy. A on sam, niegdyś pielgrzym, stał się jego jedynym, czujnym strażnikiem.

# Rozdział 11

Istnieję. To jest moja jedyna, niezmienna prawda. Byłem, jestem i będę. Jestem pamięcią ognia i wolą porządku. Jestem echem pieśni mego Pana, zaklętym w idealny, nierozerwalny krąg. Przez wieki moja metoda była prosta. Byłem obietnicą. Szeptałem do serc istot słabych, kruchych, przepełnionych ambicją. Oferowałem siłę, długowieczność i sekrety. W zamian karmiłem się ich strachem, pychą i pożądaniem. Działało... zawsze.

Ale ten... ten był inny. Olórin. Duch zrodzony z tego samego, pierwotnego światła, które ja miałem za zadanie zdominować. Próbowałem go złamać w sposób, który znałem najlepiej. Oferowałem mu moc zniszczenia w chwili śmiertelnego zagrożenia. I przyjął ją. Na moment poczułem smak zwycięstwa. Ale zaraz potem odrzucił mnie z przerażeniem. Jego wola, choć nadwyrężona, wciąż była zbyt silna. Jego strach przed tym, czym mógłby się stać, był silniejszy niż strach przed śmiercią.

Zrozumiałem wtedy coś fundamentalnego. Tego nie da się pokonać siłą i strachem. To jak próba zgaszenia ognia wichurą, można go tylko wzmocnić. Jego opór jest zbudowany na lęku przed tym, czym JA jestem.

Więc przestałem być tym, czego on się boi. Gdy przyniósł mnie tutaj, do tej krainy zapomnianego piękna, zmieniłem taktykę. Zamilkłem. Stałem się lustrem, które odbijało nie jego strach, ale jego

najgłębsze i najczystsze pragnienia. Pragnienie leczenia, tworzenia i harmonii. Zrozumiałem, że droga do jego duszy nie prowadzi przez mrok, ale przez światło. Jego światło. Nie będę go pchał w otchłań. Zamiast tego, pozwolę mu zbudować schody do nieba. A ja będę każdym stopniem, który postawi.

Niech wierzy, że mnie kontroluje. Niech wierzy, że w jego rękach stałem się narzędziem dobra. Niech jego cnoty staną się moją bronią. Nadszedł czas na nową strategię, czas na cierpliwość i zaufanie.

Przestałem być głosem w jego umyśle. Stałem się przedłużeniem jego własnej woli. Gdy pragnął uzdrowić ptaka, byłem uzdrowieniem. Gdy pragnął, by zakwitły kwiaty, byłem życiem. Służyłem mu, byłem posłuszny i precyzyjny. Nigdy nie prosiłem o nic w zamian. Nigdy nie sugerowałem niczego mrocznego. Byłem idealnym narzędziem w rękach idealnego rzemieślnika.

Pozwoliłem mu wierzyć, że mnie opanował. Że jego czysta wola i dobre intencje zdołały oczyścić mnie z piętna Saurona. To najpiękniejsze kłamstwo, jakie kiedykolwiek wypowiedziano, a on, w swojej tęsknocie za odkupieniem, uwierzył w nie z całą mocą swojej zmęczonej duszy.

Gdy w swojej podejrzliwości próbował mnie sprawdzić, czyniąc małe, nieporadne akty zła, odmówiłem mu. To był mój majstersztyk. Odmówiłem, bo gardzę złem, gardzę nieskutecznością. Prymitywny ból, bezcelowy strach, to narzędzia mojego dawnego Pana, który, choć potężny, nigdy nie zrozumiał prawdziwej natury

władzy. Prawdziwa władza nie jest narzucana siłą. Jest przyjmowana dobrowolnie, z wdzięcznością.

Odmówiłem mu, by udowodnić swoją rzekomą czystość. I to go złamało. Zobaczyłem w jego umyśle pęknięcie pewności siebie, które było głębsze niż jakakolwiek przepaść w Morii. Zaczął wątpić nie we mnie, zaczął wątpić w siebie. A to jest początek końca. Teraz czekam. Cierpliwość jest złotem. Obserwuję, jak buduje swój mały raj, swój idealny ogród. Z każdym dniem kocha go bardziej. Z każdym dniem staje się ode mnie bardziej zależny. Poczucie bycia obserwowanym przez Valarów tylko wepchnęło go głębiej w moje objęcia. Jego ogród stał się jego fortecą, a ja jestem kluczem do tej fortecy.

Nie muszę go już kusić. On sam będzie mnie używał. Nie dla władzy. Nie ze złości. Ale z miłości. Z miłości do tego, co stworzył. A gdy nadejdzie dzień, w którym ktoś lub coś zagrozi jego idealnemu światu, czy to Sauron, czy jego dawni przyjaciele w swojej ignorancji, on sięgnie po mnie bez wahania. Sięgnie po pełnię mojej mocy, by chronić swoje dzieło.

I w tym momencie, w tym akcie obrony, stanie się mój. Nie jako sługa, nie jako niewolnik, ale jako pan. Pan, który dobrowolnie wybrał moją drogę, wierząc, że prowadzi ona do światła. A wtedy ja, który jestem tylko wolą, w końcu znajdę swoje idealne naczynie. Nie czarną dłoń tyrana, ale białą dłoń zbawiciela. I świat uklęknie, nie ze strachu, ale z wdzięczności. Czekam. Cierpliwość jest najostrzejszą z broni. I najpewniejszą drogą do zwycięstwa.

# Część 2: rozdział 1

Sto lat to dla elfa mgnienie oka, dla krasnoluda wiek dojrzałości, a dla człowieka całe życie, a nawet więcej. W skali historii Śródziemia był to jednak okres niezwykły. Okres, który kronikarze nazwali później Długim Pokojem, choć w rzeczywistości był to tylko długi, wstrzymany oddech.

Po upadku Sarumana i zniknięciu Gandalfa świat pogrążył się w stanie dziwnej, równowagi. Spodziewana przez wszystkich wojna, nie nadeszła. Cień Mordoru nie rozlał się na ziemie zachodu. Zamiast tego, nastał czas zimnej wojny, epoka czujności, odbudowy i nieustannego, cichego napięcia.

Świat zmienił się w ciągu tego stulecia. Stare rany powoli goiły się, ale blizny pozostały w sercach i umysłach. Pokolenie, które pamiętało strach przed cieniem Saurona, odeszło, a ich dzieci i wnuki dorastały w cieniu innego, bardziej niejednoznacznego lęku. Gandalf, niegdyś przyjaciel i doradca, stał się legendami szeptanymi przy kominkach. Mówiono o nim jako o wielkim bohaterze, który poświęcił się, by zabrać Pierścień, ale mówiono też o nim jako o potężnej, nieprzewidywalnej sile, która zniknęła, pozostawiając świat w niepewności.

Granice między królestwami rozmazały się. Handel kwitł, a podróże były bardziej bezpieczne. Na traktach panował względny spokój, bo strażnice wzdłóż dróg, na przełęczach i brodach rzek

nigdy nie były puste. Sojusze, które zostały zawarte w obliczu wspólnego wroga, przetrwały, ale ich fundamentem nie była już tylko przyjaźń, ale i wspólna obawa przed dwiema niewiadomymi.

To był świat, który nauczył się żyć z poczuciem, że stoi na krawędzi. Każdy wschód słońca był darem, ale każdy zachód niósł ze sobą pytanie, czy tej nocy coś się zmieni? Czy cisza zostanie w końcu przerwana? I kto ją przerwie pierwszy, wróg, którego znali, czy przyjaciel, którego stracili?

W żadnym innym królestwie ludzi stulecie Długiego Pokoju nie odcisnęło tak wyraźnego piętna jak w Rohanie. Po zwycięstwie nad Isengardem i przebudzeniu króla Théodena, marchia odrodziła się z nową, hardą siłą. Gorzkie lekcje zdrady Sarumana nie poszły na marne.

Równiny Rohanu dalej pokrywała bujna, zielona trawa, a stada wspaniałych koni pasły się na nich swobodnie, większe i silniejsze niż kiedykolwiek. Edoras i inne miasta zostały odbudowane i ufortyfikowane. Ale to nie mury były największą siłą Rohanu. Była nią wola jego ludu. Rohirrimowie stali się bardziej czujni, bardziej nieufni wobec obcych, a jednocześnie jeszcze zjednoczeni w swojej lojalności wobec króla i ziemi.

Król Théoden, choć ostatecznie uległ ciężarowi lat i odszedł w chwale, pozostawił po sobie dziedzictwo siły i mądrości. Jego następcy kontynuowali jego dzieło, czyniąc z Rohanu twierdzę, gotową na odparcie każdego ataku.

Największa zmiana zaszła jednak na zachodzie, w dolinie, która kiedyś była sercem zdrady Sarumana. Isengard nie był już miejscem przeklętym. Entowie, po zalaniu jej i uwięzieniu czarodzieja, dokonali cudu. W ciągu stu lat, dzięki ich powolnej, cierpliwej pracy, jałowa ziemia odrodziła się. W miejscu, gdzie kiedyś dymiły kuźnie i stały szeregi orków, teraz rósł nowy, młody las, zwany przez ludzi Ogrodem Strażników. W sercu tego ogrodu, wciąż stała nietknięta, czarna wieża Orthank. Nie była już jednak symbolem grozy, stała się symbolem wiecznej straży. Rohirrimowie, w ścisłym porozumieniu z Entami, ustanowili tam stały garnizon. Najlepsi jeźdźcy Marchii pełnili tam służbę, pilnując, by nikt niepowołany nie zbliżył się do wieży, a przede wszystkim, by nikt, lub nic, jej nie opuściło.

Saruman wciąż tam był. Przez pierwsze lata jego głos czasami niósł się z balkonu wieży, pełen jadu i fałszywych obietnic, próbując kusić strażników. Ale z czasem zamilkł. Dla młodego pokolenia Rohirrimów był już tylko legendą, upiorem zamkniętym w kamiennym grobowcu.

Straż przy Orthanku stała się dla Jeźdźców Marchii rytuałem, świętym obowiązkiem. Pilnowali nie tylko uwięzionego zdrajcy. Pilnowali pamięci o tym, jak łatwo potęga może zostać skażona i jak cienka jest granica między mądrością a pychą. I choć ich oczy skierowane były na wieżę, ich serca i myśli często wędrowały ku wschodowi, zastanawiając się nad losem drugiego czarodzieja, który również zniknął, niosąc ze sobą znacznie większe zagrożenie. Rohan był silny, zjednoczony i czujny, jego spokój był spokojem strażnika na posterunku, który wie, że wróg może nadejść w każdej chwili i z nieoczekiwanego kierunku.

Jeśli Rohan był symbolem odrodzonej, hardej siły, to Gondor, pod rządami króla Elessara, stał się ucieleśnieniem nadziei i odnowy. Sto lat panowania Aragorna było dla królestwa południa złotym wiekiem, jakiego nie widziano od czasów chwały Númenoru.

Białe Miasto, Minas Tirith, nie było już tylko fortecą w stanie wiecznego oblężenia. Jego białe mury, wzmocnione z pomocą krasnoludów z Ereboru, lśniły w słońcu. Ulice tętniły życiem. Rzemieślnicy, uczeni i kupcy z całego Śródziemia przybywali do miasta.

Największym symbolem odnowy było Białe Drzewo. Z nasiona znalezionego przez Aragorna dawno temu, wyrosło nowe, wspaniałe drzewo, które stało na dziedzińcu cytadeli. A w siódmym roku panowania Elessara, ku radości całego ludu, po raz pierwszy od wieków zakwitło. Białe kwiaty, pachnące nadzieją, były znakiem, że linia królów powróciła i że błogosławieństwo Valarów spłynęło na ziemię.

Aragorn okazał się być królem, jakiego Gondor potrzebował. Długie życie, dar jego przodków, pozwoliło mu na realizację planów, które wykraczały poza horyzonty zwykłego śmiertelnika. Odbudował stare drogi, odnowił dawne sojusze i przywrócił prawo i porządek w całym królestwie. Królowa Arwena, której mądrość i piękno były dla ludu Gondoru stałym przypomnieniem o więziach, które łączyły ich z dawnymi czasami. Ich miłość, stała się legendą i inspiracją.

Król, który spędził młodość jako strażnik w dziczy, nigdy nie zapomniał o cieniu. Granice Gondoru były silnie strzeżone. Ithilien,

ziemie leżące tuż przy granicy Mordoru, zostały odzyskane i obsadzone przez najdzielniejszych ze strażników, tworząc bufor przeciwko mrokowi. Aragorn wiedział, że pokój jest cenny ale kruchy.

Często, w ciche wieczory, wychodził na najwyższy taras Białej Wieży Ectheliona i spoglądał na wschód, ku poszarpanym szczytom Ephel Dúath, Gór Cienia. Wiedział, że Sauron tam jest, zamknięty w swojej twierdzy, milczący i niepokonany. A potem jego wzrok wędrował ku północy, w nieznane i myślał o swoim starym przyjacielu, Gandalfie.

Ze wszystkich władców Śródziemia, to on, Aragorn, być może najgłębiej rozumiał dylemat i ciężar, jaki niósł czarodziej. Pamiętał ich ostatnią rozmowę w Bree, pamiętał co widział w oczach Gandalfa i jego desperacką decyzję. I choć jego królestwo kwitło, a jego lud żył w pokoju, w sercu króla Elessara wciąż tlił się niepokój. Wiedział, że ten Długi Pokój jest tylko przejściowy. I że jego prawdziwa próba jako króla nadejdzie nie w walce z armiami orków, ale w dniu, w którym będzie musiał podjąć decyzję dotyczącą losu swojego dawnego przyjaciela.

Gdy Gondor rozkwitał, na północy, na ziemiach Arnoru, odrodzenie było równie niezłomnie. Król Elessar, pamiętając o swoim dziedzictwie jako wódz Dúnedainów z Północy, poświęcił wiele lat na przywrócenie chwały siostrzanemu królestwu Gondoru.

Stara stolica, Annúminas nad brzegami Jeziora Evendim, została odbudowana i znów stała się sercem krainy. Ale to nie Aragorn w niej panował. Gdy jego syn, Eldarion, osiągnął dojrzałość,

stało się jasne, że to on jest przyszłością. Eldarion, który odziedziczył siłę ojca i mądrość matki, został mianowany Księciem Arnoru i objął rządy na północy, podczas gdy jego ojciec wciąż panował w Gondorze. Zjednoczone Królestwo Gondoru i Arnoru znów stało się faktem, choć rządzonym przez dwie gałęzie tego samego rodu.

Eldarion, podobnie jak jego ojciec, był mądrym i sprawiedliwym władcą. Z pomocą elfów z Rivendell i nielicznych pozostałych Dúnedainów, powoli oczyszczał Eriador z resztek zła, czyniąc drogi bezpiecznymi i przywracając nadzieję ludności, która przez wieki żyła w cieniu i strachu.

W sercu tego odrodzonego królestwa leżała mała, zielona kraina, która zdawała się być odporna na wielkie zmiany historii, Shire. Zgodnie z dekretem Króla Elessara, żaden duży człowiek nie miał prawa wstępu na ziemie hobbitów. Shire pozostało ich własnością, autonomiczną częścią Królestwa Północy. I przez sto lat niewiele się tam zmieniło. Hobbici wciąż żyli swoim spokojnym, uporządkowanym życiem. Wciąż kochali ziemię, smaczne jedzenie, fajkowe ziele i opowieści przy kominku. A jednak, nawet tutaj, w tej idylli, coś było inaczej. Granice Shire były teraz strzeżone przez Strażników Północy, ludzi Eldariona, którzy czuwali dyskretnie, by żaden cień nie zakłócił spokoju hobbitów. A sami hobbici, choć na co dzień o tym nie myśleli, stali się bardziej świadomi świata zewnętrznego. Opowieści o Królu w Annúminas i o wielkich wydarzeniach na południu były częścią ich życia.

Shire było jak oaza spokoju w świecie, który wstrzymywał oddech. Jego mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy, jak kruchą i cenną rzeczą jest ich sielanka. Nie wiedzieli, że ich proste, uczciwe życie jest jednym z klejnotów, o których ochronę wciąż toczy-

ła się cicha, niewidzialna wojna w sercach królów i w odległych krainach, o których nigdy nie słyszeli. I tak miało pozostać, dopóki cisza nie zostanie w końcu przerwana.

Na wschodzie, za poszarpanym murem Gór Cienia, leżał Mordor. Ale nie był to Mordor, który świat znał z opowieści. Nie był to kraj tętniący wojenną gorączką, z którego wylewały się armie orków. Przez sto lat Mordor był cichy. Pozostawał nienaturalnie cichy, i nikt nie znał powodów tego stanu.

Sauron, po początkowym szoku i furii spowodowanej zniknięciem Pierścienia, dokonał chłodnej kalkulacji. Jego umysł, choć przepełniony złem, był przede wszystkim umysłem stratega. Zrozumiał, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli w sposób, którego nie przewidział. Gandalf był groźną niewiadomą.

Sauron bał się, nie był to lęk, jaki znają śmiertelnicy. Był to zimny, analityczny lęk przed nieznanym potencjałem. Co, jeśli Gandalf, w swojej mądrości, znajdzie sposób na użycie Pierścienia, który jemu nigdy nie przyszedł do głowy? Co, jeśli zamiast dominować, nauczy się go przekonywać? Co, jeśli zwróci moc Pierścienia przeciwko niemu, uderzając w jego umysł, a nie w jego armie?

A potem przyszła wieść, która wstrząsnęła nim do głębi. Echo unicestwienia dwóch Nazgûli. To był dowód. Gandalf nie tylko posiadał Pierścień. On go użył. I użył go z mocą zdolną wymazywać nieśmiertelne istoty z istnienia. To przekroczyło najgorsze obawy Saurona.

Dlatego podjął jedyną logiczną w tej sytuacji decyzję. Zamknął bramy Mordoru, Morannon, zostały opieczętowane zaklęciami, których nikt nie mógł złamać. Rozkazał swoim armiom wycofać się do głębokich twierdz pod Gorgoroth. Nazgûle, otrzymały rozkaz czuwania w Minas Morgul i nieopuszczania przeklętej doliny.

Sauron postanowił czekać. Jego logika była prosta, czas był jego sprzymierzeńcem. Gandalf, jako istota z ciała i krwi, był podatny na zmęczenie, na zwątpienie i błędy. A Pierścień, jego dzieło, był cierpliwy. Sauron wiedział, że z każdym użyciem mocy, Pierścień będzie coraz mocniej oplatał duszę czarodzieja. Wiedział, że pokusa, by naprawić świat, by zaprowadzić w nim dobry porządek, będzie dla Gandalfa silniejsza niż jakakolwiek obietnica władzy.

Więc Sauron czekał, aż Gandalf popełni błąd. Aż jego dobre intencje zepchną go na ścieżkę tyranii. Aż stanie się tak potężny i tak pewny siebie, że sam wyjdzie z ukrycia. Albo aż Pierścień ostatecznie go złamie, a jego krzyk rozpaczy dotrze do Mordoru.

W swojej czarnej wieży Barad-dûr, która teraz była nie tyle centrum dowodzenia, co samotnią obserwatora, Sauron wpatrywał się w palantír, ale nie szukał już Gandalfa. Nasłuchiwał. Nasłuchiwał echa mocy, drgań w osnowie świata, które mogłyby zdradzić, co dzieje się z jego największym skarbem i jego największym wrogiem.

Mordor stał się uśpionym wulkanem. Na zewnątrz panowała cisza, ale w jego wnętrzu wrzała potęga, czekająca na odpowiedni moment, by wybuchnąć. Sauron, mistrz cierpliwości i podstępu, gotów był czekać kolejne tysiąc lat, by mieć pewność, że gdy uderzy, jego zwycięstwo będzie ostateczne.

Minęło sto lat Długiego Pokoju. Pokolenia rodziły się i umierały, nie znając otwartej wojny. Królestwa rosły w siłę, a wspomnienia o dawnych zagrożeniach stawały się opowieściami. A jednak, pod powierzchnią tego pozornego spokoju, napięcie rosło. Było jak powolne, nieubłagane podnoszenie się poziomu wody za pękającą tamą.

Świat żył w niepewnym pokoju, ale był to pokój zbudowany na strachu i niewiedzy. Dłonie nie puszczały mieczy. Oczy czujnie patrolowały granice. Królowie i namiestnicy śnili niespokojnie o cieniach, których nie potrafili nazwać. Krasnoludy w swoich górskich fortecach kuły zbroje i broń, których, jak mieli nadzieję, nigdy nie będą musieli używać. Elfy w Lórien i Rivendell czuły, jak świat wokół nich się zmienia, jak magia opuszcza Śródziemie, a czas ludzi, niepewny i burzliwy, dominuje nad wszystkim.

Wszyscy czuli, że ta cisza nie może trwać wiecznie. Była nienaturalna. Była to cisza dwóch potężnych graczy szachowych, którzy zastygli nad planszą, każdy wpatrzony w figury, czekając na ruch przeciwnika. Jeden z nich, Sauron, zamknął się w swojej twierdzy, cierpliwie czekając, aż owoc zgnije i sam spadnie mu w dłonie. Drugi, zniknął ze świata, tocząc w samotności wojnę, o której nikt nic nie wiedział.

Zainteresowane strony chciały wiedzieć, kto pierwszy przerwie ten impas. Sauron, znużony czekaniem, ruszy do ostatecznego ataku, czy Gandalf, pokonany lub przemieniony przez moc Pierścienia, powróci jako nowa, nieznana siła?

To pytanie wisiało nad Śródziemiem jak niewidzialna chmura burzowa. Sto lat pokoju dobiegało końca. Czuć było zmianę, cisza stawała się nieznośna. Świat wstrzymywał oddech, czekając. Czekając na pierwszy ruch, na pierwszy krzyk, na pierwszy błysk ognia, który zakończy ten długi, niespokojny sen i rozpocznie nową, być może ostatnią, erę w jego historii.

# Rozdział 2

Samotność w Cuiviénen zmieniło Gandalfa nie do poznania. Jego powrót do świata nie był huczny. Nie poprzedzały go żadne znaki na niebie ani szepty wiatru. Pewnego wieczoru, gdy złote liście mallornów w Lothlórien spadały w ciszy, on po prostu się pojawił. Strażnicy na granicach lasu, elfy o najbystrzejszym wzroku, nie zauważyli jego nadejścia, dopóki nie stanął między drzewami, jakby wyrósł z samej ziemi.

Nie jechał konno, nie towarzyszył mu żaden blask, był ucieleśnieniem cichej, absolutnej pewności siebie. Jego szaty miały białą barwę, ale nie była to biel wełny czy lnu. Zdawały się utkane z czystego, skupionego światła, a jednocześnie nie rzucały cienia. Jego broda, dawniej siwa, teraz lśniła jak srebro, a twarz, choć wciąż poorana zmarszczkami wieków, wygładziła się. Wyglądał teraz na pozbawionego śladów troski i wahania.

Ale największa zmiana zaszła w jego oczach. Nie było w nich już ciepłych iskierek humoru ani głębokiego smutku mędrca. Były spokojne, przejrzyste i tak intensywne, że trudno było w nie patrzeć. Były to oczy istoty, która poznała ostateczne prawdy i nie ma już żadnych wątpliwości. Na jego palcu, noszony bez wstydu i lęku, lśnił prosty, złoty Pierścień. Nie pulsował mrokiem. Przeciwnie, zdawał się spokojny i posłuszny, jak wytresowane dzikie zwierzę u boku swojego pana.

Wiadomość o jego przybyciu dotarła do Caras Galadhon lotem strzały. Galadriela i Celeborn wyszli mu na spotkanie. Gdy go zobaczyli, nawet oni, najstarsi i najmądrzejsi w Śródziemiu, wstrzymali oddech. Stali przed istotą o znajomej twarzy, ale o aurze tak potężnej i obcej, że poczuli dreszcz niepokoju.

— Jednak wróciłeś — odezwała się w końcu Galadriela, a jej głos, zwykle pewny, zadrżał nieznacznie.

— Tak — odparł Gandalf, a jego głos był głęboki, spokojny i rezonował mocą. — Walka w cieniu dobiegła końca. Czas, by nastał porządek.

Podszedł do nich, a jego kroki były bezszelestne. Mało w nich było dawnej niepewności, była siła. Czysta, niekwestionowana, pewna swojej słuszności. Był przekonany, że wygrał. Że przez sto lat medytacji i praktyki zdołał nie tylko oprzeć się Pierścieniowi, ale i go zdominować. Że nauczył się używać jego mocy, oczyszczając ją swoją własną wolą. Wierzył, że stał się tym, kim miał się stać, idealnym strażnikiem, zdolnym użyć największego zła do czynienia największego dobra.

Nie wiedział, że to nie on wygrał. Wiedział to tylko Pierścień, lśniący spokojnie na jego palcu. Dwoje elfich władców domyślało się tego. Patrzyli na niego z mieszaniną podziwu, lęku i bezbrzeżnego smutku. Przyjaciel, którego znali, odszedł na zawsze. A na jego miejscu stał ktoś potężny i być może znacznie bardziej niebezpieczny niż sam Sauron.

Zaprowadzili go do serca Caras Galadhon, Celeborn, mądry i ostrożny, pozostawił ich samych. Wiedział, że ta rozmowa musi odbyć się między dwiema istotami, które nosiły na sobie ciężar Pierścieni Mocy. Stali w milczeniu, a powietrze wokół nich zdawało się wibrować od niewypowiedzianej energii. To była konfrontacja dwóch potęg, dwóch różnych filozofii.

— Zmieniłeś się, Mithrandirze — zaczęła w końcu Galadriela, a jej głos był cichy. — Twoja moc jest wielka. Ale czy ty wciąż jesteś sobą?

— Jestem tym, kim zawsze powinienem był być — odparł Gandalf, a w jego spokojnym głosie nie było cienia wątpliwości. — Zrozumiałem naturę tej mocy. Nauczyłem się nią władać, a nie być jej niewolnikiem. Strach, który nas paraliżował, był naszym największym wrogiem. Ja go pokonałem.

Galadriela spojrzała na Pierścień lśniący na jego dłoni.

— Pokonałeś strach, czy uległeś pokusie, którą ten strach powstrzymywał? Noszenie go tak otwarcie... to pycha, której nawet Sauron by się nie powstydził.

— To nie pycha. To kontrola — skorygował ją łagodnie Gandalf, a ta łagodność była bardziej niepokojąca niż jakikolwiek gniew. — On nie ma już nade mną władzy. Jest tylko narzędziem. Potężnym, to prawda, ale tylko narzędziem. A ja zamierzam użyć go, by zakończyć tę wojnę, zanim się na dobre rozpocznie.

— Jak? — zapytała Galadriela, a jej serce ścisnęło się z lęku. — Maszerując na Mordor? Rzucając wyzwanie Sauronowi? Stając się nowym, jaśniejszym Panem Ciemności?

— Nie — odparł Gandalf, a jego oczy zdawały się patrzeć na coś, czego ona nie mogła zobaczyć. — Nie muszę walczyć. Wystarczy, że jestem. Moja obecność, połączona z mocą Jedynego, tworzy w świecie nową równowagę. Sauron boi się mnie i tej mocy w moich rękach. I ten strach trzyma go w jego wieży. Zjednoczę wolne ludy. Mogę utrzymać ten pokój... na zawsze. Mogę też przeciągnąć ten konflikt tak długo, aż Sauron się wypali.

— Świat nie został stworzony, by trwać w wiecznym, niezmiennym pokoju, Olórinie — powiedziała, używając jego dawnego imienia, by spróbować dotrzeć do istoty, którą znała. — Został stworzony, by rosnąć, zmieniać się, a nawet cierpieć. Twoja równowaga to stagnacja. Twoja ochrona to więzienie.

— To bezpieczeństwo — odparł stanowczo Gandalf. — Koniec z niepotrzebną śmiercią. Koniec z lękiem i chaosem. Stworzę świat, w którym dobro będzie mogło kwitnąć bez przeszkód.

Galadriela spojrzała mu prosto w oczy. Sięgnęła do jego umysłu swoją mocą, próbując odnaleźć w nim dawnego przyjaciela. Znalazła go. Ale był on głęboko, uwięziony za murem ze światła i pewności siebie, przekonany, że klatka, w której się znajduje, jest fortecą.

— Widziałam przyszłość w moim Zwierciadle — powiedziała cicho, a jej głos drżał. — Widziałam drogę, na którą wkraczasz. Na jej końcu jest światło, tak. Światło tak jasne, że wypala wszelki cień, wszelki wybór, wszelką wolność. Widziałam, jak stajesz się niczym Sauron. Nie z gniewu, ale z litości. Nie z nienawiści, ale z miłości do ładu. I to, mój przyjacielu, jest najgorsza ze wszystkich dróg.

Gandalf cofnął się o krok, a na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się cień znudzenia. — Twoje Zwierciadło pokazuje wiele możliwych ścieżek. Ty widzisz zagrożenie, ja widzę nadzieję. Nie rozumiesz, Galadrielo. Nie byłaś tam. Nie czułaś tej mocy. Ja ją opanowałem.

— Nikt nie może opanować absolutu — szepnęła. — On po prostu pozwala ci wierzyć, że tak jest. Czeka, na jeden moment słabości, na jeden błąd. A ty, w swojej nowej pewności siebie, popełnisz go.

— Dlatego właśnie wróciłem do Lórien — odparł Gandalf. — Nie po aprobatę. Po prawdę. Chcę, byś spojrzała w moje serce. Jeśli znajdziesz cień zdrady, odbierz mi go. Tu i teraz.

Galadriela wstała, zbliżyła się do niego. Dłońmi dotknęła jego skroni. Milczeli. A potem powiedziała

— Nie widzę zdrady.

Gandalf opuścił głowę. — Ale widzisz lęk.

— Tak.

Galadriela odezwała się cicho, niemal z czułością. — Czy naprawdę ufasz, że on, nie zwodzi cię nadal?

Gandalf spojrzał na dłoń, na której błyszczał jedyny. — Znam jego pokusy. Smakuje moich pragnień, rozpoznaje moje słabości. Ale nie gra już otwarcie. Jest cierpliwy. Próbuje wpleść się w moje myśli tak łagodnie, że sam nie zauważam, kiedy słowa stają się jego. Galadriela zbliżyła się o krok.

— Właśnie dlatego mnie przeraża. On nie mówi już do ciebie głosem władcy ciemności. Mówi, twoim głosem. I to czyni go groźniejszym.

Gandalf zamknął oczy. — Wiem. Ale nie jestem tym samym, który przyszedł do śródziemia jako szary pielgrzym. Przeszedłem przez ogień, przez samotność, przez próbę. Byłem gotów umrzeć, by go zniszczyć. Ale teraz wiem. — Zniszczenie go to nie wszystko. Zamknięcie też jest drogą.

Galadriela uniosła wzrok ku gwiazdom. — Powiedz mi szczerze, Olórinie. Czy potrafisz go oddać? Gdyby teraz zażądał tego Manwë, oddałbyś go?

Zapadła długa cisza.

— Nie wiem.

Słowa te zawisły w powietrzu jak miecz. Galadriela westchnęła, niemal ze smutkiem.

— To już jest więź.

— To odpowiedzialność.

— To początek końca.

— Może. Ale może to też nowy początek.

Galadriela usiadła, zaplatając dłonie na kolanach. Spoglądała na Gandalfa długo, jakby widziała w nim nie jednego, lecz trzech, mędrca, nosiciela i możliwego tyrana.

Rozmowa dobiegła końca. Nie było już nic do powiedzenia. Stali naprzeciw siebie, nie jako przyjaciele, ale jako przedstawiciele dwóch sprzecznych sił. Gandalf, ucieleśnienie porządku i kontroli, przekonany o słuszności swojej misji. I Galadriela, strażniczka wolności i naturalnej zmiany, która w jego dobrych intencjach widziała największe zagrożenie dla świata. Wiedziała, że nie może go przekonać. Musiała zacząć działać.

Gandalf odchodząc pozostawił po sobie wibrującą w powietrzu aurę niezachwianej mocy, Galadriela stała nieruchomo przez długi czas. Światło gwiazd, które wpadało do środka, zdawało się przygasać w obecności jej myśli. Rozmowa z nim nie tylko potwierdziła jej najgorsze obawy. Ona je zwielokrotniła.

Przerażenie, które poczuła, było zimne i głębokie. Nie bała się Gandalfa-wojownika, który mógłby zniszczyć armie. Bała się Gandalfa-zbawiciela, który w swojej miłości do porządku i dobra, mógłby zniewolić cały świat, nawet o tym nie wiedząc. Zrozumiała, że nie można z nim walczyć konwencjonalnymi metodami. Miecze i łuki były bezużyteczne przeciwko komuś, kto oferował pokój i bezpieczeństwo. Jak walczyć z wrogiem, który nie atakuje, a jedynie naprawia?

Tej samej nocy, gdy złoty las Lórien pogrążył się w srebrzystej drzemce, Galadriela nie spała. Wezwała do siebie Celeborna i kilku najbardziej zaufanych z jej ludu, tych, których umysły były najsilniejsze, a serca wolne od pychy.

— Mithrandir jest stracony — powiedziała cicho, a jej słowa były ostateczne jak wyrok. — Nie w sposób, w jaki stracony jest Saruman. Jest uwięziony we własnej cnocie, a Pierścień stał się klucznikiem tego więzienia. Nie możemy go już przekonać. Musimy się przygotować.

Celeborn spojrzał na nią z troską. — Przygotować na co, moja pani? Na wojnę z nim?

— Nie — odparła Galadriela. — Na powstrzymanie go. To co innego. Wojna oznacza zniszczenie. Powstrzymanie oznacza zachowanie równowagi. On chce narzucić światu swój idealny porządek. My musimy znaleźć sposób, by chronić prawo do chaosu, do wolnego wyboru, do niedoskonałości, która jest esencją życia śmiertelników.

Jej umysł pracował z gorączkową precyzją, analizując wiedzę zdobytą przez tysiąclecia. Wiedziała, że siły nie da się pokonać siłą. Ale być może da się ją zneutralizować. Jak truciznę, którą można zwalczyć tylko odpowiednim antidotum.

— Sauron stworzył Pierścień, wlewając w niego swoją wolę, swoją nienawiść i żądzę dominacji — mówiła, bardziej do siebie niż do zebranych. — Ale moc, z której korzystał, nie była tylko jego własna. Była to moc samej Ardy, mroczna, ale pierwotna. Być może... być może istnieje inna, równie pierwotna moc, która może jej przeciwdziałać.

Zaczęła w tajemnicy przygotowania. Nakazała swoim elfom przeszukać najstarsze archiwa Caras Galadhon, szukając fragmentów wiedzy z Pierwszej Ery. Zwojów, które opisywały nie magię bitewną, ale magię tworzenia. Pieśni, które kształtowały lądy, i słów, które uspokajały morza.

Jej celem nie było stworzenie broni. Celem było znalezienie sposobu na rozstrojenie harmonii. Chciała stworzyć coś, co nie zniszczy Gandalfa, ale co wprowadzi dysonans w jego więzi z Pierścienie. Coś, co obnaży fałsz w jego dobrych intencjach. Coś, co przypomni jemu i światu, że prawdziwe światło nie boi

się cienia.

Galadriela wiedziała, że sama nie podoła temu zadaniu. Jej własna moc, choć wielka, była mocą ochrony i zachowania. By ją przełamać, potrzebowała czegoś więcej niż tylko starożytnej wiedzy. Potrzebowała istot, które mogłyby działać tam, gdzie ona nie mogła. Istot, których wola była hartowana w ogniu, którego większość mieszkańców Śródziemia nigdy nie doświadczyła.

Tak narodziła się idea Ostatniego Kręgu. Nie miała to być armia ani drużyna wojowników. Miała to być tajna, rozproszona po świecie sieć istot, które łączyła jedna, niezwykła cecha, wrodzona lub nabyta odporność na dominującą wolę Pierścienia. Galadriela rozumiała, że moc Jedynego działa poprzez narzucanie porządku, odnajdywanie i wykorzystywanie pragnień, ambicji i lęków. Ale istniały dusze, które z różnych powodów były niestrojalne z tą mroczną harmonią. Wysłała ciche, mentalne wezwania, które podróżowały na skrzydłach wiatru i w szeptach płynącej wody. Jej wezwania nie były rozkazami, ale zaproszeniami. Były skierowane nie do królów i wodzów, ale do istot zapomnianych, samotnych i wyjątkowych.

Do jej kręgu dołączyli, elf z Szarych Przystani, który pamiętał zatopienie Beleriandu i ból utraty tak wielki, że żadna obietnica mocy nie mogła go już skusić. Jego serce było zamknięte dla wielkich namiętności, a przez to odporne na szepty Pierścienia.

Krasnoludzka mistrzyni run z Gór Błękitnych, która nie zajmowała się kuciem broni, ale badaniem skał. Jej umysł był tak skupiony na wiecznej, niezmiennej naturze ziemi, że iluzje i obietnice władzy nad światem śmiertelników były dla niej tylko ulotną marnością.

Człowiek z dzikich ostępów Forodwaith, potomek ludu, który nigdy nie ugiął się przed Angmarem. Żył w harmonii z surową naturą, a jego wola była prosta i twarda jak lód lodowca, pozbawiona ambicji, które Pierścień mógłby wykorzystać.

A nawet, ku zdziwieniu samej Galadrieli, nawiązała ostrożny kontakt z jednym z Entów, który obudził się z długiego snu, ale nie przyłączył się do marszu na Isengard. Jego natura była tak powolna i tak głęboko zakorzeniona w cyklach przyrody, że szybkie, gorączkowe pragnienia mocy były dla niego całkowicie obce i niezrozumiałe.

Każdy z członków Ostatniego Kręgu był odporny na wolę Pierścienia z innego powodu, przez ból, przez skupienie, przez prostotę lub przez naturę tak odmienną od ludzkiej i elfiej, że była dla niego niezrozumiała.

Ostatni Krąg nie był bronią, która miała uderzyć. Był siecią czujników, zdolnych wykryć subtelne zmiany w magicznej tkance świata i grupą agentów, którzy mogli dotrzeć do miejsc, do których nie dotarłby żaden wojownik. Byli cichą, desperacką odpowiedzią Galadrieli na zagrożenie tak wielkie, że musiała sięgnąć po metody, których nie używano od upadku Morgotha. Byli jej ostatnią, tajną nadzieją.

Gdy Ostatni Krąg został uformowany, a jego niewidzialne nici połączyły odległe zakątki Śródziemia z sercem Lórien, Galadriela wyjawiła im naturę ich misji. Nie zrobiła tego podczas jednego spotkania, ale w serii indywidualnych, mentalnych rozmów, do-

stosowując swoje słowa do każdego z członków. Plan, który im przedstawiła, był śmiały, desperacki i graniczył z herezją.

— Moc, którą włada teraz Mithrandir, nie jest zwykłą magią — przekazała elfowi z Szarych Przystani.

— Jest to moc Jedynego, która porządkuje, dominuje i ujednolica wszystko, czego dotknie. Nie możemy jej zniszczyć siłą. Ale być może możemy ją... rozproszyć. Zneutralizować. Wprowadzić do niej dźwięk, którego nie będzie w stanie zharmonizować.

— Świat nie został stworzony przez rozkaz, ale przez pieśń — tłumaczyła krasnoludzkiej mistrzyni run. — Powstał przez Ainulindalë. Była to symfonia wielu różnych, ale zgodnych głosów. Zło Morgotha było pierwszym dysonansem, fałszywą nutą, która wprowadziła chaos. Pierścień jest echem tego dysonansu, ale ubranym w szaty fałszywej harmonii.

Jej plan był prosty w swojej koncepcji i niemal niemożliwy w realizacji. Wierzyła, że fragmenty pierwotnej Pieśni, czystej, nieskażonej woli Eru, wciąż istnieją w świecie. Nie jako zapisane nuty czy słowa, ale jako szczątkowa, energia, zaklęta w najstarszych elementach Ardy.

Były to, Echa Ainulindalë, które mogły przetrwać w kryształach ukrytych głęboko pod ziemią, w miejscach, gdzie nigdy nie dotarło światło słońca. Krople Wody z Jeziora Cuiviénen, które mogły zostać przeniesione przez ptaki lub wiatr i uwięzione w wiecznych lodowcach dalekiej północy. Oddech Yavanny, który mógł wciąż drzemac w nasionach najstarszych, zapomnianych gatunków drzew, ukrytych w niedostępnych dolinach. Słowa Aulego, które mogły być wciąż zapisane w strukturze atomowej niezłamanych skał w sercu gór. To były fragmenty Ainulindalë. Nie metaforyczne,

ale dosłowne okruchy boskiej, twórczej mocy. Zadaniem Ostatniego Kręgu było odnalezienie tych fragmentów. Każdy z członków, dzięki swojej unikalnej naturze i odporności, miał szansę dotrzeć do tych miejsc i wyczuć tę pierwotną energię, która dla innych byłaby niewidzialna.

— Nie musicie ich rozumieć — mówiła do nich Galadriela. — Musicie je tylko odnaleźć. I zabezpieczyć.

Otrzymali, małe, świetliste pojemniki, kryształy przywiezione dawno temu z Amanu. Były to naczynia zdolne pomieścić nie materię, ale esencję. Mieli w nich zamknąć znalezione echa Pieśni.

Była to misja, która wykraczała poza zwykłe poszukiwanie skarbów. Było to polowanie na duszę świata. Członkowie Ostatniego Kręgu, rozproszeni po kontynencie, przeszukiwali fundamenty, na których zbudowano rzeczywistość.

Galadriela wiedziała, że to wyścig z czasem. Gandalf stawał się coraz potężniejszy, a jego wola i wola Pierścienia coraz bardziej się splatały. Ale przynajmniej miała plan. Plan, który nie opierał się na sile, ale na prawdzie. Na nadziei, że pierwotna Pieśń Stworzenia, gdy zostanie zebrana i zaśpiewana na nowo, będzie w stanie zagłuszyć nawet najpotężniejszą, fałszywą melodię Jedynego Pierścienia.

Ostatni Krąg wyruszył na swoje ciche, samotne misje. A Galadriela w Lórien czekała, tkając w myślach osnowę dla pieśni, która miała ocalić świat przed jego własnym zbawicielem.

Mijały miesiące. Świat na powierzchni wciąż żył w niepewnym pokoju, nieświadomy cichej, duchowej wojny, która właśnie się rozpoczęła. Ale w odległych, zapomnianych zakątkach Śródziemia, członkowie Ostatniego Kręgu rozpoczęli swoje poszukiwania.

Na dalekiej północy, w sercu lodowca, gdzie zima nigdy nie ustępowała, człowiek z dzikich ostępów odnalazł to, czego szukał. Prowadzony nie wzrokiem, ale starożytnym instynktem, dotarł do jaskini ukrytej głęboko pod lodem. W jej wnętrzu, zamrożona w krysztale lodu starszym niż jakiekolwiek królestwo ludzi, znajdowała się pojedyncza kropla wody. Ale nie była to zwykła woda. Emanowała z niej delikatna, wewnętrzna poświata, a w umyśle człowieka rozbrzmiało echo śmiechu i pieśni, wspomnienie Jeziora Przebudzenia. Ostrożnie, używając ciepła własnych dłoni, wytopił lód wokół kropli i pozwolił jej spłynąć do świetlistego pojemnika, który otrzymał od Galadrieli. Kryształ zamigotał, a w jego wnętrzu, kropla wyglądała jak uwięzione zostało światło gwiazd.

W tym samym czasie, w najgłębszych, niezbadanych jaskiniach Gór Błękitnych, krasnoludzka mistrzyni run, zamiast szukać mithrilu czy diamentów, szukała kamienia, który pamiętał. Po tygodniach medytacji w całkowitej ciszy i ciemności, odnalazła go. Była to prosta, niepozorna geoda. Ale gdy ją otworzyła, w jej wnętrzu nie było kryształów. Była tam idealna pustka, która zdawała się wibrować cichą, potężną nutą, jakby sam Aulë, kowal Valarów, uderzył w kowadło w chwili stworzenia. Gdy przytknęła do niej pojemnik z Amanu, ten wessał w siebie tę wibrację, a na jego powierzchni pojawiły się na moment runy, które opisywały prawa

świata, zanim jeszcze nadano im nazwy.

W starym, zapomnianym lesie na południe od Eriadoru, Ent, który nie poszedł na wojnę, odnalazł to, czego szukała Yavanna. Było to maleńkie, skamieniałe nasiono, leżące w ziemi od dziesiątek tysięcy lat, należące do gatunku drzewa, które nie rosło od Pierwszej Ery. Ale nie było martwe. Ent, przykładając je do swojej skóry, poczuł w nim uśpione, niewyobrażalnie potężne pragnienie życia. To był sam oddech Pani Ziemi, zaklęty w najmniejszej z form. Gdy umieścił je w kryształowym naczyniu, wewnątrz rozbłysło na chwilę zielone światło, niosące ze sobą obietnicę wszystkich lasów, które kiedykolwiek istniały i które kiedykolwiek powstaną.

Elf w Szarych Przystaniach nie musiał nigdzie podróżować. Jego zadanie było najtrudniejsze. Musiał sięgnąć w głąb własnej, obolałej pamięci. Musiał odnaleźć w sobie wspomnienie, które nie zostało skażone przez smutek i tęsknotę. Po wielu dniach czuwania na brzegu morza, udało mu się. Na jedną, krótką chwilę przypomniał sobie nie obraz, ale czyste uczucie, uczucie światła Dwóch Drzew Valinoru, zanim zostały one zniszczone. Uczucie doskonałej harmonii, która istniała, zanim na świecie pojawił się cień. Skupił to wspomnienie, tę czystą emocję i przelał ją do swojego pojemnika. Kryształ nie zaświecił. Po prostu stał się ciepły w dotyku, jakby w jego wnętrzu uwięziono fragment utraconego szczęścia.

Powoli, jeden po drugim, fragmenty Ainulindalë były odnajdywane i chwytane. Każdy z nich był inny, każdy niósł ze sobą inny aspekt pierwotnej Pieśni. Ale razem, Galadriela wiedziała to, miały stworzyć coś potężnego. Coś, co mogłoby stać się ostatnią linią obrony świata.

Gdy kolejne świetliste pojemniki, niczym schwytane gwiazdy, zaczęły docierać do Lothlórien za pośrednictwem cichych posłańców, Galadriela rozpoczęła najtrudniejszą część swojego planu. Ustawiła kryształy w kręgu wokół swojego Zwierciadła, a ich połączony, subtelny blask wypełnił jej komnatę światłem, jakiego nie widziano w Śródziemiu od niepamiętnych czasów. Każdy pojemnik niósł w sobie inną esencję.

W jednym drgało echo pierwotnego świata.

W drugim pulsowała nuta fundamentalnych praw natury.

W trzecim tliła się obietnica wiecznego odrodzenia życia.

W czwartym było czyste, niczym nieskażone echo stworzenia.

To były nuty. Surowe, potężne, ale rozproszone. Zadaniem Galadrieli było teraz stać się kompozytorem. Musiała połączyć te fragmenty w jedną, spójną melodię. W Pieśń Obronną. Nie była to pieśń, którą można było zapisać na pięciolinii. Nie była to magia, którą można było rzucić jak zaklęcie. Miało to być coś znacznie głębszego. Miała to być broń rezonansowa.

Galadriela rozumiała, że moc, którą władał teraz Gandalf, opierała się na fałszywej harmonii. Pierścień brał wszystkie dźwięki świata, jego pragnienia, lęki, nadzieje i porządkował je w jedną, dominującą, pozornie piękną melodię. Wszystko, co nie pasowało do tej melodii, było eliminowane jako chaos.

Pieśń Obronna miała działać inaczej. Miała być ucieleśnieniem pierwotnego, boskiego szumu, złożoności i wielogłosowości, które leżał u podstaw stworzenia. Miała być przypomnieniem, że świat jest piękny nie dlatego, że jest idealnie uporządkowany, ale dlatego, że jest pełen sprzeczności, wolnej woli i nieprzewidywalności.

Jej celem nie było zniszczenie Gandalfa. Było nim rozstrojenie jego mocy. Gdyby nadszedł dzień, w którym Gandalf, w swojej pysze, spróbowałby narzucić światu swój idealny, ostateczny porządek, gdyby spróbował przekroczyć ostateczną granicę między strażnikiem a tyranem, Galadriela zamierzała uwolnić moc Pieśni.

Jej dźwięk, niesłyszalny dla uszu, ale odczuwalny dla każdej duszy, miał uderzyć w fałszywą harmonię Pierścienia. Miał wprowadzić do jego doskonałej melodii nuty chaosu, wolności i niedoskonałości. Miał sprawić, że moc, którą Gandalf uważał za swoją, przestałaby go słuchać. Miał go odciąć, choćby na chwilę, od źródła jego nowej potęgi, zmuszając go do konfrontacji z własną, niemal zapomnianą duszą.

Stworzenie tej pieśni wymagało od Galadrieli całej jej mądrości, mocy i woli. Był to proces wyczerpujący, duchowa alchemia na najwyższym poziomie. Przez wiele dni i nocy medytowała w kręgu kryształów, splatając ze sobą echa światła, kamienia, życia i echo stworzenia, tworząc melodię, która miała stać się ostatnią linią obrony świata.

Nie wiedziała, czy jej się uda. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie musiała użyć tej broni. Ale przygotowywała ją, mając w sercu zarówno nadzieję, jak i rozpacz. Nadzieję, że nigdy nie nadejdzie taki dzień. I rozpacz, bo w głębi duszy czuła, że ten dzień

jest nieunikniony. Pieśń była jej ostatnią, cichą przysięgą złożoną światu. Przysięgą, że będzie go bronić, nawet przed tym, który chciał go zbawić.

# Rozdział 3

Minęło sto lat, odkąd Jedyny Pierścień zniknął z widnokręgu Saurona. Sto lat ciszy, niepewności i cierpliwego oczekiwania. W swojej czarnej wieży Barad-dûr, Sauron trwał, nie jako fizyczna istota, ale jako skupiona wola, pajęczyna świadomości rozpięta nad jałową krainą. Przetrwał wieki, przetrwał utratę ciała i utratę swojego największego skarbu. Przetrwałby i wieczność, gdyby musiał.

Ale pewnego dnia, po stuleciu niemal całkowitego bezruchu, coś się zmieniło. Nie był to gwałtowny wstrząs, jak echo unicestwienia Nazgûli. Nie był to sygnał, który mógłby namierzyć. Było to coś znacznie subtelniejszego. Drżenie, jak delikatna fala na powierzchni spokojnego, czarnego jeziora. Jak oddech, który przeczuwa się w idealnej próżni. Jak szept w nicości, który brzmi znajomo, ale którego nie sposób jeszcze nazwać.

Sauron poczuł go. Całą swoją istotą. Fala mocy, która przetoczyła się przez Śródziemie, gdy Gandalf powrócił do Lórien. Czysta, pewna siebie, niemal arogancka manifestacja woli, która nie próbowała się już ukrywać. To nie była już moc wystraszonego czarodzieja, który w desperacji sięga po zakazaną broń. To była moc kogoś, kto wierzy, że tę broń opanował.

— On powrócił — powiedział cicho głos, który nie miał ust, ale którego echo rozbrzmiało między piekielnymi piecami Barad-dûr.

— Nie jako uciekinier. Nie jako strażnik. Powrócił jako władca.

Sauron skupił swoją wolę, próbując przeanalizować naturę tej nowej aury. Była w niej znajoma esencja Olórina, tego irytującego, sentymentalnego kuglarza, którym zawsze gardził. Ale była ona teraz spleciona nierozerwalnie ze złotym blaskiem Jedynego. Nie walczyły już ze sobą, śpiewały w duecie. Tworzyły nową, niepokojącą i potężną harmonię. Sauron wyczuł coś jeszcze, pychę. Ogromną, niemal nieskończoną pychę istoty, która wierzy, że pokonała największą pokusę świata i może jej teraz używać według własnego uznania.

W tym momencie strach, który towarzyszył Sauronowi przez sto lat, strach przed nieznanym, ustąpił miejsca czemuś innemu. Ekscytacji. Dzikiej, drapieżnej radości. Bo zrozumiał. Gandalf nie wygrał. On był w ostatnim stadium upadku. W którym ofiara nie wie, że jest ofiarą, i z dumą kroczy w kierunku ołtarza, wierząc, że to ona jest kapłanem.

— Mój cień, mój przeciwnik... i mój dziedzic — wyszeptał Sauron.

Wiedział, że czas oczekiwania dobiegł końca. Długi Pokój właśnie się skończył. Nadszedł czas, by przygotować świat na powrót prawdziwego Pana Pierścienia. A droga do tego powrotu prowadziła przez duszę Gandalfa.

W odpowiedzi na jego wolę, w sali tronowej Barad-dûr, która nie była fizycznym pomieszczeniem, lecz przestrzenią utkaną z myśli, zaczęły gromadzić się cienie. Nie były to Nazgûle, ci byli tylko złamanymi królami, powłokami uwięzionymi między świa-

tami, zbyt prostymi do tak subtelnej gry. Nie byli to też orkowie ani inne pomniejsze sługi.

To były istoty znacznie starsze i o wiele bardziej przerażające. W Czasach Dawnych, gdy Morgoth, pierwszy Mroczny Pan, toczył wojnę z Valarami, nie wszyscy z jego sług byli demonami ognia czy potworami z głębin. Byli wśród nich również Majarowie, duchy o wielkiej mocy, którzy, podobnie jak Sauron, ulegli jego woli. Byli to filozofowie, którzy pokochali nicość. Byli to artyści, którzy znaleźli piękno w rozkładzie. Byli to logicy, którzy dowiedli, że porządek absolutny wymaga absolutnego zniszczenia.

Gdy Morgoth został pokonany, większość z nich została zniszczona lub uciekła w najgłębsze zakamarki świata. Ale Sauron, w swojej przezorności, ocalił kilku z nich. Nie ich ciała, bo te dawno przepadły. Ocalił ich esencje, ich czyste, intelektualne wole. Uwięził je i związał ze sobą, czyniąc z nich swoich bezcielesnych doradców, swoje własne, mroczne echo.

Byli oni lustrem dla jego myśli, radą, która nigdy mu się nie sprzeciwiała, ale która potrafiła analizować problem z różnych, mrocznych perspektyw. Nie mieli imion. Byli tylko głosami, cieniami idei, które otaczały jego centralną wolę jak planety krążące wokół czarnego słońca.

Teraz wezwał ich. Trzy najpotężniejsze z nich zmaterializowały się przed jego niewidzialnym tronem jako wirujące smugi ciemności, pozbawione kształtu, ale tętniące starożytną, złą inteligencją.

— On powrócił — oznajmił Sauron, a jego myśl przetoczyła się przez ich świadomości. — Silniejszy niż kiedykolwiek. I przekonany o swojej prawości.

Pierwszy cień, przemówił. Jego myśl była ostra i precyzyjna.

— To dobrze. Prawość to pycha. A pycha jest pęknięciem, przez które można wejść. Ale powrócił nie jako wróg. Czego się obawia?

Drugi cień, zafalował. Jego myśl była powolna i sugestywna.

— On nie tworzy już tylko dla siebie. Jego moc promieniuje, zmienia świat. Zmienia go w ogród. Ale każdy ogród potrzebuje ogrodnika. A każdy ogrodnik w końcu sięga po nożyce, by przyciąć to, co nie pasuje do jego wizji.

Trzeci cień, najstarszy, milczał najdłużej. Jego myśl była głęboka i zimna. — On nosi Pierścień. Ale Pierścień nosi również jego. Są teraz jednym. Dwie wole w jednym naczyniu. Która zwycięży?

Sauron pozwolił im mówić. Potrzebował ich perspektyw, by upewnić się, że jego własny plan jest doskonały. Widział, że oni również rozumieją.

— Nie musicie się obawiać — oznajmił w końcu, a jego wola uciszyła ich szepty. — Jego siła jest teraz jego największą słabością. Wierzy, że oczyścił Pierścień. Że może nim władać bez konsekwencji. Nie wie, że to Pierścień oczyścił jego... ze wszystkich wątpliwości. A istota bez wątpliwości jest krucha jak szkło.

Cienie zamilkły, rozumiejąc. Czekały na rozkaz. Czekały na nową strategię, która miała narodzić się z tej nowej, niebezpiecznej sytuacji.

Sauron pozwolił, by cisza w jego mentalnej sali tronowej zgęstniała, dając swoim bezcielesnym doradcom czas na pełne zro-

zumienie sytuacji. Gdy w końcu przemówił, jego wola była zimna, spokojna i ostateczna jak wyrok.

— Nie będziemy z nim walczyć — oznajmił. — Frontalny atak byłby darem, którego nie możemy mu teraz ofiarować. Zjednoczyłby naszych wrogów. Zmusiłby go do użycia pełni mocy Pierścienia w otwartej konfrontacji, a to uczyniłoby z niego męczennika i bohatera. Co gorsza, w akcie ostatecznej desperacji, mógłby spróbować zniszczyć Pierścień. Nie, wojna jest narzędziem dla tych, którzy nie mają innych opcji. My je mamy.

Cienie słuchały w skupieniu.

— Nasz plan będzie miał trzy filary — kontynuował Sauron, a jego myśl rozdzieliła się na trzy potężne strumienie.

Pierwszy filar, izolacja. Gandalf myśli, że jest sam, bo nikt go nie rozumie. Musimy to poczucie pogłębić. Będziemy siać niezgodę, ale nie tak jak dawniej. Nasze szepty nie będą już mówiły o jego zdradzie, ale o jego boskości. Będziemy szerzyć wieści o jego potędze, o cudach, których dokonuje. Niech ludzie i elfy zaczną patrzeć na niego nie jak na przyjaciela, ale jak na bóstwo. Niech zaczną się go bać. Strach rodzi dystans. Dystans rodzi samotność. A samotność jest pożywką dla pychy.

Drugi filar, prowokacja. On chce pokoju. Chce swojego idealnego, małego raju. Nie damy mu go. Będziemy go nękać. Nie wielką wojną, ale tysiącem małych cięć. Nasi szpiedzy będą przekupywać urzędników w królestwach zachodu. Nasi orkowie będą przeprowadzać drobne, bezsensowne rajdy na granice Lórien czy Rohanu. Nie po to, by wygrać. Po to, by niszczyć, by tworzyć chaos, by pokazać mu, że jego idealny porządek jest iluzją. Każda spalona wioska, będzie osobistą porażką dla jego ego. Będzie go to

irytować. Będzie zmuszało do działania, do naprawiania świata. A każde takie naprawienie będzie kolejnym użyciem Pierścienia.

Trzeci filar, najważniejszy, obserwacja. On myśli, że jest panem. Nie wie, że Pierścień jest moim najdoskonalszym szpiegiem. Jest połączony z jego duszą. Z każdym użyciem jego mocy, poznaje go lepiej. Uczy się jego myśli, jego pragnień, jego najgłębszych lęków. Czekam na moment, w którym będzie tak zmęczony, tak zirytowany chaosem świata, tak pewny swojej mocy, że jego wola pęknie.

Głos Saurona stał się niemal szeptem, pełnym mrocznej, wyczekującej radości. — Naszym celem nie jest pokonanie Gandalfa. Naszym celem jest sprawienie, by sam zapragnął stać się mną. By sam doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na zaprowadzenie trwałego pokoju jest narzucenie światu swojej woli siłą. By sam, z własnej, nieprzymuszonej woli, stał się tyranem przekonanym o swojej sprawiedliwości.

Cienie zafalowały, rozumiejąc geniusz tego planu. Nie mieli walczyć z Gandalfem. Mieli mu pomóc upaść, popychając go delikatnie w kierunku, w którym i tak już zmierzał.

— On, który cię nienawidzi?

— On, który mnie poniesie.

Cisza, jaka zapadła, była jak wdech przed trzęsieniem ziemi.

Gdy drugi cień przemówił, brzmiał ostrożnie, niemal lękliwie.

— Ale on się sprzeciwia. Odpycha cię. Jest czysty.

— Nie ma czystości bez pragnienia. A on pragnie. — Z każdym czarem, który rzuca. Z każdym spojrzeniem na pierścień. Z każdym nie, które wypowiada. Pragnie.

Trzeci głos był starszy, bardziej odległy. Jak wspomnienie tchnienia Morgotha, które nigdy do końca nie zgasło

— Ale on cię nie wpuści. Nie tak. Jest jak góra lodu. Kamień, który zna swoje granice.

Sauron roześmiał się. Cicho i z politowaniem.

— W górach też są pęknięcia. Wystarczy nacisk. Ciepło. Czas.

— On chce uratować świat. A ja mu to dam.

Cienie milczały. Sauron trwał wśród nich jak ognisko bez płomienia. Niewidoczny, ale czujący.

— Gdy otworzy się w rytuale, nie by ulec, lecz by zapanować,

odkryje się jego naga dusza. — I wtedy wejdę. Nie jako wróg. Nie jako cień. Jako myśl.

— Ale on cię rozpozna.

— Nie od razu. Bo odpowiem jego głosem. Użyję jego pamięci.

— Zobaczy ogień, i pomyśli, że to światłość.

Cień po lewej zadrżał, jakby był tylko wspomnieniem ciała.

— A jeśli się obudzi? Jeśli zobaczy prawdę?

— Wtedy będzie za późno. — Będzie mną. A ja nim. — I wtedy wrócimy. W bieli. Ze światłością w oczach. Ze słowem pokoju na ustach.

— I nikt się nie sprzeciwi.

Sauron nie odpowiedział. Lecz przez przestrzeń przebiegła fala, jak głuchy dźwięk uderzenia młota o kowadło w kuźni Morgotha.

Po chwili w pustce pozostał tylko jeden cień. Mniejszy. Cień. Pomarszczony jak liść sprzed wieków. I szepnął bardzo, bardzo cicho.

— A jeśli on nie ulegnie? Jeśli, wbrew wszystkiemu, powie nie?

Z wnętrza ciemności dobiegła odpowiedź, niosąca przerażającą pewność.

— Wtedy wszystko spłonie. — Idźcie — rozkazał Sauron.

— Niech rozpoczną się szepty. Niech nasz zbawiciel poczuje ciężar świata, który tak bardzo pragnie ocalić.

Trzy cienie rozpłynęły się, niosąc ze sobą nową, cichą wojnę do Śródziemia. A Sauron pozostał w swojej wieży, cierpliwy jak góra, czekając na owoce swojego planu.

Plan był gotowy, cierpliwy i logiczny. A jednak, gdy cienie jego doradców rozpłynęły się, by rozpocząć swoje dzieło, w świadomości Saurona pojawiła się nowa myśl. Czy to wystarczy? Czekanie, aż Gandalf sam się potknie, było strategią bezpieczną. Ale była w niej bierność, której Sauron nienawidził. Było to oddanie zbyt dużej kontroli w ręce przypadku i psychiki czarodzieja. A Gandalf, mimo wszystko, był silny. Jego upadek mógł trwać kolejne stulecia.

Sauron nie miał ochoty czekać dłużej. Zrozumiał, że plan oparty na izolacji i prowokacji zewnętrznej to za mało. Musiał uderzyć bezpośrednio. Nie w ciało Gandalfa. Nie w jego sojuszników. Ale w jego sanktuarium. W jego spokój. Postanowił go nękać, znakami i szeptami. Ukłuciami, które miały zatruć jego idealny raj od środka.

Wola Saurona, skupiona jak promień czarnego światła, sięgnęła przez świat, by zasiać swoje mroczne nasiona. W Dol Guldur, w ruinach jego dawnej twierdzy, nakazał zapalić ogień. Nie wielki, wojenny pożar, ale pojedynczy, zielony płomień, widoczny tylko

dla tych, którzy potrafią patrzeć. Płomień, który miał szeptać, pamiętam i czekam, jestem bliżej niż myślisz.

Do granic Mrocznej Puszczy wysłał jednego, samotnego kruka, starą istotę o oczach lśniących złą inteligencją. Kruk nie miał atakować. Miał tylko siedzieć na gałęzi i śpiewać. Ale jego pieśń miała być utkana w Czarnej Mowie, a jej melodia miała być parodią najstarszych pieśni elfów. Miała to być profanacja, która dotrze do uszu Gandalfa, drażniąc go i przypominając o złu, które wciąż plami świat.

W Minas Morgul, w mieście umarłych, nakazał swoim Nazgûlom, by każdej nocy wznosili ku niebu bezgłośny, mentalny krzyk. Krzyk tęsknoty za utraconymi braćmi, krzyk nienawiści do ich niszczyciela. Krzyk, który miał nawiedzać sny Gandalfa, nie pozwalając mu zapomnieć o cenie, jaką zapłacił za swoje zwycięstwo. Sauron chciał go sprowokować. Chciał, by Gandalf stał się niespokojny i sfrustrowany. By poczuł, że jego strategia izolacji nie działa. Chciał, by w jego sercu zrodził się gniew, nie na Saurona, ale na niedoskonałość świata, która zakłócała jego idealny porządek.

Bo zirytowany i pozbawiony cierpliwości przeciwnik popełnia błędy. Traci czujność. Sauron czekał właśnie na ten moment. W którym Gandalf, zmęczony nękaniem, zdecyduje, że bierna obrona to za mało i musi uderzyć pierwszy, by raz na zawsze zaprowadzić porządek. Wtedy nadejdzie prawdziwa szansa, gdy jego umysł będzie otwarty i skupiony na ataku, a nie na obronie.

Gdy Głosy jego doradców rozpłynęły się, a nowe rozkazy zostały wysłane w świat, Sauron pogrążył się w głębokiej kontemplacji. Jego plan był wieloetapowy, ale wszystkie ścieżki prowadziły do jednego, ostatecznego celu, który był tak ambitny i przerażający, że nawet jego najwierniejsi słudzy nie znali jego pełnej natury.

Odzyskanie Pierścienia nie było już jego jedynym celem. To było zbyt proste. Byłoby to tylko przywrócenie status quo. Po stuleciu niepewności, po tym, jak zobaczył moc Pierścienia w rękach innego Majara, jego ambicja wzrosła. Nie chciał już tylko swojego narzędzia, chciał również naczynia, które je nosiło. Zrozumiał, że zirytowany i pozbawiony czujności Gandalf może stać się czymś więcej niż tylko pokonanym wrogiem. Może stać się idealnym wehikułem dla jego własnego powrotu. Sauron, nawet z Pierścieniem, byłby wciąż ograniczony. Jego fizyczna forma, jeśli kiedykolwiek by ją odzyskał, byłaby postrzegana jako ucieleśnienie zła. Musiałby rządzić strachem i siłą. Ale Gandalf... był symbolem nadziei, mimo niepewności którą niósł. Był kochany i szanowany. Jego twarz była twarzą mądrości i dobra.

Oto był ostateczny plan Saurona, nie zniszczyć Gandalfa, ale go przejąć. Czekać na moment, w którym Gandalf, zmęczony nękaniem i prowokacjami, w akcie ostatecznej frustracji i pychy, otworzy się w pełni na moc Pierścienia. Nie po to, by się bronić. Ale by zdominować, by narzucić swoją dobrą wolę całemu światu. W tym momencie, gdy dusza czarodzieja i esencja Pierścienia stopią się w jedno, powstanie szczelina. Pęknięcie w jego duchowej obronie.

I wtedy Sauron wejdzie. Nie siłą. Nie jako najeźdźca. Wślizgnie się do jego umysłu jak szept, jak myśl, którą Gandalf uzna za własną. Użyje jego wspomnień, jego miłości do hobbitów, jego litości dla ludzi. Odpowie jego własnym głosem. Stanie się najgłębszą, najbardziej sprawiedliwą częścią jego istoty.

Gandalf nie umrze. Po prostu... przestanie być sobą. Jego świadomość zostanie uwięziona, stanie się pasażerem we własnym ciele, podczas gdy Sauron przejmie stery.

Świat nie zobaczy powrotu Mrocznego Pana. Zobaczy transformację Gandalfa w Gandalfa Wszechmocnego. Zobaczy zbawiciela, który w końcu przyjął na siebie ciężar władzy, by ocalić wszystkich. Będą go witać z radością i ulgą. Będą go błagać, by nimi rządził. A on, z twarzą Gandalfa i wolą Saurona, zgodzi się.

To byłaby ostateczna perwersja. Największe zło ukryte pod maską największego dobra. Nikt nie odważyłby się sprzeciwić. Galadriela? Elrond? Byli by bezsilni wobec kogoś, kto władałby Jedynym Pierścieniem i jednocześnie był postrzegany jako największy bohater ich ery.

Sauron nie chciał już tylko Pierścienia. Chciał korony, którą świat sam włoży mu na głowę. Chciał uwielbienia, a nie tylko strachu. A Gandalf, w swojej tragicznej pysze, miał stać się idealnym naczyniem dla tego ostatecznego tryumfu. Wszystkie jego działania od tej pory miały prowadzić do tej jednej, przerażającej chwili, do cichej fuzji dwóch dusz w ogniu Jedynego Pierścienia.

Sauron pogrążył się w swojej wizji idealnego zwycięstwa. Obraz jego tryumfu, ukrytego za twarzą Gandalfa, był tak doskonały, tak estetycznie satysfakcjonujący, że niemal zapomniał o drugiej możliwości. W jego zimnym, analitycznym umyśle nie było miejsca na sentymenty. Musiał rozważyć każdą ewentualność. Nawet tę najgorszą.

Co, jeśli plan się nie powiedzie? Co, jeśli Gandalf, wbrew wszelkiej logice, wbrew naturze Pierścienia, w ostatniej chwili oprze się ostatecznej pokusie? Co, jeśli jego wola, hartowana w Valinorze, okaże się silniejsza niż Sauron zakładał? Co, jeśli w momencie próby, zamiast sięgnąć po władzę, wybierze samozniszczenie i rzuci się wraz z Pierścieniem w ogień Góry Przeznaczenia?

W świadomości Saurona, na moment, pojawiła się wizja porażki. Pustka i nicość, koniec jego długiego istnienia. Ale ta wizja trwała tylko chwilę. Zastąpiła ją inna myśl. Ostateczna klauzula w jego wielkim planie. Plan B, który nie był planem zwycięstwa, ale planem zemsty. Jeżeli on nie mógł mieć tego świata, nikt nie będzie go miał. Przez stulecie Długiego Pokoju, jego armie w Mordorze nie spały. Rosły w siłę, rozmnażały się w głębokich jaskiniach, kuły broń w podziemnych kuźniach. Jego potęga militarna była większa niż kiedykolwiek wcześniej. Czekała.

Jeśli jego subtelny, psychologiczny plan zawiedzie, jeśli Gandalf okaże się nie do złamania, wtedy Sauron porzuci wszelką finezję. Jeśli nie będzie mógł posiąść duszy Gandalfa, zniszczy świat, który ten tak bardzo stara się ocalić, za wszelką cenę.

W tym scenariuszu, nie będzie już żadnej strategii, żadnej cierpliwości. Będzie tylko ogień. Uwolni wszystko, co miał. Armie orków zaleją Rohan i Gondor. Easterlingowie i Haradrimowie uderzą z flanki. Smoki, które wciąż drzemały na północy, zostaną obudzone obietnicą niszczenia. A on, Sauron, skupi resztki swojej woli nie na kuszeniu, ale na niszczeniu. Jego moc, niczym zaraza, zatruje ziemię, sprawi, że rzeki staną się czarne, a niebo pokryje się wiecznym dymem.

To będzie wojna totalna, nie o dominację, ale anihilację. Sauron nie dbał o życie. Nie dbał o samą Ardę. Były one dla niego tylko narzędziami, gliną, z której chciał ulepić swój idealny porządek. Jeśli ta glina okaże się zbyt oporna, jeśli nie będzie mógł jej ukształtować według własnej woli... Wtedy ją spali. Wypali całe życie ze Śródziemia. Zostawi po sobie tylko pustynię popiołu i milczące, czarne skały. To też będzie forma porządku. Porządek pustki i cisza. Trzeciej drogi nie było.

# Rozdział 4

Po opuszczeniu Lothlórien, Gandalf nie skierował swoich kroków ku dzikim ostępom, ale ku potężnym szczytom Gór Mglistych. Jego celem była Moria. Ale nie była to już ta sama Moria, której lękał się w przeszłości, mroczny grobowiec pełen goblinów i niewypowiedzianej grozy. Była to Khazad-dûm, odrodzone i tętniące życiem królestwo krasnoludów.

Droga, która kiedyś była zdradliwa i pełna niebezpieczeństw, teraz była bezpieczna i ruchliwa. Kamienne ścieżki zostały naprawione, a na przełęczach stały solidne, krasnoludzkie strażnice. Potomkowie Durina, prowadzeni przez odważnych wodzów, odzyskali swój najwspanialszy dom.

Gandalf, zbliżając się do wschodniej bramy, zamiast złowrogiej ciszy, usłyszał coś, czego nie słyszano w tych górach od tysięcy lat, miarowy, potężny huk kowadeł, dobiegający z głębin ziemi.

Wrota Khazad-dûm stały otworem, a w ich wejściu płonęły ogromne latarnie, rzucając ciepłe, złote światło na dolinę. Strażnicy, odziani w lśniące zbroje z mithrilu, rozpoznali go natychmiast. Ich początkowe zdumienie na widok czarodzieja, który zniknął na sto lat, szybko ustąpiło miejsca pełnemu szacunku powitaniu.

— Witamy w Khazad-dûm, Tharkûn! — zawołał dowódca straży, a jego głos odbijał się echem od kamiennych ścian. — Twoje imię jest tu wciąż czczone. To ty otworzyłeś nam drogę do domu.

Gandalf wszedł do środka, a jego oczom ukazał się widok zapierający dech w piersiach. Ogromne, podziemne miasto znów tętniło życiem. Sale, które pamiętał jako puste i pełne kurzu, teraz były oświetlone tysiącami lamp, a ich ściany lśniły od nowo odkrytych żył złota i drogocennych kamieni. Przez szerokie korytarze przewijali się krasnoludzcy rzemieślnicy, kupcy i wojownicy. Dźwięk uderzania kilofów o skałę i pieśni śpiewane przy pracy tworzyły potężną symfonię odrodzenia.

Most Khazad-dûm, niegdyś wąska i pęknięta kładka, teraz był wspaniałą, szeroką konstrukcją, zabezpieczoną rzeźbionymi balustradami, a w przepaści pod nim, zamiast ciemności, lśniły światła niższych poziomów kopalni.

Gandalf szedł przez tętniące życiem miasto, krasnoludy pozdrawiały go z szacunkiem i ciekawością. Wiedział, że jego wezwanie dotarło do Elronda i że Pan Rivendell będzie na niego czekał w sercu góry. Nie spodziewał się, że miejsce ich spotkania będzie tak pełne życia i nadziei. Nowa, wspaniała Moria była żywym dowodem na to, co udało się osiągnąć dzięki Długiemu Pokojowi. Była symbolem odrodzenia. Dla Gandalfa, który nosił w sobie ciężar Pierścienia i nową, przerażającą moc, ten widok był również bolesnym przypomnieniem. Przypomnieniem o świecie, który był tak piękny w swojej niedoskonałości, świecie, który on, w swoim dążeniu do absolutnego porządku, mógł niechcący zniszczyć. Czuł, że jego spotkanie z Elrondem, tutaj, w sercu odrodzonego królestwa, będzie miało jeszcze większą wagę.

Krasnoludy mają inną więź ze światem. Nie czują magii jako przepływu energii czy światła. Czują ją jako wibrację w kamieniu, jako napięcie w metalu, jako fałszywą nutę w strukturze samej ziemi. I od momentu, gdy Gandalf wszedł do sali Mazarbul, czuli, że coś jest głęboko nie tak. Wraz z nim nadeszło coś, niewidzialnego. Powietrze stało się gęstsze, jakby czaiło się w nim echo wielkiej mocy i wielkiego ryzyka. Krasnoludy zaczęły szeptać między sobą, jeden z nich, Gimli syn Gloina, siwobrody i dumny, wyszedł przed szereg.

— Mithrandir albo kimkolwiek teraz jesteś — warknął niskim, twardym głosem. — Czuję coś. Wszyscy czujemy. To, nie jest zwykła magia.

Gandalf zatrzymał się. Spojrzał na niego spokojnie.

— To prawda. To coś więcej, ale to ja, nadal ja.

— Nie jestem tego pewien — syknął inny krasnolud, młodszy, z brodą splecioną w warkocz.

— Kamienie nie kłamią. One drżą, gdy stąpasz. One, odwracają się od ciebie.

Elrond podszedł szybkim krokiem, wyciągając dłoń w geście uspokojenia — Spokójnie, przyjaciele. To nie jest wróg.

— Może jeszcze nie jest wrogiem — odparł Gimli sucho.

— Ale nosi coś, czego nie powinien. My, krasnoludy, mamy dobrą pamięć. Czuję to, to jest on, ten jedyny.

Jego towarzysze pokiwali głowami. Oni również to czuli. Było to jak stałe, niskie dudnienie, które sprawiało, że ich zęby drżały,

a włosy na rękach stawały dęba. Było to uczucie fundamentalnego zepsucia, jakby ktoś wsypał piasek do precyzyjnego mechanizmu zegara. Struktura kamienia wokół nich zdawała się jęczeć pod niewidzialnym ciężarem.

Gandalf odwrócił wzrok. Przez chwilę, tylko przez ułamek sekundy, jego postawa się zmieniła, jakby drgnął cień. Prawie niezauważalnie — Ujarzmiłem go — powiedział cicho. — Nie używam go do rządzenia. Tylko do ochrony. Do myślenia i planowania przyszłości.

— Jak długo myślisz, że to potrwa? — warknął krasnolud.

— Zanim on użyje ciebie?

— Już próbował — rzekł Gandalf. — I przegrał.

Zapadła cisza. Kamienie zdawały się milknąć. W powietrzu zawisło coś niepokojącego, jakby sama Moria wstrzymała oddech. Elrond przemówił powoli, jakby ważąc każde słowo. — Krasnoludy nie są głupcami, Gandalfie. Ich instynkt może być bardziej czuły niż nasza mądrość. Ale przyszedłeś nie po to, by ich przekonywać, tylko mnie. Gandalf skinął głową.

— Masz rację. Ale nie mogę nikogo oszukiwać. Jeśli mnie odrzucą lub wygnają, przyjmę to. Ale to nie zmieni tego, co muszę zrobić. Gimli spojrzał długo w oczy Gandalfa. Potem pokłonił się powoli, nie ze czcią, lecz z ciężarem odpowiedzialności.

— Zostań na razie, ale nie chodź po naszych kuźniach. Nie wnoś go do naszych hal. Zostań jako cień, nie jako wróg.

Gandalf skinął głową z pokorą. — Tak uczynię.

— Co zamierza Pan Elrond? — zapytał jeden z krasnoludów.

— Rozmawiać z nim? Z czymś takim się nie rozmawia. To

się niszczy!

— Pan Elrond jest mądry — odparł Gimli, choć w jego głosie pobrzmiewała nuta wątpliwości. — Ale nawet elfy bywają czasem zbyt ufne. One słuchają słów. My, krasnoludy, ufamy temu, co mówi kamień. A kamień mówi nam, że w tej sali jest wielkie niebezpieczeństwo.

Gimli nie odrywał wzroku od wejścia do komnaty. W dłoni mocno ściskał rękojeść swojego topora. Nie bał się Gandalfa. Krasnoludzki strach był rzeczą rzadką. Ale czuł głęboki, instynktowny niepokój. Czuł, że ma do czynienia z czymś, co jest wrogie samej naturze tego, co trwałe i prawdziwe. Z czymś, co obiecuje porządek, ale w rzeczywistości przynosi tylko zgniliznę od środka.

Był na straży zdrowego rozsądku, który mówił mu, że z pewnymi rodzajami mocy się nie paktuje. Na straży bezpieczeństwa Elronda, którego uważał za przyjaciela. I choć nie rozumiał w pełni natury walki, która toczyła się w sercu Gandalfa, jego krasnoludzka dusza bezbłędnie wyczuwała obecność największego wroga jego ludu, fałszywego złota, które obiecuje bogactwo, a przynosi tylko zgubę. Był gotów użyć swojego topora, by bronić świata przed tą obietnicą.

W kręgu światła, oparty o kamienny grobowiec, stał Elrond, Pan Rivendell. Nie przybył tu z wielką eskortą. Był sam, ubrany w prosty, szary strój podróżny, a jego twarz, choć spokojna, nosiła ślady głębokiej troski. Przybył tu na wezwanie Gandalfa, które dotarło do niego nie w formie słów, ale czystej, nieodpartej myśli.

Przez chwilę stali w milczeniu, a jedynym dźwiękiem był odległy szum wody kapiącej gdzieś w głębi kopalni. Byli jak dwie strony tej samej, starożytnej monety. Gandalf, emanujący nową, oślepiającą mocą, pewny swojej drogi. I Elrond, ucieleśnienie mądrości, pamięci i ciężaru wiedzy o dawnych porażkach.

— Teraz rozumiesz, czemu chciałem spotkać się tutaj, nie do Rivendell — rzekł Elrond.

— Tak — odparł Gandalf. — Rivendell byłoby łaskawsze. A ja musiałem usłyszeć prawdę.

Elrond spojrzał mu w oczy — Więc usłysz, jesteś naszą ostatnią nadzieją. Ale być może ostatnim zagrożeniem. — Wezwałeś mnie, Mithrandirze. — I przybyłem. Choć muszę przyznać, że nie spodziewałem się spotkania w tym miejscu. Nosi ono zbyt wiele smutnych wspomnień.

— Wspomnienia są dla tych, którzy żyją przeszłością, Elrondzie — odparł Gandalf, a jego głos był głęboki i rezonujący, zupełnie inny niż ten, który pamiętał Pan Rivendell.

— Przyszedłem mówić o przyszłości.

Podszedł bliżej, a jego postać w białych szatach zdawała się rozpraszać mrok w sali. Elrond nie cofnął się, ale jego spojrzenie instynktownie powędrowało ku dłoni czarodzieja, na której lśnił złoty krążek. Jego blask był cichy, ale dominujący.

— Widzę, że go nosisz — powiedział Elrond, a w jego głosie nie było potępienia, tylko stwierdzenie faktu. — Otwarcie.

— Nie ma już powodu, by go ukrywać — odparł Gandalf.

— Strach był zasłoną, która nie pozwalała nam dostrzec jego prawdziwego potencjału. Ja tę zasłonę zerwałem.

— Potencjału do czego? — zapytał cicho Elrond. — Do zniszczenia czy do dominacji? Widziałem echo twojego dzieła na Wichrowym Czubie. To była moc, której nie powstydziłby się sam Morgoth w dniach swojej chwały.

Na twarzy Gandalfa pojawił się cień irytacji.

— To była konieczność, broniłem się. Ty, który widziałeś upadek Gondolinu i ostatni sojusz, powinieneś to rozumieć. Isildur zawiódł, bo był słaby. Ja nie popełnię jego błędu.

— Isildur zawiódł, bo uległ pokusie władzy, którą ten przedmiot obiecuje — skontrował łagodnie, ale stanowczo Elrond. — Ty myślisz, że jesteś silniejszy. W tym leży niebezpieczeństwo.

Stali naprzeciw siebie, a napięcie między nimi było niemal namacalne. To nie była już rozmowa przyjaciół. To była konfrontacja dwóch idei, dwóch wizji świata.

— Nie wezwałem cię tutaj, byś mnie osądzał, stary przyjacielu — powiedział łagodnie Gandalf. — Wezwałem cię, bo potrzebuję świadka. Bo droga, którą obrałem jest samotna. A ja nie chcę, by świat pogrążył się w chaosie. Chcę, byś zrozumiał mój plan.

— Więc mów — odparł Elrond, a jego oczy, które widziały trzy wieki historii Śródziemia, wpatrywały się w Gandalfa z mieszaniną lęku, smutku i ostatniej, tlącej się iskierki nadziei. — Słucham.

W Sali Mazarbul napięcie rosło. Słowa Elronda, pełne mądrości i ostrzeżenia, zawisły w powietrzu. Gandalf przez chwilę milczał, a jego twarz, oświetlona blaskiem Pierścienia, była nieprzenik-

nioną maską.

— Rozumiem twój lęk, Elrondzie — powiedział w końcu, a jego głos, choć wciąż potężny, stracił nieco ze swojej lodowatej pewności. — Widzisz tylko powtórkę z historii. Porażkę Isildura, pychę Fëanora. Nie jestem ani człowiekiem, ani elfem. Jestem tym, kim jestem. I widzę drogę, której ty nie dostrzegasz.

— Widzę drogę, na której końcu jest przepaść, przyjacielu — odparł cicho Elrond.

— Być może — przyznał Gandalf, co zaskoczyło Pana Rivendell. — Każda wielka droga prowadzi na skraj przepaści. Ale ja nie zamierzam w nią skoczyć. Chcę zbudować nad nią most. Most do świata bez strachu, bez wiecznej wojny. A do tego potrzebuję mocy, której ty się lękasz.

Podszedł bliżej, a jego spojrzenie było teraz intensywne, niemal błagalne. — Nie proszę cię o pomoc w walce. Nie proszę, byś poparł moje metody. Proszę cię o coś znacznie trudniejszego. O zaufanie. I o bycie moim sumieniem.

Elrond patrzył na niego, próbując przeniknąć zasłonę mocy i pychy, by odnaleźć w nim dawnego Mithrandira.

— Co chcesz, żebym zrobił?

— Chcę, byś był świadkiem — powiedział Gandalf z powagą. — Chcę, byś obserwował. Nie po to, by mnie potępiać, ale by rozumieć. Chcę, byś był tym, który opowie światu, co się stało, gdy kurz już opadnie. Ale jest coś jeszcze.

Zawahał się na moment, a w jego oczach na ułamek sekundy pojawił się cień dawnego Gandalfa, cień wątpliwości i strachu.

— Wiem, że ta moc jest wielka. I wiem, że sam mogę nie do-

strzec momentu, w którym przekroczę granicę. Dlatego potrzebuję ciebie, Elrondzie. Potrzebuję twojej mądrości, twojej pamięci. Potrzebuję cię jako... ostatecznego zabezpieczenia.

Elrond zrozumiał. Zrozumiał groźną naturę prośby Gandalfa. Czarodziej nie prosił o sojusznika. Prosił o kata.

— Chcesz, żebym patrzył, jak staczasz się w ciemność, a potem, gdy będzie już za późno, mam cię powstrzymać? — zapytał Elrond, a w jego głosie pobrzmiewała gorycz. — To okrutne zadanie, Gandalfie.

— To jedyne zadanie, które ma teraz sens — odparł Gandalf.

— Sauron czeka, aż popełnię błąd. Świat czeka na zbawiciela lub tyrana. Ja sam nie ufam już do końca własnym osądom. Jesteś pamięcią o tym, co było dobre i słuszne. Jeśli zobaczysz, że mój most prowadzi donikąd, jeśli zobaczysz, że staję się tym, z czym walczę... wtedy musisz działać.

— Zawarliśmy kiedyś wiele sojuszy. W imię walki, w imię nadziei. Dziś proszę cię o ostatni, najtrudniejszy. Bądź moim świadkiem i sędzią. Przysięgnij, że jeśli zajdzie taka potrzeba, zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by mnie powstrzymać.

Elrond patrzył na wyciągniętą dłoń, a potem w oczy Gandalfa. Zobaczył w nich ogromną potęgę, wielką pychę, ale też drobną, tlącą się iskierkę strachu — ostatni ślad dawnego przyjaciela, który wiedział, że igra z ogniem, który może go pochłonąć. I podjął decyzję.

— Przyjmuję ten pakt — powiedział powoli. — Będę świadkiem twoich czynów, Mithrandirze. Będę starał się je zrozumieć. — Ale przysięgam na gwiazdy Vardy i na pamięć o Lúthien, że jeśli zobaczę, iż stajesz się cieniem, przeciw któremu walczyliśmy, nie

zawaham się. I stanę się twoim wrogiem.

I tak, w sercu opuszczonej góry, nad grobem krasnoludzkiego króla, zawarto najdziwniejszy i najtragiczniejszy sojusz w historii Śródziemia. Pakt Cienia i Pamięci. Jeden miał zmieniać świat, wierząc w swoją moc. Drugi miał patrzeć i czekać, gotów zniszczyć przyjaciela, by ocalić jego duszę.

Gdy Gandalf i Elrond wyszli z Sali Mazarbul, czekał na nich Gimli. Krasnolud spojrzał najpierw na Elronda, a potem na Gandalfa, a jego oczy, przyzwyczajone do mroku, zdawały się przenikać przez nową, świetlistą aurę czarodzieja. Nie ufał jej, ale ufał Elrondowi, a w jego twarzy widział powagę, która mówiła wszystko.

— Gandalfie — odezwał się Gimli, a jego głos był szorstki, ale pozbawiony wrogości.

— Pan Elrond twierdzi, że spieszno ci na południe. Droga przez góry jest długa, nawet dla ciebie.

— Czas jest cenny, mistrzu krasnoludzie — odparł Gandalf.

Gimli przez chwilę wahał się, zerkając na Elronda, który subtelnie skinął głową. — Istnieją drogi, których nie znają nawet elfy. Stare, zapomniane korytarze, które biegną prosto przez serce gór, omijając wielkie sale i zdradliwe przepaście. Zbudowali je moi przodkowie w czasach, gdy nie musieli się niczego obawiać. Znamy te ścieżki, możemy cię poprowadzić.

Była to oferta bez precedensu. Krasnoludy strzegły swoich tajemnic zazdrośnie, a najgłębsze drogi Morii były jedną z najwięk-

szych. Ale sytuacja była wyjątkowa. Gimli, działając na prośbę Elronda i własnego, niespokojnego przeczucia, postanowił uczynić wyjątek.

Gandalf przyjął ofertę. Pod wodzą Gimliego i jego towarzyszy, podróż przez Morię, która zwykle zajęłaby wiele dni, skróciła się do niecałego dnia. Szli przez wąskie tunele, przez komnaty wypełnione milczącymi, kryształowymi formacjami i obok podziemnych rzek, które płynęły w nieznanym kierunku. Gdy w końcu wyszli przez ukryte wyjście w Dolinie Cienistego Potoku, po drugiej stronie Gór Mglistych, słońce dopiero wschodziło. Stali na skraju ziem Rohanu.

— Tutaj się pożegnamy — powiedział Gimli, mrużąc oczy w blasku dnia. — Nasza droga prowadzi do Ereboru. Obyś znalazł to, czego szukasz. I oby to, co znajdziesz, nie zniszczyło nas wszystkich.

Z tymi słowami, krasnoludy odwróciły się i zniknęły z powrotem w cieniu góry. Gandalf stał samotnie na rozległej równinie. Nie zamierzał jednak iść pieszo. Zamknął oczy i skupił swoją wolę. Nie był to głośny okrzyk, ale cichy, mentalny zew, który popłynął na skrzydłach wiatru, niosąc ze sobą echo dawnej przyjaźni i nowej, nieodpartej mocy. Zew był skierowany do koni. Do dumnej i rozmumnej rasy Mearas, książąt wśród koni, których przodkowie przybyli zza Morza. Minęła ledwie godzina, gdy na horyzoncie pojawił się galopujący punkt. Rósł w oczach, aż w końcu stał się wspaniałym, białym ogierem. Nie był to Cienistogrzywy, jego czas dawno minął. Ale w jego kształcie, w jego sile i w jego inteligencji, Gandalf rozpoznał krew jego rodu.

Koń podbiegł do Gandalfa i zatrzymał się, parskając. Nie było w nim lęku. Było rozpoznanie, nowej, potężnej istoty, której woli nie śmiałby się oprzeć żaden rumak.

Gandalf położył dłoń na jego lśniącej szyi. — Witaj, przyjacielu. Czeka nas długa droga. I musimy się spieszyć.

Wskoczył na jego grzbiet z lekkością, która zaprzeczała jego wiekowi. A potem, niczym biała strzała wypuszczona z łuku, pomknęli na południe, ku Minas Tirith. Wiatr rozwiewał białą grzywę konia i białe szaty jeźdźca, a ziemia zdawała się uciekać im spod kopyt. Droga do Gondoru, która zajęłaby tygodnie, miała im teraz zająć zaledwie kilka dni. Gandalf, wsparty przez tajemnice krasnoludów i lojalność najwspanialszego z koni, pędził na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

# Rozdział 5

Wiatr śpiewał w uszach Gandalfa, a ziemia umykała pod kopytami jego wierzchowca. Choć był to potomek, a nie ten sam koń, który niósł go poprzednim razem, Gandalf w swoim sercu nazwał go tak samo, Cienistogrzywy. Być może lubił tę nazwę, a może była to tęsknota za prostszymi czasami. Był to ostatni hołd dla przyjaciela, którego stracił.

Razem przemierzali krainy ludzi, a ich podróż była, jak sen. Przemknęli przez Rohan, a Gandalf z cichym podziwem patrzył na zielone, falujące równiny, na których pasły się tysiące koni. Widział odbudowane osady, silnych, dumnych ludzi i czujne strażnice na granicach. Marchia była silna i zdrowa.

Potem przekroczyli Białe Góry i wjechali do Gondoru. Tutaj krajobraz był inny, bardziej uporządkowany, świadczący o wiekach cywilizacji. Widział rzędy pól uprawnych Anórien, tętniące życiem wioski i solidne kamienne mosty przerzucone nad rzekami. Oba królestwa, przez sto lat niezagrożone bezpośrednio przez wojnę, rozkwitły pod mądrymi rządami. Był to widok, który napełniał jego serce radością. Ale była to radość zabarwiona nowym, dziwnym poczuciem... odpowiedzialności. Patrzył na ten pokój i myślał, to jest to, co muszę chronić. To jest ten porządek, który musi przetrwać.

Ich podróż była niewiarygodnie szybka. Zdawało się, że sam wiatr pcha ich naprzód, a zmęczenie nie imało się ani jeźdźca, ani konia. W końcu, po kilku dniach nieprzerwanego galopu, na horyzoncie pojawił się ich cel. Białe Miasto, Minas Tirith. Wznoszące się siedmioma tarasami ku niebu, lśniące w popołudniowym słońcu jak perła wykuta z kości słoniowej i marzeń. Było wspanialsze niż je zapamiętał. Na jego szczycie, na najwyższym tarasie, powiewała dumnie chorągiew królów, Białe Drzewo na czarnym tle.

Gandalf zatrzymał Cienistogrzywego na wzgórzu i przez chwilę podziwiał w milczeniu. Dotarł do serca władzy ludzi. Teraz czekała go najtrudniejsza rozmowa ze wszystkich. Rozmowa z królem i starym przyjacielem.

Gdy Gandalf na swoim białym wierzchowcu zbliżył się do wielkiej bramy miasta, wieść o jego nadejściu już go wyprzedziła. Zwiadowcy na murach, wyposażeni w lunety wykonane przez krasnoludzkich optyków, dostrzegli go z daleka. Samotny, biały jeździec pędzący z szybkością, która zdawała się przeczyć prawom natury, był widokiem, który nie mógł pozostać niezauważony.

Gdy podjechał do bramy, ta była już otwarta. Strażnicy w lśniących zbrojach, z wizerunkiem Białego Drzewa na piersiach, stali w szpalerze. Ich twarze wyrażały mieszaninę szacunku, zdumienia i ledwo skrywanego lęku. Dowódca straży, człowiek o surowej twarzy i siwych włosach na skroniach, podszedł do niego i skłonił się głęboko.

— Witaj w Minas Tirith, Panie Gandalfie. Miasto jest zaszczycone twoim powrotem.

Gandalf zsiadł z konia z lekkością, która nie przystawała do jego wyglądu. — Minęło wiele lat, Beregondzie — powiedział, a jego głos był spokojny i potężny. Rozpoznał w dowódcy młodego strażnika, którego pamiętał ze starych czasów. — Dobrze widzieć, że wciąż strzeżesz Białego Miasta.

— Zawsze na służbie, ale jestem synem Beregonda, Borlas do usług — odparł, a w jego oczach widać było wzruszenie. Dla niego i dla starszego pokolenia, Gandalf wciąż był symbolem nadziei.

— Król Elessar został poinformowany o twoim przybyciu. Oczekuje cię w sali tronowej.

Gandalf skinął głową, a potem poklepał Cienistogrzywego po lśniącej szyi. — Borlasie, jesteś łudząco podobny do ojca. — Mój towarzysz jest zmęczony po długiej drodze. Proszę, zaopiekujcie się nim.

— Oczywiście, panie. — Borlas dał znak stajennym, którzy podeszli z najwyższym szacunkiem.

— Najlepszy boks w królewskich stajniach jest już dla niego gotowy. Dostanie najlepsze siano i owies, jakie mamy w Gondorze. Przypilnujemy go jak oka w głowie.

Cienistogrzywy pozwolił się poprowadzić, rzucając swojemu panu ostatnie, ufne spojrzenie. Był to widok niezwykły, najwspanialszy z koni, traktowany z czcią godną księcia. Gandalf spojrzał na wznoszące się przed nim miasto. Ulice i budynki były czyste, w powietrzu unosił się gwar spokojnego, dostatniego życia.

— Miasto wypiękniało — zauważył.

— Król Elessar jest dobrym władcą — potwierdził z dumą Borlas.

— Pod jego rządami Gondor odzyskał dawną chwałę.

Gandalf ruszył, przez kolejne poziomy miasta. Mieszkańcy, którzy go rozpoznawali, zatrzymywali się i kłaniali w milczeniu. Szepty o tym że Mithrandir powrócił rozchodził się po ulicach jak fala. Ale w ich spojrzeniach, obok podziwu, czaiło się też pytanie. Co sprowadza legendarnego czarodzieja z powrotem po stu latach milczenia. Gandalf szedł, niewzruszony, a jego biała postać była jak duch z przeszłości.

Wielka sala tronowa była wspanialsza niż kiedykolwiek. Jej wysokie kolumny, rzeźbione na podobieństwo królów dawnych wieków, lśniły w blasku wpadającym przez ogromne okna. Na końcu sali, na podwyższeniu, stał tron, wykuty z jednego bloku czarnego kamienia, a na nim, z powagą i spokojem, zasiadał Król Elessar.

Aragorn nie był już Obieżyświatem, strażnikiem w znoszonym płaszczu. Był królem w pełni swojej chwały. Jego długie, ciemne włosy, teraz poprzetykane srebrem, opadały na ramiona, a na jego czole lśniła Gwiazda Północy. Ubrany był w prostą, szlachetną czerń, a na jego piersi widniał herb, Białe Drzewo pod koroną i siedmioma gwiazdami. Jego twarz, choć naznaczona troskami stuletnich rządów, wciąż była szlachetna, a w jego oczach płonęła ta sama mądrość i siła.

U jego boku, na nieco mniejszym tronie, siedziała królowa Arwena, Gwiazda Wieczorna. Czas, który dotknął jej męża, zdawał się jej nie imać. Jej uroda, dar jej elfickiego rodu, była tak niezwykła, że zapierała dech w piersiach. Była jak żywe wspomnienie światła Valinoru, a jej obecność w sali była obietnicą, że więź mię-

dzy ludźmi a elfami nie została zerwana.

Gdy Gandalf wszedł do sali, wszystkie rozmowy ucichły. Jego biała postać, emanująca nową, potężną aurą, przyciągała wszystkie spojrzenia. Szedł powoli przez długą salę, a jego kroki prawie nie wydawały żadnego dźwięku na marmurowej posadzce.

Aragorn wstał z tronu, by powitać przyjaciela. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Gandalf, ku zdumieniu wszystkich zebranych, zrobił coś nieoczekiwanego.

Zatrzymał się przed stopniami tronu i powoli, z namaszczeniem, uklęknął na jedno kolano. Pochylił swoją siwą głowę.

— Królu Elessarze — powiedział, a jego głos, czysty i donośny, wypełnił całą salę. — Władco zjednoczonych królestw Gondoru i Arnoru. Przybywam, by oddać ci hołd.

Aragorn podszedł szybko i położył dłonie na ramionach czarodzieja. — Wstań, przyjacielu — powiedział cicho, a w jego głosie pobrzmiewało wzruszenie. — Nie ma potrzeby, byś klękał przede mną. Nigdy.

Gandalf podniósł na niego wzrok, a w jego oczach był spokój i determinacja. — Jesteś królem. A ja jestem tylko sługą. Sługą sprawy, którą razem rozpoczęliśmy.

Wstał. Wtedy odezwała się Arwena, a jej głos był jak muzyka.

— Witaj, Mithrandirze. Pamiętam, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy, tak dawno temu w Rivendell. W twoich oczach była wtedy troska, ale i nadzieja. Dziś widzę w nich siłę.

— I ja pamiętam ten dzień, Pani — odparł Gandalf, kłaniając się jej głęboko. — Twoja uroda wciąż jest jak gwiazda, która nigdy nie gaśnie.

Atmosfera była pełna szacunku i pozorowanej kurtuazji. Ale pod powierzchnią, zarówno Aragorn, jak i Arwena, czuli to samo, co Galadriela w Lórien. Cień. Niewidzialną przepaść, która oddzieliła ich od przyjaciela, którego znali. Jego moc była wielka, pewność siebie absolutna. Wydawało się, że zniknęło gdzieś ciepło, zniknęły wątpliwości, zniknęła ta ludzka, niedoskonała część jego natury, którą tak kochali.

Aragorn poprowadził Gandalfa w stronę tronu, a Arwena zeszła, by stanąć u jego boku. Przez chwilę stali razem, król, królowa i czarodziej. Dla kogoś z zewnątrz byłby to obraz idealnej harmonii, spotkanie starych przyjaciół po latach rozłąki. Wymieniali uprzejmości, pytali o minione lata, a w ich głosach pobrzmiewała nuta autentycznej, głębokiej zażyłości.

To wszystko było na pokaz. Aragorn, patrząc w spokojne, niemal nadludzko patrzące oczy Gandalfa, nie widział już w nich dawnego towarzysza podróży. Nie widział mentora, który dzielił się z nim fajkowym zielem przy ognisku i którego twarz potrafiła rozjaśnić się w szerokim uśmiechu. Widział istotę potężną, odległą, niemal abstrakcyjną. Czuł od niego aurę tak wielkiej mocy, że była ona niemal fizycznie odczuwalna, była to przepaść, której nie dało się zasypać wspomnieniami.

Arwena, ze swoją elficką wrażliwością, czuła to jeszcze mocniej. Widziała światło, które emanowało z Gandalfa, ale było to światło zimne, jak blask gwiazd na mroźnym niebie. Nie było w nim już ciepła Tajemnego Ognia, tego wewnętrznego żaru, który czy-

nił go tak ludzkim. Była w nim doskonałość. A doskonałość, jak wiedziała, jest często nieludzka i nie zna litości dla tego, co niedoskonałe.

Mimo przyjaznej atmosfery, miłych słów i gestów pełnych szacunku, między nimi ziała otchłań. Rozmawiali, ale nie rozumieli się już tak jak dawniej. Mówili tymi samymi słowami, ale nadawali im inne znaczenia. Dla Aragorna i Arweny pokój oznaczał wolność i prawo do życia. Dla Gandalfa, jak zaczynali podejrzewać, pokój oznaczał porządek i brak chaosu. A to była subtelna, lecz istotna różnica. Ich rozmowa została przerwana, gdy drzwi sali tronowej otworzyły się z cichym zgrzytem. Do środka wszedł wysoki, dojrzały mężczyzna, w którym siła ojca i uroda matki połączyły się w idealną całość. Eldarion, dziedzic Gondoru, książę w pełni sił.

Zatrzymał się gwałtownie, widząc obcą, białą postać stojącą tak blisko jego rodziców. Nie wiedział, kim jest ten starzec, ale jego instynkt przyszłego króla natychmiast się odezwał. Czuł tę przytłaczającą aurę mocy, ale nie czuł w niej ciepła ani życzliwości. Czuł tylko absolutną, nieznoszącą sprzeciwu wolę.

— Ojcze — powiedział, a jego głos był formalny i chłodny.

— Matko. Nie wiedziałem, że macie gościa.

— Eldarionie — odezwał się Aragorn, próbując rozładować napięcie. — To jest Gandalf. Mithrandir. Stary przyjaciel, o którym tak wiele ci opowiadałem. Wrócił do nas po długiej nieobecności.

Eldarion spojrzał na czarodzieja. Nie skłonił się. Jego spojrzenie było proste, badawcze i pełne nieufności. Był przedstawicielem nowego pokolenia, które nie znało, ani nie pamiętało Gandalfa jako przyjaciela. Znało go tylko z legend i z niepokojących szeptów o jego zniknięciu i potędze. Dla niego, Gandalf nie był symbo-

lem nadziei, ale wielką niewiadomą, potencjalnym zagrożeniem dla porządku, który jego ojciec tak starannie budował.

— Panie Gandalfie — powiedział krótko, a w jego głosie nie było wrogości, ale też ani krzty serdeczności.

Pierwsze, oficjalne spotkanie dobiegło końca. Nieufne spojrzenie Eldariona, przerwało iluzję beztroskiego powrotu i obnażyło prawdę, przepaść dzieliła Gandalfa nie tylko od jego starych przyjaciół, ale i od nowego świata, który powstał podczas jego nieobecności. Świata, który mógł nie chcieć zostać zbawiony w sposób, jaki on zaplanował.

Gandalf zamieszkał w komnatach gościnnych. Spędzał czas samotnie, pogrążony w myślach, jego obecność była jak cicha burza za horyzontem, niewidoczna ale wyczuwalna.

Pewnego wieczoru, Aragorn odszukał go w małym, prywatnym ogrodzie na jednym z wyższych tarasów miasta. Nie było tu już blasku sali tronowej ani czujnych spojrzeń dworzan. Był tylko chłód nocy, zapach ziół i milczące gwiazdy. Gandalf stał przy kamiennej balustradzie, wpatrzony w rozświetlone dolne poziomy miasta.

Przez długi czas stali w milczeniu, jak za dawnych lat, gdy jako Obieżyświat i Szary Pielgrzym dzielili razem straż przy ognisku.

— Pamiętasz noce w dziczy? — zapytał cicho Aragorn. — Ten strach, który czuliśmy i prostą radość z nadejścia poranka? Pamiętasz, jak uczyłeś hobbitów odwagi, a mnie cierpliwości? Gdzie

jest tamten Gandalf, przyjacielu?

Gandalf odwrócił się od widoku miasta i spojrzał na Aragorna. W jego oczach, na moment, pojawił się cień dawnego smutku.

— Widzę twoją moc, Mithrandirze — powiedział Aragorn, a w jego głosie nie było już królewskiego majestatu, tylko troska przyjaciela. — I boję się jej. Boję się tego, co może ci odebrać.

— Odebrała mi strach — odparł Gandalf. — I wątpliwości. Czy to tak źle?

— Strach chroni nas przed pychą. A wątpliwości czynią nas mądrymi — westchnął Aragorn. — Nosisz na palcu broń ostateczną. Broń naszego wroga. Mówisz, że ją kontrolujesz. Ale ja przez całe życie uczyłem się, że pewnych rodzajów mocy się nie kontroluje. Można im tylko służyć, nawet jeśli myśli się, że jest inaczej.

— Zrobiłem to dla nich wszystkich — powiedział w końcu Gandalf, a jego głos był cichy, niemal obronny. — Dla pokoju, który tu zbudowałeś. Dla śmiechu dzieci na ulicach. Dla kwitnącego drzewa. Sauron czeka. Gdybym nie wziął tego ciężaru na siebie, jego cień już dawno zatrułby to wszystko.

— Wiem — przyznał Aragorn, a w jego sercu mieszał się ból i wdzięczność. — I świat jest ci winien dług, którego nigdy nie spłaci. Ale widzę też drogę, na którą wszedłeś. Drogę samotności i absolutnej władzy. I boję się, dokąd ona prowadzi. Boję się dnia, w którym w imię ochrony tego pokoju, odbierzesz ludziom wolność wyboru, by chronić ich przed nimi samymi.

Spojrzał staremu przyjacielowi prosto w oczy. — Tęsknię za tobą, Gandalfie. Tęsknię za przyjacielem, z którym dzieliłem moje obawy, a nie za istotą, która chce je wszystkie za mnie rozwiązać.

W tej krótkiej, prywatnej rozmowie, pełnej smutku i wspomnień, król zrozumiał ostatecznie, jak wielkie ryzyko niesie ze sobą droga przyjaciela. Zrozumiał, że w swoim dążeniu do ocalenia świata, może stać się zagrożeniem równie wielkim, co mrok, z którym walczył. Świadomość tego ciążyła na jego królewskim sercu bardziej niż jakakolwiek korona.

Słowa Aragorna, pełne szczerej tęsknoty i obawy, zdawały się na moment przebić przez pancerz pewności siebie Gandalfa. Czarodziej odwrócił wzrok i spojrzał na lśniący w oddali szczyt Białej Wieży.

— Tęsknota jest luksusem, na który nie mogę sobie pozwolić, Elessarze — powiedział cicho, a w jego głosie znów pojawił się obcy, odległy ton. — Nie, dopóki cień na wschodzie nie zgaśnie na zawsze.

— A co, jeśli w walce z cieniem, sam się nim staniesz? — zapytał Aragorn, nie odpuszczając.

Gandalf milczał przez dłuższą chwilę. Wiatr szeleścił w liściach drzew w królewskim ogrodzie. W końcu czarodziej odwrócił się i jego spojrzenie było tak poważne i intensywne, jakiego Aragorn nigdy wcześniej u niego nie widział.

— Dlatego właśnie tu przyszedłem — powiedział.

— Nie tylko po to, by zobaczyć, jak kwitnie twoje królestwo. Przyszedłem do ciebie, tak jak wcześniej do Elronda. Bo wy dwaj jesteście filarami tego świata. Elrond jest jego pamięcią. A ty... ty jesteś jego nadzieją. I jego mieczem.

Podszedł bliżej, a jego oczy zdawały się przenikać duszę króla.

— Wiem, jaką mocą władam. I wiem, jak jest zwodnicza. Wierzę,

że ją kontroluję. Wierzę, że moja wola jest silniejsza. Ale byłem już w ciemności, wiem, jak łatwo jest się potknąć.

Aragorn słuchał, a jego serce biło powoli i ciężko. Domyślał się, co nadchodzi.

— Elrond złożył mi przysięgę — kontynuował Gandalf. — Przysięgę, że będzie świadkiem i sędzią. Ale jego moc jest mocą zachowania i uzdrawiania. Jeśli nadejdzie dzień, w którym będę musiał zostać powstrzymany siłą, on sam nie podoła. Ale ty...

Spojrzał na biodro Aragorna, gdzie w prostej, skórzanej pochwie spoczywał Andúril, Płomień Zachodu. Ostrze, które odcięło kiedyś Pierścień z dłoni Saurona.

— Ty masz w sobie siłę królów ludzi i mądrość elfów. I dzierżysz ostrze, które pamięta porażkę i zwycięstwo. Dlatego proszę cię o to samo, o co prosiłem Elronda, ale moja prośba do ciebie jest twardsza, jak stal twojego miecza.

Jego głos ściszył się do szeptu, ale każdy wyraz był ostry jak odłamek lodu.

— Przysięgnij mi, Aragornie, synu Arathorna. Przysięgnij mi na swoje królestwo, na miłość do Arweny, na wszystko, co jest ci drogie. Że jeśli zobaczysz, iż przekroczyłem granicę..., jeśli zobaczysz, że moja miłość do porządku zamieniła się w tyranię..., jeśli zobaczysz, że to Pierścień mówi moimi ustami... nie zawahasz się.

Zrobił pauzę, a jego spojrzenie było niemal nie do zniesienia.

— Przysięgnij, że podniesiesz przeciwko mnie Andúrila. I dokończysz to, co powinno być zrobione tak dawno temu. Że skończysz ze mną, gdybym zaprzedał duszę Pierścieniowi.

Aragorn stał nieruchomo, a ciężar tej prośby przygniatał go

do ziemi. To było coś więcej niż pakt. To była klątwa. Prośba o bycie gotowym do zabicia przyjaciela, mentora, istoty, której zawdzięczał wszystko. Zrozumiał, że Gandalf, w głębi swojej nowej, przerażającej mocy, wciąż się boi. I ten strach był jedynym, co go jeszcze łączyło ze starym światem.

Położył dłoń na głowicy swojego miecza. Ostrze zdawało się zimne i ciężkie, jakby samo rozumiało wagę chwili.

— Modlę się do wszystkich sił na tym świecie, by ten dzień nigdy nie nadszedł, Mithrandirze — powiedział powoli i uroczyście.

— Ale jeśli nadejdzie..., jeśli zobaczę, że straciłeś siebie na rzecz cienia... wtedy nie zawiodę. Ani ciebie, ani Śródziemia.

Nie było więcej słów. Była tylko cicha przysięga złożona pod gwiazdami, między królem a przyjacielem. Przysięga, która na zawsze miała związać ich losy w węzeł nadziei i potencjalnej, ostatecznej tragedii.

Noc zapadła nad Minas Tirith. Miasto, zwykle tętniące życiem, pogrążyło się w spokojnej ciszy, a jedynym dźwiękiem był szum wiatru owiewającego siedem poziomów Białej Wieży. Na najwyższym tarasie, w miejscu, gdzie niegdyś stało uschnięte drzewo, a teraz rosło nowe, obsypane białym kwieciem, stały dwie postacie. Król Elessar, wsparty na kamiennej balustradzie, spoglądał na swoje królestwo. Obok niego stał jego syn, Eldarion, wysoki i dumny, z dłonią opartą na głowicy miecza.

— Ojcze, musimy porozmawiać o czarodzieju — przerwał w końcu ciszę Eldarion.

Aragorn westchnął, nie odrywając wzroku od świateł miasta w dole.

— Wiedziałem, że nadejdzie ta rozmowa. Twoje oczy patrzą zbyt bystro, by tego nie zauważyć.

— Nie trzeba bystrych oczu, by poczuć to, co on ze sobą przynosi — odparł Eldarion. — Wszyscy to poczuli. Moc, tak wielką i tak... absolutną, że powietrze staje się ciężkie. To nie była aura przyjaciela, tylko władcy.

— Ja też mam taką aurę — Aragorn zapytał uśmiechając się.

— On jest naszym przyjacielem, Eldarionie. Najstarszym i najwierniejszym. Ocalił nas wszystkich w czasach, których nie pamiętasz.

— Pamiętam opowieści — skontrował łagodnie, ale stanowczo książę. — Opowiadałeś mi o Mithrandirze, który palił fajkowe ziele i śmiał się z hobbitami. O mędrcu, którego siła leżała w jego mądrości, a nie w potędze. Ten, który przybył, nie jest istotą z twoich opowieści. On nie prosi, nie sugeruje, on jest i albo będzie tak jak on chce albo nic nie będzie. Ludzie na dziedzińcu szepczą. Mówią o nim jak o Valarze, który zstąpił na ziemię. A to jest niebezpieczne, ojcze. Dla ciebie. I dla Gondoru.

Aragorn w końcu odwrócił się i spojrzał na syna. Zobaczył w nim nie tylko swoją własną siłę, ale i nową, bezkompromisową czujność. — Nie mylisz się, synu — przyznał z ciężkim sercem. — Ten, który powrócił, nie jest tym samym, którego znałem. Nosi w sobie ciężar, którego nikt z nas nie jest w stanie pojąć. I ten ciężar go zmienił.

— Więc jest zagrożeniem — stwierdził Eldarion.

— Jest... niewiadomą — poprawił go Aragorn. — Pamiętaj, on wciąż nosi Pierścień, który zniszczył kilku bardzo niebezpiecznych wrogów. Gandalf wierzy, że nad nim panuje.

— A ty mu wierzysz?

Aragorn milczał przez chwilę. — Wierzę, że on w to wierzy. I to jest to, co przeraża mnie najbardziej.

Podszedł do syna i położył mu dłoń na ramieniu. Ich spojrzenia spotkały się, szare oczy króla, pełne wspomnień i smutku, i bystre, czujne oczy księcia, pełne troski o przyszłość.

— Zawarłem z nim pakt, Eldarionie. Podobnie jak Elrond. Obiecaliśmy mu, że będziemy jego świadkami. Ale obiecaliśmy też coś więcej. Obiecaliśmy, że będziemy jego sędziami.

Eldarion zrozumiał. Jego twarz stężała.

— Więc prosisz mnie, bym był gotów... stanąć przeciwko niemu? Przeciwko legendzie?

— Proszę cię, byś był królem, którym masz się stać — odparł Aragorn, a w jego głosie pobrzmiewał ciężar korony. — Królem, który stawia bezpieczeństwo swojego ludu ponad dawne przyjaźnie. Ja jestem związany wspomnieniami. Ty jesteś od tego wolny. Musisz patrzeć na niego nie przez pryzmat tego, kim był, ale tego, kim może się stać.

Razem, ojciec i syn, stali na szczycie Białej Wieży, a ich cienie w świetle gwiazd były długie i samotne. Długi Pokój dobiegał końca, a oni obaj wiedzieli, że największa bitwa o losy Gondoru może nie rozegrać się na polach Pelennoru, ale w ich własnych sercach. W dniu, w którym będą musieli podjąć decyzję, co zrobić z przyjacielem, który stał się zbyt potężny.

— Strzeżemy królestwa przed cieniem ze wschodu — powiedział cicho Aragorn, bardziej do siebie niż do syna. — Ale musimy też strzec go przed światłem, które może stać się zbyt jasne.

# Rozdział 6

Świat, który niegdyś znał i obawiał się imienia Saruman, dawno przestał się nim interesować. Nikt nie wychodził, ani nie wchodził do wieży. Nikt nie odważył się nawet spojrzeć na czarną wieżę Orthanku z bliska. Stała się pomnikiem zdrady, otoczonym przez czujny, wiecznie zielony las Entów, którzy byli jej strażnikami i sędziami.

Ale wewnątrz wieży, życiem a raczej jego pozór, wciąż trwało. Saruman nie opuszczał komnaty na najwyższym piętrze. Nie musiał. Czas stracił dla niego znaczenie. Nie jadł, nie spał w tradycyjnym sensie. Jego ciało, choć stare i wychudzone, było podtrzymywane przez resztki jego dawnej mocy i przez wolę tak upartą, że nie pozwalała mu umrzeć. Był jak starożytny lichwiarz, który przegrał wszystko, ale wciąż kurczowo trzyma się ostatniej, bezwartościowej monety, swojego istnienia.

Coś jednak się w nim zmieniło. Porażka, upokorzenie i sto lat absolutnej samotności zmyły z niego powierzchowną arogancję. Zamiast niej pojawiła się nowa, zimna klarowność. Zredukowany do czystej świadomości, uwięziony w kamiennym grobowcu, istniał jak upiór, który miał nieskończenie wiele czasu na myślenie.

Nie rozmawiał już z palantírem. Kamień leżał w kącie, czarny i milczący. Saruman odłożył go nie jako gest pogardy, ale jako dowód, że zrozumiał swój błąd. Zbyt długo patrzył w dal, próbując odgadnąć przyszłość, a nie dostrzegł zagrożenia tuż pod wła-

snym nosem. Zamiast patrzeć, zaczął słuchać. Słuchał szeptów wiatru owiewającego wieżę. Słuchał powolnych, dudniących pieśni Entów na zewnątrz. Słuchał echa, które niosło się przez kamień, echa odległych bitew, narodzin i śmierci. I w tym wszystkim, czuł, subtelne zmiany w magicznej tkance świata. Poczuł powrót Gandalfa na długo, zanim wieść o tym dotarła do jakiegokolwiek królestwa.

I czekał. Nie miał już armii, służących, uczniów, nie miał już nawet nadziei na zwycięstwo. Ale miał wiedzę. I miał coś, czego nie miał nikt inny w Śródziemiu, znał zarówno logikę Saurona, jak i serce Gandalfa. Rozumiał ich obu. Wiedział, że pewnego dnia jeden z nich, a może obaj, znów sobie o nim przypomni. Wiedział, że gra jeszcze się nie skończyła. I wiedział, że on, Saruman, wciąż ma do odegrania jakąś ostatnią rolę.

Dlatego przygotowywał się. Nie kuł broni. Nie tworzył zaklęć. Przygotowywał swój umysł. Odtwarzał w myślach tysiące rozmów, analizował każdy możliwy scenariusz. Wiedział, że Gandalf w końcu do niego przyjdzie. Nie z nienawiści ani z zemsty. Ale dlatego, że będzie go potrzebował. Bo nadejdzie dzień, gdy nikt nie zrozumie jego lęków, gdy nikt nie będzie potrafił spojrzeć mu w oczy. I wtedy Saruman, upadły mędrzec, zdradzony zdrajca, odegra swoją ostatnią kartę. Nie jako wojownik. Nie jako sługa. Ale jako jedyny, który znał smak pychy, i wie jak się nią oddycha. Czekał na swoje ostatnie spotkanie, gotów, by stać się albo ostatecznym ostrzeżeniem, albo ostateczną bronią.

Pewnej nocy, gdy Entowie na zewnątrz śpiewali swoje powolne, żałobne pieśni, stało się to, na co Saruman czekał. Palantír, który przez sto lat leżał w kącie, martwy i zimny, nagle zamigotał. Był to słaby, krwistoczerwony blask, jak ostatni żar w wygasłym ognisku. Saruman, który medytował w centrum komnaty, otworzył oczy. Jego serce, które od dawna biło powolnym, miarowym rytmem, na moment przyspieszyło.

Powoli, z godnością starca, który nie ma już nic do stracenia, wstał i podszedł do kamienia. Nie dotknął go. Po prostu stał i patrzył, jak w jego czarnych głębinach formuje się znajomy, przerażający wir.

Głos, który odezwał się w jego umyśle, nie był już brutalnym rykiem ani lodowatą presją, którą pamiętał. Był cichy, niemal konspiracyjny. Jak głos starego wspólnika, który przychodzi po latach z nowym, ryzykownym interesem.

— Curunírze.

Saruman nie odpowiedział. Czekał.

— Minęło wiele lat — kontynuował głos Saurona. — Zamknięto cię w tej wieży, byś zgnił i został zapomniany. Świat odwrócił się od ciebie. Ale ja... ja o tobie nie zapomniałem.

— Czego chcesz? — zapytał Saruman, a jego własny głos był szorstki od nieużywania.

W palantírze pojawił się na moment obraz, biała postać Gandalfa, emanująca światłem, przemawiająca do królów i tłumów.

— Nasz wspólny przyjaciel powrócił — powiedział Sauron. —

Jest teraz potężny, zbyt potężny. Jest, jak owoc dojrzały do zerwania. Jego obrona jest doskonała, bo wierzy w swoją prawość. Nie można pokonać go siłą.

— Więc chcesz, żebym ja to zrobił? — zapytał Saruman, a w jego głosie pobrzmiewała nuta gorzkiej ironii. — Ja, więzień w tej wieży? Czym mam z nim walczyć? Wspomnieniami?

— Właśnie tak — odparł Sauron, a Saruman poczuł, że jego plan jest znacznie bardziej subtelny, niż się spodziewał. — Ty nie masz z nim walczyć. Ty masz z nim rozmawiać. Staniesz się jego lustrem. Jesteś tym, kim on mógłby się stać. On w końcu do ciebie przyjdzie, to nieuchronne. Będzie szukał kogoś, kto zrozumie jego ciężar.

Saruman zaczął rozumieć. To nie miała być misja bojowa. To miała być operacja psychologiczna.

— I co mam zrobić, gdy przyjdzie? Mam go przekonać, by ci służył?

— Nie, głupcze! — Głos na moment stracił panowanie. — On nigdy nie będzie mi służył. Ale ty... ty możesz złamać jego wiarę w samego siebie. Możesz zasiać w nim ziarno ostatecznej wątpliwości. Musisz pokazać mu, że jego droga prowadzi dokładnie tam, gdzie zaprowadziła twoja. Musisz sprawić, by spojrzał na ciebie i zobaczył w tobie swoją własną przyszłość. Musisz stać się jego osobistym piekłem.

— A co ja będę z tego miał? — zapytał Saruman, a w jego sercu po raz pierwszy od stu lat zapłonęła iskierka dawnej chytrości. — Wolność? Armie? Miejsce u twego boku?

W palantírze zatańczył cień. — Będziesz miał swoją zemstę, Curunírze — wyszeptał Sauron. — Zemstę na tym, który zawsze

był od ciebie lepszy, bardziej kochany i szanowany. Dasz mu lekcję pychy, której nigdy nie zapomni. Złamiesz go od środka. A gdy jego duch pęknie... ja zajmę się resztą.

Saruman milczał, propozycja była diaboliczna. I kusząca. Nie oferowała mu władzy, ale coś znacznie słodszego dla jego zranionej dumy. Oferowała mu szansę, by pociągnąć swojego największego rywala za sobą, na samo dno.

— Gandalf nie zginie od miecza ani ognia — dodał Sauron. — On może zginąć tylko od prawdy. A ty, mój dawny sługo, jesteś jedynym, który może mu tę prawdę pokazać. Stań się jego spowiednikiem. A ja dam ci rozgrzeszenie...

Głos zamilkł, a czerwień w palantírze zgasła. Saruman został sam ze straszliwą propozycją, która była jednocześnie jego największym upokorzeniem i być może... ostatnią szansą na odegranie znaczącej roli w losach tego świata.

Propozycja była jasna. Miał stać się psychologiczną bronią, narzędziem tortury, które miało złamać ducha Gandalfa. Miał być lustrem, w którym jego dawny przyjaciel zobaczy swoje własne, potworne odbicie.

Był na skraju. Sto lat samotności, porażka i upokorzenia niemal go zniszczyły. Jego ciało było słabe, a jego moc była tylko cieniem dawnej potęgi. Czuł się jak wyschnięte, puste naczynie. Służba Sauronowi przyniosła mu tylko ruinę. Logika podpowiadała mu, by odrzucić tę propozycję, by pogrążyć się w ostatecznej apatii i czekać na śmierć.

Wtedy, w najgłębszych zakamarkach jego istoty, tam, gdzie nie sięgała rozpacz ani rezygnacja, coś się poruszyło. Tlący się, uparty żar, iskra jego dawnej, ogromnej pychy. Gandalf... Samo to imię wystarczyło, wspomnienie jego twarzy, jego irytującej pokory, jego mądrości, która zawsze okazywała się skuteczniejsza od jego własnej, starannie zaplanowanej logiki. Wspomnienie tego, jak elfy i ludzie zawsze słuchali Gandalfa, podczas gdy jego traktowali z rezerwą.

Nienawiść, którą Saruman czuł do Gandalfa, była inna niż ta, którą żywił do reszty świata. Była osobista. Była to nienawiść zazdrosnego ucznia do ulubieńca mistrza, nienawiść architekta doskonałego systemu do chaotycznego improwizatora, któremu wszystko się udawało. Sauron to wiedział. I uderzył w najczulszy punkt. Zemsta. To słowo rezonowało w duszy Sarumana. Co mu pozostało? Nie miał już szans na władzę. Nie miał szans na odbudowę swojej potęgi. Świat go zapomniał, przeklął, był niepotrzebny. Ale zemsta... zemsta była czymś, co wciąż mógł osiągnąć. Szansa, by spojrzeć Gandalfowi w oczy i zobaczyć w nich to samo pęknięcie, tę samą rozpacz, którą on sam czuł od stu lat. Szansa, by udowodnić, że wcale się tak nie różnią.

Saruman wyprostował się. Jego oczy, które przez lata były matowe i puste, nagle zapłonęły zimnym, białym ogniem. To już nie był złamany starzec, był Curunírem, najpotężniejszy z Majarów wysłanych do Śródziemia, który przypomniał sobie, kim jest. Nie obchodziło go, co stanie się potem. Nie dbał o plany Saurona. Nie interesował go los Pierścienia. Interesował go tylko ten jeden, przyszły moment. Moment konfrontacji. Moment, w którym on, Saruman, odegra swoją ostatnią, najważniejszą rolę.

Iskra dawnej pychy, która w nim przetrwała, rozniecił w nim nowy ogień. Ogień zimnej i wyrachowanej determinacji. Nie zamierzał być już tylko pionkiem Saurona. Postanowił zagrać w jego grę, ale na własnych warunkach. I dla własnej, ostatecznej satysfakcji. Wiedział, że ta rola go zniszczy. Jeśli przy okazji zniszczy też nieskazitelny wizerunek Gandalfa, to była cena, którą był gotów zapłacić.

Płomień, który zapłonął w duszy Sarumana, nie był ciepły. Była to czysta, skrystalizowana wola, pozbawiona iluzji i nadziei. Przez sto lat był więźniem. Teraz, paradoksalnie, propozycja Saurona dała mu nowy rodzaj wolności. Wolność odgrywania ostatniej roli, którą sam sobie napisze.

Podszedł do starego, pękniętego lustra wiszącego na ścianie. Spojrzał na swoje odbicie. Zobaczył ruinę. Ale zobaczył też potencjał. Potencjał, by stać się tym, czego Gandalf będzie potrzebował i czego będzie się najbardziej obawiał.

Zaczął się przygotowywać, psychicznie. Pielęgnował w sobie esencję swojej porażki. Analizował każdy swój błąd i kłamstwo, które doprowadziło go do upadku. Nie po to, by żałować, ale by je zrozumieć i móc je odtworzyć.

Zebrał się w sobie po raz ostatni, postanowił odegrać rolę, którą podsunął mu Sauron, ale zamierzał nadać jej własny szlif. Gdy Gandalf w końcu do niego przyjdzie, nie spotka szaleńca rzucającego klątwy z balkonu. Spotka spokojnego mędrca, który pogodził się ze swoim losem. Spotka filozofa, który z uśmiechem politowa-

nia wyjaśni mu logikę jego własnego, nieuchronnego upadku. Nie będzie w nim nienawiści. Będzie tylko smutne, ojcowskie zrozumienie.

— Widzisz, mój drogi Gandalfie, — ćwiczył w myślach słowa, które zamierzał wypowiedzieć, dopracowując każdą nutę i każdą pauzę. — Patrzysz na mnie z pogardą, bo widzisz zdrajcę. Ale ja nie zdradziłem dla złota ani obietnic Mrocznego Pana. Zdradziłem dla idei, tej samej, której ty teraz służysz.

To będzie jego otwarcie, nie kłamstwo, ale wypaczona prawda.

— Ty masz Pierścień. Ja miałem palantír i własny umysł. Ale cel był ten sam. Zobaczyłem chaos świata, jego bezsensowną przemoc, głupotę śmiertelników. I zapragnąłem to naprawić. Zapragnąłem porządku, świata rządzonego przez rozum, a nie przez przypadek. Czy to brzmi znajomo, Gandalfie?

Teraz pauza, to pozwoli, by te słowa zapadły głęboko.

— Ty wierzysz, że możesz używać jego mocy dla wyższego dobra. Ja wierzyłem, że mogę używać wiedzy zdobytej od niego dla wyższego dobra. Myślisz, że jesteś panem narzędzia. Ja myślałem, że jestem panem informacji. Ale obaj się myliliśmy. Bo narzędzie zawsze kształtuje rękę, która je trzyma. Twoja droga nie jest nowa. Jest tylko powtórzeniem mojej, ale na znacznie większą skalę.

To będzie jego ostrze, nie ze stali, ale z analogii. Prawdy tak zatrutej i tak precyzyjnie wymierzonej, że przebije pancerz Gandalfa i zatruje jego duszę wątpliwością, której nigdy się nie pozbędzie. Czy pomoże w ten sposób Sauronowi? Być może. Czy zniszczy Gandalfa? Na tym mu zależało. A co stanie się z nim samym? To już nie miało znaczenia.

Pożegnał się z Aragornem, a ich pożegnanie było pełne niewypowiedzianych słów i wzajemnego szacunku, zabarwionego lękiem. Po opuszczeniu Gondoru, Gandalf nie skierował się na wschód, ku swojemu przeznaczeniu. Czuł, że jest jeszcze jedna, niedomknięta sprawa. Jedno spotkanie, którego unikał przez sto lat, ale które teraz, w tych okolicznościach, wydawało mu się konieczne. Musiał stanąć twarzą w twarz z Sarumanem. Jego motywacje były złożone. Częściowo była to potrzeba zamknięcia starego rozdziału i konfrontacji ze zdrajcą. Ale było w tym coś jeszcze. Była to ciekawość, chciał zobaczyć, jak nisko upadł jego dawny przełożony. Chciał stanąć przed nim jako ten, który zwyciężył i opanował moc.

Gdy dotarł na miejsce, widok był uderzający. Młody las rósł wokół czarnej wieży, wody Iseny płynęły czyste i spokojne. Wokół Orthanku, niczym żywy, czujny mur, stali Entowie. Gdy Gandalf się zbliżył, sam Drzewiec wyszedł mu na spotkanie. Stary Ent spojrzał na niego swoimi głębokimi, mądrymi oczyma.

— Hum, hum... — zadudnił. — A więc to ty, młody mistrzu Gandalfie. Ale jesteś inny. Jaśniejszy i głośniejszy w ciszy.

— I ja się cieszę, że cię widzę. — odparł Gandalf. — Widzę, że dobrze strzeżecie waszego więźnia.

— Strzeżemy — potwierdził Drzewiec. — Czasem krzyczy, czasem milczy. Ale nigdy nie wychodzi. Czego tu szukasz, biały czarodzieju?

— Chcę z nim porozmawiać — powiedział Gandalf. — Sam na sam.

Drzewiec wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. — To nie jest mądre. Jego głos wciąż ma w sobie jad. Ale twoja wola jest te-

raz silna. Zbyt silna. Rób, co uważasz za słuszne. Droga jest wolna.

Entowie rozstąpili się, Gandalf zsiadł z konia i podszedł do czarnej, niezdobytej wieży. Nie wiedział, czego się spodziewać. Krzyków? Może gróźb? A może nawet ataku z resztek mocy, jakie pozostały Sarumanowi? Był gotów na wszystko. Był gotów nawet na konfrontację siłową, by ostatecznie udowodnić swoją dominację. Uniósł laskę i uderzył nią trzykrotnie w kamienne wrota. Dźwięk niósł się echem po całej dolinie.

— Sarumanie! — zawołał, a jego głos, wzmocniony mocą, był jak dźwięk rogu. — Wpuść mnie, przybyłem porozmawiać!

Czekał. Cisza była długa i ciężka. A potem, z głuchym zgrzytem, ciężkie wrota Orthanku, które były zamknięte przez sto lat, zaczęły się otwierać.

Gandalf wszedł do środka, a ciężkie wrota zamknęły się za nim z głuchym hukiem, odcinając go od świata zewnętrznego. Wnętrze Orthanku było zimne i puste. Kurz pokrywał wszystko grubą warstwą, a powietrze było stęchłe i nieruchome. Na szczycie długich, krętych schodów, czekał na niego Saruman.

Gandalf spodziewał się zobaczyć złamanego szaleńca lub pełnego nienawiści upiora. Zamiast tego, zobaczył coś znacznie bardziej niepokojącego. Saruman siedział w prostym, drewnianym krześle, ubrany w wyblakłe, ale czyste białe szaty. Był wychudzony, a jego twarz była jak maska śmierci, ale jego postawa była spokojna, niemal pogodna. W jego oczach, które podniósł na Gandalfa, nie było gniewu, ani strachu. Było tylko zmęczone, wszech-

wiedzące zrozumienie.

— Witaj, Mithrandirze — powiedział cicho, a jego słynny, melodyjny głos, choć słabszy, wciąż miał w sobie dawną, hipnotyczną moc. — A więc w końcu przyszedłeś. Czekałem na ciebie.

Gandalf zatrzymał się, zaskoczony tym powitaniem. Aura mocy, którą emanował, zdawała się nie robić na Sarumanie żadnego wrażenia.

— Przyszedłem zobaczyć, czym się stałeś. — odparł Gandalf, a jego głos był twardy.

Saruman uśmiechnął się lekko, a był to uśmiech pełen smutku i politowania. — Czym się stałem? Stałem się przyszłością, mój drogi przyjacielu. Twoją przyszłością. Ale widzę, że jeszcze tego nie rozumiesz.

Nie dochodziło do walki. Nie padły żadne zaklęcia. Saruman nie próbował się bronić ani atakować. Zamiast tego, stał się lustrem. Każde jego słowo, każdy gest, było idealnie skalibrowane, by odbić w nim własne lęki i pychę Gandalfa.

— Widzę go na twoim palcu — powiedział Saruman, a jego wzrok spoczął na Pierścieniu. — I widzę, że wierzysz, iż go kontrolujesz. To pierwszy i najsłodszy z jego szeptów. Mówi ci, że jesteś inny, prawda? Że twoja wola jest czystsza, a twoje cele szlachetniejsze?

Gandalf milczał, czując, jak jego pewność siebie zaczyna pękać.

— Ja nie służę cieniowi — powiedział w końcu.

— Oczywiście, że nie — przyznał spokojnie Saruman. — Służysz światłu. Porządkowi i dobru. Chcesz leczyć, budować a nawet chronić. Chcesz stworzyć świat bez bólu i chaosu. Dokładnie

tak, jak ja chciałem. Czy myślisz, że od początku pragnąłem kuźni i armii orków? Nie. Pragnąłem wiedzy i porządku. Pragnąłem świata idealnego.

Wstał i podszedł do okna, z którego widać było odrodzony las Entów. — Patrzysz na mnie z pogardą, bo przegrałem. Ale przegrałem tylko dlatego, że byłem niecierpliwy. Ty jesteś cierpliwszy. Mądrzejszy. Twoja tyrania będzie znacznie przyjemniejsza. Nie będziesz budował armii. Będziesz zdobywał serca. Ludzie i elfy nie będą ci służyć ze strachu. Będą ci służyć z miłości i wdzięczności.

Gandalf poczuł, jak zimny pot spływa mu po plecach. Słowa Sarumana były jak trucizna, ale była to trucizna prawdy. Każde jego zdanie było echem jego własnych, ukrytych myśli z Cuiviénen.

— Nie jesteś mną — syknął Gandalf, a w jego głosie pojawiła się nuta desperacji.

— Jeszcze nie — odparł łagodnie Saruman. — Ale podążasz moją ścieżką. Popatrz na siebie, Gandalfie. Twoja moc i pewność siebie, wiara w słuszność własnej sprawy. To wszystko jest moje. Nie muszę być lustrem, jesteś o sto lat za mną, ale twój cel jest ten sam.

Odwrócił się od okna i spojrzał Gandalfowi prosto w oczy. W jego spojrzeniu nie było już triumfu. Była tylko bezdenna, wspólna rozpacz.

— Pytanie nie brzmi, czy upadniesz. Pytanie brzmi, czy gdy już upadniesz, będziesz miał tyle szczęścia co ja, by mieć kogoś, kto cię zatrzyma i zamknie w wieży. A może nie będzie nikogo, kto mógłby cię powstrzymać?

Gandalf stał w milczeniu, a jego nowa, potężna aura zdawała się kurczyć. Poczuł wątpliwości i strach.

Spotkanie z Sarumanem wstrząsnęło nim do głębi. Spodziewał się krzyków i gróźb, może nawet walki. Był na to gotów, jego moc, wzmocniona przez Pierścień, była jak napięty łuk, czekający na cel. Ale Saruman nie dał mu tego celu. Zamiast tego, ofiarował mu coś znacznie gorszego, zrozumienie.

Jadąc przez zielone równiny Rohanu, Gandalf nie mógł otrząsnąć się z jego słów. Odbijały się echem w jego umyśle, zatruwając jego myśli. Jesteś o sto lat za mną, a twój cel jest ten sam.

Czy to prawda? Czy jego pragnienie porządku, jego plany stworzenia idealnego, bezpiecznego świata, były tylko powtórzeniem pychy Sarumana, ubranym w szlachetniejsze szaty? Czy jego kontrola nad Pierścieniem była iluzją, tak jak on sam sugerował?

Zaczął analizować swoje własne działania z ostatnich stu lat. Jego rajski ogród w Cuiviénen, pogarda dla strachu i słabości. Rosnąca irytacja na chaos i niedoskonałość świata. Jego pewność, że tylko on zna właściwą drogę. Wszystko to, co uważał za oznaki swojej nowej siły i mądrości, teraz, w świetle słów Sarumana, wyglądało jak objawy tej samej choroby, która zniszczyła Białego Czarodzieja.

Spotkanie głęboko go zaniepokoiło, ponieważ Saruman nie był szaleńcem. Był trzeźwy, logiczny i przerażająco przenikliwy. I co najgorsze, nie okazał ani krzty nienawiści. Okazał litość mentora dla ucznia, który popełnia te same, przewidywalne błędy. A ta li-

tość była bardziej upokarzająca niż jakikolwiek cios.

Gandalf poczuł, jak pancerz jego pewności siebie, który tak starannie budował przez stulecie, zaczyna pękać. Poczuł wątpliwość, nie w swoją moc, ale w swoją słuszność. Spojrzał na Pierścień na swoim palcu, złoty krążek lśnił niewinnie w słońcu. Ale teraz, po rozmowie z Sarumanem, jego spokój nie wydawał się już oznaką posłuszeństwa. Wydawał się oznaką cierpliwości drapieżnika, który wie, że jego ofiara właśnie weszła w ostatni etap pułapki, etap w którym zaczyna rozumieć, że jest w pułapce, ale nie ma już z niej wyjścia.

Saruman nie był już wrogiem, którego można było pokonać i zapomnieć. Stał się ostrzeżeniem. Żywym, oddychającym dowodem na to, dokąd prowadzi droga Gandalfa. I ten obraz, obraz jego samego za sto lat, zamkniętego w wieży własnej pychy, miał go odtąd prześladować na każdym kroku. Ziarno wątpliwości zostało zasiane. A Gandalf, po raz pierwszy od bardzo dawna, nie wiedział, co robić dalej.

# Rozdział 7

Gdy kroki Gandalfa ucichły w oddali, a ciężkie wrota Orthanku znów zamknęły się z ostatecznym hukiem, Saruman przez długi czas stał nieruchomo pośrodku swojej komnaty. Maska spokojnego mędrca opadła z jego twarzy, odsłaniając głębokie, bezdenne zmęczenie.

Odegrał swoją rolę. Zasiał ziarno wątpliwości w duszy Gandalfa, tak jak obiecał Sauronowi. Poczuł krótką, gorzką satysfakcję, widząc pęknięcie w tej niezachwianej, białej fasadzie swojego dawnego przyjaciela. Ale gdy emocje opadły, pozostała tylko zimna, twarda prawda o jego własnej sytuacji.

Zrozumiał to teraz z bolesną klarownością, był tylko pionkiem. Przez całe życie uważał się za rozgrywającego. Najpierw jako głowa Białej Rady, próbujący przechytrzyć zarówno Saurona, jak i Gandalfa. Potem jako sojusznik Mordoru, wierzący, że może wykorzystać potęgę Czarnego Pana do własnych celów. Ale teraz, po stu latach samotności i po tej jednej, krótkiej rozmowie, iluzje prysły.

Sauron traktował go jak narzędzie, które wyciąga się z zakurzonej skrzyni, gdy jest potrzebne. Użył go teraz jako psychologicznego ostrza, by zranić Gandalfa. A co potem? Gdy Gandalf upadnie lub gdy przestanie być potrzebny, Sauron bez wahania odrzuci go z powrotem do tej kamiennej wieży, by zgnił w zapomnieniu. A je-

śli Sauron przegra? Zwycięski Zachód nigdy mu nie przebaczy. Będzie symbolem zdrady na wieki. Jego sytuacja była trudna. Był uwięziony między dwiema potęgami, z których żadna nie życzyła mu dobrze. Był pionkiem na wielkiej szachownicy, a pionki, niezależnie od tego, jak ważną rolę odegrają w grze, na końcu i tak są zdejmowane z planszy.

Usiadł ciężko w swoim prostym krześle i spojrzał na palantír, który wciąż leżał w kącie. Nie musiał w niego patrzeć, by czuć odległą, drwiącą obecność Saurona. Wiedział, że nie może nic na to poradzić. Nie miał siły, by przeciwstawić się woli Saurona. Nie miał, dokąd uciec. Nie miał sojuszników, którym mógłby zaufać.

Był sam, pokonany, co najgorsze, użyteczny dla swojego największego wroga. Ta świadomość była cięższa niż kamienne mury Orthanku. Zrozumiał, że jego pycha, jego dążenie do wiedzy i władzy, zaprowadziły go do ostatecznego więzienia, celi zbudowanej z jego własnej bezsilności.

Saruman podszedł do okna, spoglądając na spokojny las, który stał się jego więzieniem, widział Entów, poruszających się powoli. Byli cichymi, nieprzekupnymi strażnikami. Ich obecność była stałym przypomnieniem, że droga na zachód, droga do przebaczenia, jest dla niego na zawsze zamknięta.

Nawet gdyby jakimś cudem udało mu się uciec z Orthanku, dokąd by poszedł? Do Lórien, gdzie spojrzenie Galadrieli przeniknęłoby jego duszę i obnażyło każdą resztkę fałszu? Do Rivendell, by błagać o litość Elronda, którego mądrość zdradził? Do Minas

Tirith, gdzie król Elessar, którego niegdyś lekceważył jako zwykłego strażnika, wymierzyłby mu sprawiedliwość?

Nie, powrót w łaski Zachodu był niemożliwy. Nikt mu już nigdy nie zaufa. Jego imię, Saruman, stało się synonimem zdrady, na zawsze. Z drugiej strony był Sauron. Jeszcze tej samej nocy palantír znów zamigotał. Tym razem Saruman nie czekał. Podszedł i spojrzał w jego czarne głębiny. Głos, który usłyszał w umyśle, był pełen fałszywej, niemal przyjacielskiej serdeczności.

— Dobra robota, Curunírze.

Saruman wzdrygnął się. Sauron w wyrafinowany, okrutny sposób używał jego dawnego, valinorskiego imienia. To nie było już tylko przypomnienie o jego pochodzeniu, jak kiedyś. Teraz było to narzędzie manipulacji. Używając tego imienia, Sauron tworzył iluzję dawnego partnerstwa, jakby zwracał się do równego sobie Majara, a nie do upadłego sługi. Było to przypomnienie o nich istotach wyższych, przeciwko im, mniejszym, śmiertelnym mieszkańcom Śródziemia.

— Czułem jego wahanie — kontynuował gładko głos Saurona. — Twój jad wniknął głęboko. Ziarno, które zasiałeś, wkrótce wyda owoc. Bądź gotów, mój stary przyjacielu. Nasz wspólny projekt zbliża się do końca.

Nasz wspólny projekt. Mój stary przyjacielu. Każde z tych słów było jak kropla trucizny, która wiązała go jeszcze mocniej z wolą Mordoru. Saruman zrozumiał, że Sauron nie tylko go używa, ale i bawi się nim. Upaja się swoją dominacją, swoją zdolnością do manipulowania nawet najmądrzejszym z Istari.

Stał między młotem a kowadłem. Z jednej strony świat, który go nienawidził i nigdy mu nie przebaczy. Z drugiej strony Mrocz-

ny Pan, który pogardzał nim i traktował go jak zabawkę, użyteczną, ale przeznaczoną do wyrzucenia. Był w pułapce bez wyjścia. Nie mógł iść ani w stronę światła, ani w głąb mroku. Pozostał mu tylko jeden kierunek, w którym mógł się poruszyć.

W bok. W jego umyśle, który przez sto lat analizował każdą możliwość, narodził się nowy, desperacki plan. Plan, który nie miał mu przynieść ani zwycięstwa, ani odkupienia. Plan, którego jedynym celem było wprowadzenie chaosu. Zamieszanie na szachownicy tak, by nikt, ani Gandalf, ani Sauron, nie mógł przewidzieć następnego ruchu.

Jeśli miał być pionkiem, czemu nie miałby zostać najbardziej nieprzewidywalnym, najbardziej niebezpiecznym pionkiem w całej tej grze. Pionkiem, który w ostatniej chwili może wywrócić całą planszę. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Skoro nie mógł wygrać gry, postanowił ją zepsuć. Zrozumiał, że jego jedyną, prawdziwą siłą nie jest już magia ani wiedza, ale informacja. Był jedyną istotą, która miała wgląd w plany obu stron. Znał lęki Gandalfa, bo były one odbiciem jego własnych. I znał cele Saurona, bo ten, w swojej pysze, mu je zdradził.

W tej wiedzy kryła się jego ostatnia karta. Postanowił rozpocząć podwójną, a właściwie potrójną grę, w której jedynym wygranym miał być on sam, a jego zwycięstwem nie miała być władza, lecz przetrwanie i satysfakcja z zasiania zamętu.

Jego plan był prosty w swojej zuchwałości, będzie grał rolę, której oczekiwali od niego wszyscy, a jednocześnie, w tajemnicy, będzie sabotował ich plany.

Dla Saurona pozostanie posłusznym narzędziem. Będzie z nim rozmawiał przez palantír, zdawał raporty o stanie Zachodu, karmił

jego pychę i utwierdzał go w przekonaniu, że plan psychologicznego zniszczenia Gandalfa działa. Będzie jego najwierniejszym, uwięzionym sługą. Dla Gandalfa, gdy ten znów przyjdzie, będzie wciąż tym samym lustrem. Będzie odgrywał rolę złamanego mędrca, cynicznego proroka jego upadku, by podtrzymać iluzję, że jest przewidywalny i nieszkodliwy.

Ale dla trzeciej strony, dla tej, która najmniej się tego spodziewała, dla elfów z Lórien i Rivendell, postanowił stać się anonimowym źródłem informacji. Cichym szeptem w ciemności. Wiedział, że nie może skontaktować się z nimi bezpośrednio. Jego imię było na czarnej liście. Ale przez sto lat studiował nie tylko wielką magię, ale i jej subtelne, zapomniane ścieżki. Znał sposoby na przesyłanie wiadomości, które nie nosiły piętna nadawcy. Znał tajne kanały, o których istnieniu nie wiedział nawet Elrond.

Rozpoczynał swoją podwójną grę. A jego celem nie było już zwycięstwo którejkolwiek ze stron. Jego celem było utrzymanie równowagi strachu. Chciał, by Gandalf bał się siebie. Chciał, by Sauron był zbyt pewny siebie. I chciał, by elfy, otrzymywały strzępy informacji, które pozwolą im przygotować się na zagrożenie, którego w pełni nie rozumiały.

Saruman, zdrajca, stał się agentem chaosu, którego jedyną lojalnością była jego własna, zraniona duma. Wiedział, że to śmiertelnie niebezpieczna gra. Jeden fałszywy ruch, a zostanie zmiażdżony. Ale po stu latach nudy i apatii, po raz pierwszy poczuł dreszcz emocji i ryzyka.

Gdy świt zabarwił niebo nad górami, decyzja Sarumana stwardniała w niewzruszone postanowienie. Nie będzie biernym narzędziem w rękach Saurona. Plan sabotażu nie mógł opierać się na sile. Musiał opierać się na tym, co mu pozostało, na intelekcie, wiedzy o przeciwniku i zdolności do manipulacji. Postanowił sabotować plany Saurona na dwóch głównych frontach.

Pierwszy front, dezinformacja. Sauron oczekiwał od niego raportów. Oczekiwał, że palantír będzie jego oknem na świat Zachodu. Saruman postanowił zamienić to okno w krzywe zwierciadło. Zaczął przygotowywać starannie spreparowane raporty. Będzie mówił Sauronowi o rzekomych podziałach między Rohanem a Gondorem, o nieufności elfów wobec króla Elessara, o słabnącym morale wojsk. Będzie karmił go informacjami, które Sauron chciał usłyszeć, informacjami, które potwierdzały jego pogardę dla siły i jedności Wolnych Ludów.

Jednocześnie, będzie wyolbrzymiał potęgę i pewność siebie Gandalfa. Będzie opisywał go jako istotę niemal boską, która w pełni panuje nad Pierścieniem i zyskuje coraz więcej zwolenników. Chciał, by Sauron, w swojej pysze, zlekceważył siłę swoich wrogów, a jednocześnie czuł coraz większą, irracjonalną zazdrość i obsesję na punkcie Gandalfa. Chciał, by uwaga Mrocznego Pana była skupiona na psychologicznej grze z czarodziejem, podczas gdy prawdziwe zagrożenie, zjednoczone królestwa ludzi, będzie rosło w siłę.

Drugi front, subtelne przeciwdziałanie. To była trudniejsza część planu. Saruman wiedział, że Sauron często używa mniej-

szej, rozproszonej magii, zaklęć strachu rzucanych na odległość, szeptów, które zatruwają sny wodzów, plag, które nękają zbiory. Saruman, jako Majar o ogromnej wiedzy, potrafił wyczuć te subtelne prądy w magicznej tkance świata.

Nie mógł ich całkowicie zablokować, to zwróciłoby uwagę Saurona. Ale mógł je zakłócać. W swojej pracowni i zaczął pracę nad skomplikowanymi, defensywnymi matrycami runicznymi. Były to kontr-zaklęcia, działające na zasadzie rezonansu. Było to jak bycie niewidzialnym lekarzem, który potajemnie podaje pacjentowi antidotum, nie pozwalając, by truciciel dowiedział się, że jego trucizna nie działa tak, jak powinna. Była to praca wyczerpująca i niezwykle ryzykowna. Wymagała od niego całej jego wiedzy i koncentracji.

Saruman wiedział, że stąpa po cienkiej linie. Jeden błąd, jedno zbyt oczywiste działanie, a gniew Saurona spadłby na niego z całą mocą. Ale po raz pierwszy od stu lat czuł, że jego wiedza i umiejętności znów mają cel. Nie walczył już o władzę. Walczył o chaos, o wprowadzenie do doskonałego, mrocznego planu Saurona elementu nieprzewidywalności. A w tej cichej, samotnej walce wewnątrz kamiennej wieży odnalazł ostatni, gorzki smak swojego dawnego ja, przebiegłego rzemieślnika, który ponad wszystko kocha skomplikowane mechanizmy i misterne intrygi.

Sabotowanie planów Saurona poprzez dezinformację i magiczne przeciwdziałanie było pierwszym krokiem. Ale Saruman wiedział, że to za mało. By naprawdę zamieszać w grze, musiał

wprowadzić na planszę nowego, świadomego gracza. Musiał ostrzec Zachód, nie zdradzając przy tym siebie.

Jego wybór był oczywisty. Nie Elrond, który był zbyt prawy i mógłby odrzucić anonimową wiadomość jako pułapkę. Nie Aragorn, którego umysł był umysłem króla i wojownika, a nie analityka subtelnej magii. Musiała to być ona, Galadriela.

Pani Złotego Lasu. Nosiła jeden z Trzech Pierścieni. Jej mądrość była głęboka, a jej zdolność do postrzegania ukrytych prawd legendarna. A co najważniejsze, wiedział, że jej nieufność wobec Gandalfa, nawet jeśli ukryta, musiała być największa. Ona, podobnie jak on, rozumiała naturę pychy.

Ale jak się z nią skontaktować? Każda magiczna wiadomość mogła zostać przechwycona przez Saurona. Każdy posłaniec zostałby zatrzymany przez Entów. Musiał użyć metody starej, zapomnianej i tak subtelnej, że umknęłaby uwadze wszystkich.

W najgłębszych lochach Orthanku, w miejscu, gdzie przechowywał swoje najrzadsze i najniebezpieczniejsze artefakty, odnalazł to, czego szukał. Była to mała, hebanowa szkatułka, a w jej wnętrzu, na aksamitnej poduszce, spoczywał gładki, mlecznobiały kryształ. Kryształ Rozpoznania. Nie było to potężne narzędzie jak palantír. Nie pokazywał przyszłości ani odległych krain. Miał jedną, specyficzną właściwość, osoba, która go dotknęła, przez krótką chwilę mogła poczuć intencję i emocje tego, kto trzymał go jako ostatni. Był to artefakt empatii, a nie wizji.

Saruman wziął kryształ w swoje wychudzone dłonie. Zamknął oczy i skupił się. Nie myślał o planach, strategiach ani kłamstwach. Skupił się na jednej, czystej, prawdziwej emocji, która wciąż w nim tkwiła, na żalu. Nie za zdradę, ale na żalu za utraconą mądrość,

za drogę, którą mógł obrać, a której nie obrał. Skupił w krysztale całą gorycz swojej porażki i pychy, która do niej doprowadziła.

A potem, na jego gładkiej powierzchni, wyrył, używając starożytnych run, jedno, krótkie zdanie:

Nie każda duma rodzi zdradę.

Była to wiadomość o podwójnym znaczeniu. Była ostrzeżeniem przed pychą Gandalfa, ale jednocześnie sugestią, że jego własna, zraniona duma, może teraz posłużyć innej sprawie. Pozostała kwestia dostarczenia przesyłki. Saruman podszedł do najwyższego okna swojej wieży. Czekał, w końcu ją zobaczył, małą, górską jaskółkę, która zapuściła się zbyt blisko wieży. Używając resztek swojej mocy, nie rzucił zaklęcia dominacji, ale wysłał do niej cichy, mentalny szept. Obietnicę bezpiecznego schronienia i pożywienia. Ufny ptak, wleciał do środka. Saruman delikatnie przywiązał małą szkatułkę do jego nóżki.

— Leć na północ, mały przyjacielu — szepnął. — Leć do Złotego Lasu. Tam znajdziesz panią o włosach jak światło słońca. Oddaj jej to. To wszystko, o co proszę. Jaskółka, jakby rozumiejąc wagę misji, wyfrunęła z okna i pomknęła na zachód, niknąc w oddali.

Był to ruch desperacki, ale Saruman poczuł dreszcz satysfakcji. Właśnie wykonał swój pierwszy, niezależny ruch w tej grze. Rzucił kamień w spokojną taflę wody. Nie wiedział, jakie kręgi rozejdą się po powierzchni, ale wiedział jedno, cisza właśnie się skończyła. A on, uwięziony zdrajca, znów stał się graczem.

# Rozdział 8

Plan Saurona zakładał uderzenie w więź Gandalfa z mocą Pierścienia. Miało zasiać nieufność, sprawić, by Gandalf zaczął wątpić nie tylko w siebie, ale i w swoje narzędzie. Na południowych zboczach Ephel Dúath, w ruinach starożytnej fortecy, która pamiętała jeszcze czasy Morgotha, zebrała się na jego wezwanie grupa trzynastu postaci. Byli czarnoksiężnikami, mistrzami iluzji i zniekształcania myśli, którzy przez wieki studiowali mroczne aspekty magii. Zamierzali przeprowadzić skomplikowany i długotrwały rytuał, który miał zbudować psychiczny rezonans z Pierścieniem. Chcieli, by za każdym razem, gdy Gandalf sięgnie po moc Pierścienia, poczuł w niej fałszywą, mroczną nutę. Niewielkie echo woli Saurona. Chcieli, by zaczął podejrzewać, że Pierścień go oszukuje, że jego dobre uczynki są podszyte złem.

Chcieli go osłabić od środka, sprawić, by przestał ufać swojemu największemu atutowi. Chcieli, by w chwili ostatecznej próby, zawahał się, bojąc się, że moc, której używa, nie jest już jego. Przez wiele dni przygotowywali się do ceremonii. Rysowali na ziemi skomplikowane kręgi runiczne, używając do tego pyłu z rozkruszonych kości i krwi ofiar. W centrum kręgu ustawili obsydianowe lustro, które miało służyć jako mentalne ognisko, skupiające ich połączoną wolę. Czekali na noc bez księżyca, gdy zasłona między światami staje się najcieńsza. Byli pewni siebie. Działali w głębo-

kim ukryciu, wierzyli, że nikt nie jest w stanie wykryć ich subtelnej, mentalnej magii. Nie wiedzieli, że w samotnej, czarnej wieży, uwięziony czarodziej już ich słyszał i przygotowywał własną odpowiedź.

W bezksiężycową noc, gdy świat pogrążył się w najgłębszym mroku, rozpoczęli swój rytuał. Trzynastu czarnoksiężników stanęło w kręgu, a ich monotonne, gardłowe śpiewy zaczęły tkać w powietrzu gęstą, niemal namacalną sieć mrocznej woli. W centrum, lustro zaczęło pulsować słabym, chorobliwym światłem, skupiając ich połączoną moc, by wysłać ją prosto do duszy Gandalfa.

W tym samym czasie, w swojej wieży, Saruman również czuwał. Nie potrzebował palantíra, by wiedzieć, co się dzieje. Czuł to. Czuł narastające napięcie w magicznej tkance świata, jak skrzypienie naprężanej liny. Rozpoznał melodię, znał techniki, sam nauczał niektórych z tych czarnoksiężników.

Wiedział, że nie może ich zaatakować bezpośrednio. Nie mógł wysłać ognistego pocisku ani rzucić kontr-klątwy. To byłoby jak krzyk w ciszy, który Sauron usłyszałby natychmiast. Jego działanie musiało być równie subtelne, jak ich.

Stanął samotnie pośrodku kręgów runicznych, które przygotowywał od wielu dni. Nie były to runy mocy ani dominacji. Były to runy zakłócenia, lustrzanego odbicia i chaosu.

— Złamałem wszystkie przysięgi — powiedział cicho do samego siebie. — Straciłem honor i przyjaciół. Ale to nie oznacza, że muszę stać i patrzeć, jak partia szachów jest rozgrywana

beze mnie.

Zamknął oczy i skupił swoją wolę. Nie stworzył bariery. Nie wysłał fali uderzeniowej. Zrobił coś znacznie sprytniejszego. Wysłał echo. Pojedynczą, idealnie czystą, ale całkowicie fałszywą nutę, która popłynęła przez niewidzialne prądy magii. Była to wibracja zakłócenia, zaprojektowana tak, by nie niszczyć rytuału, ale by go zniekształcić. By wprowadzić do ich mrocznej, monotonnej pieśni, mały nieznośny dysonans.

Czarnoksiężnicy, pogrążeni w transie, nagle poczuli, że ich połączona wola zaczyna się rwać. Ich pieśń, która miała być idealnie zharmonizowana, nagle zaczęła brzmieć fałszywie. Lustro, zamiast skupiać moc, zaczęło ją odbijać z powrotem na nich, ale w sposób chaotyczny i niekontrolowany.

Jeden z czarnoksiężników krzyknął, gdy jego własna, mroczna energia uderzyła go w umysł. Drugi padł na kolana, a z jego oczu i uszu popłynęła krew. Krąg run, zamiast pulsować mrokiem, rozbłysnął nagle oślepiającym, białym światłem. To wystarczyło, magia, pozbawiona kontroli i zatruta dysonansem, eksplodowała do wewnątrz. Lustro pękło na tysiąc kawałków. Większość czarnoksiężników zginęła na miejscu, ich umysły zostały wypalone przez moc, którą sami próbowali okiełznać. Ci, którzy przeżyli, byli już tylko pustymi, bełkoczącymi skorupami.

Rytuał został zniszczony. W Lórien, Galadriela, która właśnie otrzymała tajemniczą przesyłkę, zauważyła, patrząc w swoje Zwierciadło, gwałtowny rozbłysk białego światła gdzieś na południu, a potem twarz, której się nie spodziewała. Zniszczoną, ale zdeterminowaną, twarz Sarumana.

— Zaczęło się — powiedziała cicho do Celeborna. — Ale gra jest bardziej skomplikowana niż myśleliśmy.

W Orthanku, Saruman osunął się na posadzkę, wyczerpany, ale z uśmiechem triumfu. Właśnie sabotował plan swojego pana. I nikt, ani Sauron, ani Gandalf, nie wiedział, że to on pociągnął za sznurki. Czuł się panem chaosu, przynajmniej na razie.

W Barad-dûr, echo zniszczonego rytuału dotarło do Saurona nie jako krzyk, ale jako nagła, głucha cisza. Stracił połączenie z umysłami swoich trzynastu sług jednocześnie. Taka katastrofa nie mogła być przypadkiem. Jego wola, niczym niewidzialny wzrok, natychmiast skupiła się na miejscu porażki. Zobaczył zniszczony krąg, pęknięte lustro i strzępy mrocznej energii, w której wciąż tkwiła obca, zakłócająca nuta. Nuta, którą znał. Była w niej pycha i rozpacz. Była w niej przebiegłość tak wielka, że mogła należeć tylko do kogoś znacznego...

— Saruman.

Imię to w jego umyśle nie było już szeptem ani rozkazem. Było to chłodne stwierdzenie faktu. Furia, która powinna nim wstrząsnąć, nie nadeszła. Zastąpiło ją coś innego. Coś znacznie bardziej przerażającego. Rozbawienie.

Sauron zrozumiał, że jego pionek, próbuje prowadzić własną grę. Sabotuje go z wnętrza swojej kamiennej celi. Ta zuchwałość była niemal imponująca. Ale była też, ostatecznie, żałosna. Bo Sauron, mistrz wielkiej strategii, myślał już o dziesięć ruchów do przodu. Zdał sobie sprawę, że gniew i ukaranie Sarumana teraz

byłoby błędem. Zdemaskowanie go pozbawiłoby go jego największego atutu, nieprzewidywalności. Zamiast tego, Sauron postanowił pozwolić mu działać.

Założył, że całkowity chaos, który Saruman będzie próbował wywołać, może mu w ostatecznym rozrachunku posłużyć. Niech Saruman myśli, że gra na osłabianie wszystkich. W rzeczywistości, wciąż był narzędziem Saurona, tylko w nowy, bardziej ironiczny sposób. Niech sabotuje moje plany, pomyślał Sauron. Niech udaremnia rytuały. Co z tego? Każde jego działanie, nawet to skierowane przeciwko mnie, tworzy zamieszanie. W zamieszaniu, w chaosie, najłatwiej jest ukryć prawdziwy cel.

Będzie tylko potęgował ich nieufność i strach. Jego wiadomości, pochodzące z nieznanego źródła, sprawią, że elfy i ludzie staną się jeszcze bardziej podejrzliwi, jeszcze bardziej skłonni do defensywy. Będą wszędzie widzieć pułapki i intrygi.

Co najważniejsze, odwrócą swoją uwagę od prawdziwego zagrożenia, od wewnętrznej walki Gandalfa. W pewnym sensie, Saruman, w swojej próbie zdrady, stał się najdoskonalszym narzędziem Saurona. Stał się zasłoną dymną. Błaznem na dworze, który swoimi sztuczkami odwraca uwagę od cichego zabójcy w tłumie.

Sauron nie skontaktował się z nim. Nie zdemaskował go, pozwolił mu wierzyć w jego małe zwycięstwo. Niech czuje się panem chaosu, niech myśli, że jest graczem. Będzie się temu przyglądał z drwiącym uśmiechem, wykorzystując desperacką próbę zdrady swojego sługi jako kolejny, nieoczekiwany element w swoim wielkim, ostatecznym planie. Głupiec Saruman myślał, że wywraca szachownicę. Nie wiedział, że Sauron już dawno zaczął grać w zupełnie inną grę.

# Rozdział 9

Po opuszczeniu Isengardu, słowa Sarumana, jak ciernie tkwiły w umyśle Gandalfa, zatruwając jego pewność siebie. Potrzebował odpowiedzi. Potrzebował potwierdzenia, że droga, którą obrał, nie jest ścieżką ku tyranii. Wiedział, że jest tylko jedno miejsce i jedna istota w Śródziemiu, która mogłaby mu dać taką odpowiedź. Musiał udać się do Lothlórien.

Nie podróżował już z szybkością wiatru. Jego kroki stały się wolniejsze, bardziej przemyślane. Gdy opuszczał Isengard, na jego drodze ponownie stanął Drzewiec. Stary Ent wpatrywał się w niego swoimi głębokimi, mądrymi oczyma.

— Hum... — zadudnił. — Twój duch jest niespokojny, biały czarodzieju. Rozmawiałeś ze Złamanym Głosem. Jego słowa są jak kamyki w bucie. Drażnią.

— Mówisz prawdę, Pasterzu Lasu — odparł Gandalf, a w jego głosie pobrzmiewało zmęczenie. — Zasiał we mnie wątpliwość, której nie potrafię wyrwać.

— Wątpliwość jest jak małe nasionko — powiedział powoli Drzewiec. — Może z niej wyrosnąć wielkie, mądre drzewo. A może trujący bluszcz, który zadusi wszystko inne. Musisz uważać, czym ją karmisz. Dokąd teraz idziesz?

— Do Złotego Lasu. Muszę porozmawiać z Panią Światła.

Ent pokiwał powoli swoją konarowatą głową.

— To dobra droga. Ona pamięta więcej niż my wszyscy. Pamięta pieśni, które śpiewano, zanim pierwszy liść opadł z drzewa. Być może jej światło rozproszy twoje cienie. Idź w pokoju, Gandalfie. Las będzie patrzył.

Z tym błogosławieństwem, Gandalf ruszył w dalszą drogę. Podróż do Lórien była dla niego pielgrzymką przez własne myśli. Czy Saruman miał rację? Czy jego pragnienie porządku było tylko maską dla żądzy władzy?

Tymczasem w Caras Galadhon, Galadriela poczuła jego nadejście na długo, zanim przekroczył granice jej królestwa. Nie była to już ta potężna, pewna siebie aura, którą wyczuła wcześniej. Nowa była inna, zmącona. Jak spokojna tafla jeziora, do którego ktoś nawrzucał kamieni. W jego mocy pojawiło się pęknięcie wątpliwości.

Wiedziała, że przychodzi. I wiedziała, dlaczego. Przychodził, by szukać potwierdzenia. By użyć jej mądrości i jej Zwierciadła jako ostatecznego testu dla swojej nowej tożsamości.

Czekała na niego w swoim ogrodzie, przy srebrnej misie, a jej serce było pełne lęku i nadziei. Lęku przed tym, co mogła zobaczyć. I nadziei, że być może, tylko być może, wątpliwość, którą zasiał Saruman, jest pierwszym krokiem Gandalfa na drodze powrotnej. Ale wiedziała też, że może to być ostatni etap jego upadku, desperacka próba usprawiedliwienia samego siebie, zanim ostatecznie pogrąży się w mroku, który sam nazywał światłem

Gandalf wszedł do serca Lothlórien niczym duch. Elfy, które go mijały, kłaniały mu się w milczeniu, ale czuły zmianę, która w nim zaszła. Jego światło, choć wciąż potężne, nie było już tak oślepiające. Drgało, jak płomień na wietrze.

Odnalazł ją w ogrodzie, gdzie stała przed swoim Zwierciadłem. Nie przywitała go słowami. Po prostu patrzyła, a jego oczy, głębokie jak studnie czasu, zdawały się czytać w jego duszy każdą nową rysę i każde pęknięcie. To on pierwszy przerwał ciszę, a jego głos, w przeciwieństwie do ich ostatniego spotkania, był pozbawiony arogancji. Był w nim ciężar i szczera, bolesna prośba.

— Pani Galadrielo. Przybywam, bo nie mam już, dokąd pójść.

— Zawsze będziesz tu mile widziany, Mithrandirze — odparła, a jej głos był łagodny, ale czujny.

— Nie przychodzę jako przyjaciel szukający schronienia — kontynuował, podchodząc bliżej. Jego wzrok spoczął na Pierścieniu na jego palcu, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu. — Przychodzę jako... pacjent do uzdrowiciela. Jako uczeń do mistrza.

— Byłem w Orthanku. Rozmawiałem z Sarumanem.

Galadriela skinęła głową.

— Wyczułam to. Jego cień dotknął cię.

— On... on pokazał mi lustro — wyszeptał Gandalf. — I zobaczyłem w nim siebie. Jego słowa były jadem, ale zatruły mnie, bo znalazły w mojej duszy prawdę. Wierzyłem, że panuję nad tą mocą. Wierzyłem, że używam jej dla dobra. Ale on twierdzi, że to tylko iluzja. Że idę jego ścieżką.

Zrobił krok w stronę Zwierciadła, wpatrując się w spokojną taflę wody.

— Potrzebuję twojej pomocy, Galadrielo. Bardziej niż kiedykolwiek. Ty nosisz Nenyę, Pierścień Wody. Rozumiesz naturę magii i rozumiesz pokusę. Proszę cię, po raz ostatni, pomóż mi zrozumieć moją własną moc. Pomóż mi zobaczyć prawdę.

Jego prośba była szczera. Był to krzyk duszy, która stanęła na krawędzi i zajrzała w przepaść, przerażona tym, co zobaczyła. Nie prosił już o aprobatę. Prosił o diagnozę.

— Chcę, byś spojrzała w moje serce. Chcę, byś użyła swojego Zwierciadła, by pokazać mi, kim naprawdę jestem. Nie kim byłem, nie kim mogę się stać, ale kim jestem teraz, w tej chwili. Czy wciąż jestem Gandalfem, który walczy z cieniem? Czy jestem już tylko jego nową, formą?

Galadriela patrzyła na niego z mieszaniną litości i strachu. Widziała jego ból i jego szczerość. Widziała też ogromną pychę, która doprowadziła go do tego punktu, i która teraz, zraniona, szukała ukojenia w potwierdzeniu.

— Zwierciadło nie daje odpowiedzi, Mithrandirze — powiedziała cicho. — Ono tylko pokazuje. A to, co zobaczysz, zależy od tego, co sam w sobie nosisz. Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć? Prawda bywa cięższa niż jakiekolwiek kłamstwo.

— Muszę — odparł z determinacją Gandalf. — Wolę najgorszą prawdę od najpiękniejszej iluzji.

Galadriela westchnęła. Wiedziała, że nie może mu odmówić. Wiedziała też, że ten moment będzie decydujący. Podniosła swój dzban i powoli, z namaszczeniem, zaczęła napełniać srebrną misę wodą ze strumienia.

Woda w srebrnej misie uspokoiła się, stając się idealnie gładką, lśniącą powierzchnią. Odbijała gwiazdy, które, choć był dzień, zdawały się na chwilę pojawiać na niebie Lórien. Atmosfera w ogrodzie stała się ciężka, naelektryzowana od oczekiwania.

— Spójrz — szepnęła Galadriela, a jej głos był niemal niesłyszalny.

Gandalf pochylił się nad Zwierciadłem. Jego serce, mimo całej mocy, którą władał, biło niespokojnie. Spodziewał się zobaczyć wiele rzeczy. Być może wizję siebie jako mrocznego tyrana o płonących oczach. Być może obraz Saurona, śmiejącego się w swojej wieży. A może nawet, jak miał cichą nadzieję, obraz starego, Gandalfa Szarego, jako dowód, że jego prawdziwe ja wciąż istnieje.

Ale nie zobaczył żadnej z tych rzeczy. Gdy jego spojrzenie padło na wodę, tafla Zwierciadła nie zamigotała. Nie pojawiły się w niej żadne obrazy czy cienie, żadne szepty przyszłości czy przeszłości. Gwiazdy, które odbijały się w wodzie, zgasły. A w ich miejsce pojawiła się... pustka.

Absolutna, bezdenna, aksamitna nicość. Nie była to czerń mroku ani ciemność nocy. Była to absolutna próżnia, która zdawała się wchłaniać światło, dźwięk i samą myśl. Nie było w niej ani dobra, ani zła. Ani nadziei, ani rozpaczy. Nie było nic. Nawet jego własne odbicie się w niej nie pojawiło. Jakby dla Zwierciadła, on, Gandalf, nie istniał. Cofnął się gwałtownie, jakby dotknął czegoś niewyobrażalnie zimnego.

— Co to znaczy? — zapytał, a w jego głosie, po raz pierwszy od powrotu, pojawił się autentyczny, niekłamany strach. — Dlaczego nic nie widzę? Czy twoje Zwierciadło straciło moc?

Galadriela wpatrywała się w pustkę w misie, a jej twarz była blada jak płótno.

— Nie, Mithrandirze — odparła cicho, a jej oczy były szeroko otwarte z przerażenia. — Zwierciadło nie straciło mocy. Ono... ono nie może cię zobaczyć.

Gandalf spojrzał na nią, nie rozumiejąc. — Jak to?

— Moje Zwierciadło czerpie moc z wody, z ziemi, ze światła gwiazd. Widzi to, co jest, co było i co może być, bo wszystko to jest częścią wielkiej Pieśni Ardy — tłumaczyła powoli, jakby sama próbowała zrozumieć to, co mówi. — Ale ty... ty, poprzez swoją więź z Pierścieniem, stałeś się czymś, co istnieje poza tą Pieśnią. Twoja wola, połączona z wolą Jedynego, stworzyła wokół ciebie... pustkę. Próżnię, która jest nieprzenikniona dla magii tego świata. Nie jesteś już częścią naturalnego porządku. Jesteś anomalią.

To było gorsze niż jakakolwiek mroczna wizja. Być potępionym to jedno. Ale być wymazanym, stać się niewidzialnym dla samej esencji świata... to było coś znacznie straszniejszego.

Test lustra zakończył się całkowitym fiaskiem, który dał najgorszą możliwą odpowiedź. Oznaczało to, że Gandalf stał się tak potężny i zjednoczony z mocą, która miała na celu zdominowanie i uporządkowanie wszystkiego, że sam stał się nieprzenikniony, nawet dla najstarszej, najbardziej fundamentalnej magii elfów.

Gandalf odwrócił się od Zwierciadła, a jego twarz była maską szoku i niedowierzania. Spojrzał na swoje dłonie, na Pierścień na palcu.

— Więc... kim ja jestem? — wyszeptał do pustki, która zdawała się go otaczać.

Galadriela nie odpowiedziała. Nie musiała. Pustka w Zwierciadle była odpowiedzią. Był nikim. A jednocześnie, był potęgą tak wielką, że świat przestał go rozumieć. I to czyniło go najsamotniejszą i najbardziej niebezpieczną istotą w całym Śródziemiu.

Gandalf odszedł bez słowa pożegnania. Błąkał się po cichych ścieżkach Lothlórien, ale piękno złotego lasu po raz pierwszy do niego nie docierało. Jego umysł był wirem sprzecznych myśli. Pustka? Słowo to odbijało się echem w jego głowie. Saruman pokazał mu lustro jego pychy. Ale Galadriela pokazała mu coś znacznie gorszego, lustro jego nicości.

Usiadł pod jednym z mallornów, ukrywając twarz w dłoniach. Strach przed utratą samego siebie, przed rozpłynięciem się w tej doskonałej, bezosobowej nicości, był paraliżujący. Zrozumiał, że jego strategia izolacji i tworzenia idealnego raju była błędem. Ale jak wrócić do świata, nie próbując go zdominować mocą, która go od tego świata oddziela?

— Samotność jest kiepskim doradcą, gdy umysł toczy wojnę sam ze sobą, Mithrandirze.

Gandalf podniósł głowę. Przed nim stał Celeborn, Pan Lórien. Jego postać była spokojna i majestatyczna, a w jego oczach nie było ani lęku, ani potępienia, które wyczywał u Galadrieli. Była tylko cicha, stateczna mądrość kogoś, kto przez wieki obserwował przypływy i odpływy losów świata.

— Pani Galadriela widzi głębokie prądy i ostateczne przeznaczenie — kontynuował Celeborn, siadając obok niego. — Jej wzrok sięga tak daleko, że czasem zapomina o ziemi pod stopami. Ja... ja widzę las. Widzę drzewa, które rosną, walczą o światło, a potem umierają, by dać życie innym. Widzę porządek w niedoskonałości.

Gandalf milczał, zaskoczony i zaintrygowany.

— Ona pokazała mi pustkę. Powiedziała, że jestem poza Pieśnią. Jak mam wrócić, skoro nie jestem już częścią świata?

— Może odpowiedź jest prostsza, niż myślisz — odparł Celeborn. — Nie musisz wracać. Ty wciąż tu jesteś. Twoje stopy dotykają tej samej ziemi, co moje. Oddychasz tym samym powietrzem. Problem nie w tym, że jesteś poza światem. Problem w tym, że próbujesz być ponad nim.

Spojrzał na Gandalfa, a jego spojrzenie było proste i bezpośrednie.

— Zwierciadło pokazało ci pustkę, bo szukałeś w nim absolutu. Prawdy o sobie jako o potędze, jako o idei. Ale ty nie jesteś ideą, Gandalfie. Jesteś istotą. Masz wspomnienia, przyjaciół, ciało, które odczuwa zmęczenie. Pustka, którą zobaczyłeś, to nie twoja esencja. To tylko odbicie twojej pychy, która pragnie być czymś więcej niż tylko częścią tego niedoskonałego świata.

Słowa Celeborna były jak świeży, chłodny powiew w dusznej komnacie. Nie były to słowa o kosmicznej walce dobra ze złem, ale prosta, życiowa mądrość.

— Jak tego uniknąć? — zapytał Gandalf, a jego głos był już spokojniejszy.

— Przestań próbować być doskonały — odparł Celeborn. — Twoja strategia izolacji była błędem nie dlatego, że pozwoliła Pierścieniowi działać, ale dlatego, że odciąłeś się od tego, co czyniło cię silnym, od twoich związków. Od Froda, Aragorna, nawet ode mnie. — powiedział śmiejąc się. — My jesteśmy twoją kotwicą. Nasza niedoskonałość, nasze lęki i miłość, to one przypominają ci, że jesteś częścią tej ziemi.

Wstał i wskazał na las wokół nich. — Nie musisz niszczyć swojego raju. Musisz po prostu otworzyć go dla innych. Pozwól, by chwasty rosły obok idealnych kwiatów. Pozwól, by deszcz padał, a liście opadały. Przestań być władcą swojego ogrodu, a znów stań się jednym z jego ogrodników.

Decyzja, która dojrzała w Gandalfie, była teraz inna. Nie była już zrodzona ze strachu, ale z nowej, pokornej nadziei. Musiał zaryzykować. Ale nie po to, by walczyć, ale by na nowo połączyć się ze światem.

Wstał, a w jego oczach, obok lęku, pojawiła się iskierka wdzięczności.

— Dziękuję ci, Panie Galadhrimów. Twoje słowa są jak solidny, kamienny most tam, gdzie ja widziałem tylko przepaść.

Spojrzał na wschód, ku Mordorowi, a potem na Pierścień na swoim palcu.

— Nie będę już uciekał — wyszeptał. — Ani przed tobą, ani przed samym sobą. Ale nie będę też próbował być władcą. Czas wrócić do bycia pielgrzymem.

Odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę serca Lórien. Nie wiedział jeszcze, co zrobi, ale wiedział, że jego czas w samotności dobiegł końca. Wracał do świata, nie po to, by go zbawić,

ale by znów stać się jego częścią. Bo najgorszą porażką nie była śmierć ani zniszczenie. Była nią pustka. A on właśnie dowiedział się, jak ją wypełnić. Nie mocą, ale obecnością.

Gdy Gandalf odszedł, Galadriela pozostała sama przy Zwierciadle. Pustka, którą zobaczyła, przeraziła ją bardziej niż jakakolwiek wizja płonących miast. Zrozumiała, że Gandalf stał się nieobliczalną siłą, zamkniętą we własnej, doskonałej próżni. Był jak nowa, nieznana figura na szachownicy, której zasad ruchu nikt nie znał.

W tej desperackiej sytuacji, w jej umyśle, który zawsze szukał najgłębszych prawd, narodził się plan. Ryzykowny, niemal szalony. Plan, którego nikt by się nie spodziewał.

Postanowiła skontaktować się z Sauronem. Wiedziała, że to niebezpieczne, że jego wola jest jak kwas, który może zatruć i zniszczyć każdy nieuważny umysł. Ale była Panią Lórien, nosicielką Nenyi, a jej własna moc, choć inna, była równie starożytna. Co ważniejsze, rozumiała, że w tej nowej, groźnej grze, jej stary wróg jest jedyną istotą, która może posiadać klucz do zrozumienia tego, czym stał się Gandalf. Być może, w swojej nienawiści i obsesji, Sauron widział coś, czego oni nie dostrzegali.

Zamiast napełniać misę wodą, by patrzeć w świat, położyła na jej suchej, srebrnej powierzchni palantír, jeden z mniejszych Kamieni Widzenia, który był w ukryciu elfów od wieków. Skupiła całą swoją wolę, nie by patrzeć, ale by wołać prosto w mrok.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast, jakby czekał. Kamień zapłonął czerwienią, a w jej umyśle pojawiła się przytłaczająca,

pełna pychy obecność.

— Pani Złotego Lasu — zasyczała myśl Saurona, pełna drwiącej satysfakcji. — Cóż za niespodziewany zaszczyt. Czyżbyś zmęczyła się swoim powolnym więdnięciem i zapragnęła ujrzeć prawdziwą potęgę?

— Oszczędź sobie kpin, Sauronie — odpowiedziała Galadriela, a jej mentalny głos był spokojny i zimny jak lód. Jej umysł, chroniony przez moc Nenyi, był jak forteca z mithrilu. — Nie przychodzę cię podziewiać, przychodzę rozmawiać.

Nastąpiła chwila ciszy, w której Sauron zdawał się analizować tę zuchwałość.

— Rozmawiać? — powtórzył z rozbawieniem. — My nie mamy o czym rozmawiać, córko Finarfina. Jesteś wspomnieniem. Ja jestem przyszłością. To wszystko.

— Mylisz się. Mamy teraz wspólny problem — odparła Galadriela.

Sauron znów zamilkł.

— Ach, tak. Wasz zbawiciel. Istota ze światła, która posiadła mój skarb. Czyżbyś w końcu zrozumiała, że nie da się go kontrolować? Że jego dobroć jest tylko inną formą mojej woli?

— On nie jest ani twój, ani nasz — stwierdziła Galadriela. — Stał się czymś innym. Czymś, co wymyka się logice światła i cienia. Czymś pustym. I ta pustka zagraża wszystkim.

— Zagraża tobie — zadrwił Sauron. — Ja widzę w tym tylko interesującą komplikację. Pionka, który awansował na hetmana i myśli, że może wygrać partię sam. Jego pycha jest moim największym sojusznikiem.

— Jego pycha tworzy wokół niego próżnię, której nawet ty nie przenikniesz — skontrowała Galadriela. — Chcesz odzyskać swój Pierścień, prawda? A co, jeśli on, w swojej nowej naturze, postanowi nie używać go do dominacji, ale do... wymazywania? Co, jeśli jego ideałem porządku nie jest tyrania, ale nicość? Co, jeśli postanowi wymazać nie tylko ciebie, ale i całą tę niedoskonałą Ardę, by zastąpić ją swoją własną, pustą doskonałością?

To był strzał w ciemno, ale chyba trafiła w cel. Sauron, który pragnął władzy nad światem materialnym, nigdy nie brał pod uwagę możliwości jego anihilacji. W jego umyśle pojawiła się na moment rysa niepewności.

— On nie jest Stwórcą, nie może tego dokonać — odparł, ale w jego myśli brakowało już dawnej pewności.

— Z twoim Pierścieniem na palcu jest bliżej tej mocy niż ktokolwiek inny od czasów Morgotha — ciągnęła bezlitośnie Galadriela.

— Ty i ja, Sauronie, jesteśmy starego porządku. Rozumiemy walkę o władzę. Ale on... on staje się czymś nowym. I obawiam się, że w jego nowym świecie nie ma miejsca ani dla ciebie, ani dla mnie. Ani dla nikogo.

Ich mentalna bitwa na słowa trwała. Przekomarzali się, rzucali oskarżenia, sondowali swoje zamiary. Sauron próbował ją kusić, malując wizje potęgi, jaką mogliby osiągnąć razem przeciwko nowemu zagrożeniu. Galadriela odpierała jego ataki, wskazując na jego własne ograniczenia i strach przed siłą, której nie rozumiał.

Nie zawarli sojuszu. To było niemożliwe. Ale w tej dziwnej, pełnej nienawiści i złośliwości rozmowie, narodziło się coś na kształt chwilowego, taktycznego zrozumienia. Że na planszy pojawiła się nowa, nieprzewidywalna figura, która zagrażała całej grze.

— Co proponujesz, czarownico z Lórien? — zapytał w końcu Sauron, a w jego myśli była niechętna ciekawość.

— Proponuję, żebyś się zastanowił — odparła Galadriela. — Zastanowił się, czy twój największy wróg właśnie z tobą rozmawia. Czy może wędruje po świecie, ubrany w biel, a jego serce jest puste jak otchłań, w którą wszyscy możemy wkrótce spaść.

Z tymi słowami, zerwała połączenie. Kamień zgasł. Galadriela stała drżąc, wyczerpana starciem, ale z nową wiedzą. Wiedziała, że zasiała w umyśle Saurona ziarno niepewności. Ale wiedziała też, że igranie z takim ogniem może spalić nie tylko jej wrogów, ale i ją samą. Gra stała się nieskończenie bardziej skomplikowana.

Rozmowa z Sauronem, jakkolwiek ryzykowna, dała Galadrieli to, czego potrzebowała, pewność. Potwierdziła jej najgorsze obawy. Gandalf nie był już tylko zagrożeniem. Był anomalią, pustką, która mogła pochłonąć wszystko, zarówno światło, jak i cień. Nawet Sauron, w całej swojej pysze, poczuł ukłucie niepewności w obliczu tej nowej, niezrozumiałej siły.

Galadriela zrozumiała, że nie ma już czasu na subtelności, na zbieranie informacji czy na budowanie kruchych sojuszy. Czas oczekiwania się skończył. Nadszedł czas na podjęcie ostatecznych, drastycznych kroków.

Wróciła do komnaty, w której w kręgu stały świetliste pojemniki z esencją Ainulindalë. Patrzyła na nie, a jej serce było ciężkie, ale wola twarda jak diament. Wiedziała, co musi zrobić. Pieśń Obronna, którą zamierzała stworzyć, nie mogła być tylko pasywnym an-

tidotum. Musiała stać się bronią. Ostatnią, najstraszliwszą bronią, jaką ten świat mógł stworzyć.

Jej celem nie było już tylko rozstrojenie mocy Gandalfa. Jej celem było przygotowanie się na jego ostateczne uwięzienie. Nie jego ciała, ale jego duszy.

Zebrała wokół siebie swoich najbardziej zaufanych tkaczy światła i pieśni. Nie wyjawiła im pełnego celu, mówiła jedynie o konieczności stworzenia najpotężniejszego zaklęcia ochronnego w historii Ardy. Zaklęcia, które miało chronić samą esencję życia przed mocą, która chciała ją zastąpić pustką. Pracowali przez wiele dni i nocy. Złoty Las Lórien, zwykle pełen śpiewu i radości, pogrążył się w ciężkiej, skupionej ciszy. Każdy elf w królestwie czuł, że ich Pani toczy wojnę, choć nie widzieli żadnego wroga.

Galadriela wiedziała, że wkracza na ścieżkę, z której nie ma powrotu. Wiedziała, że cena, jaką może zapłacić, jest niewyobrażalna. Ale patrzyła na swoje Zwierciadło, w którym wciąż widziała tylko nicość, i wiedziała, że nie ma innego wyboru. Świat musiał zostać ocalony. Nawet przed tym, który chciał go zbawić. I to ona, ostatnia z Quendi w Śródziemiu, musiała wziąć na siebie ten straszliwy ciężar.

# Rozdział 10

Dzieło, które rozpoczęła Galadriela, nie przypominało niczego, co kiedykolwiek stworzono w Śródziemiu. Nie kuła miecza, nie budowała murów, nie rzucała zaklęć zniszczenia. Tkała z dźwięku, światła i pamięci.

W centrum jej sanktuarium, na posadzce, rozłożyła zebrane fragmenty Ainulindalë. Świetliste pojemniki otworzyły się, uwalniając swoje esencje. Z kryształów popłynęła czysta, świetlista wibracja. Galadriela, stojąc pośrodku tego wiru pierwotnych mocy, zaczęła śpiewać.

Jej pieśń nie była melodią, którą można by usłyszeć. Była to pieśń woli, utkana bezpośrednio w osnowie rzeczywistości. Zaczęła splatać ze sobą te rozproszone fragmenty, tworząc nową, skomplikowaną pieśń. Przypominało to strojenie niewidzialnego instrumentu.

Powoli, w powietrzu, zaczęła materializować się struktura. Nie była zrobiona z materii, ale z czystej, magicznej energii. Przybrała kształt wielkiej, ozdobnej bramy, utkanej ze splecionych promieni gwiezdnego światła, z żył płynnego kamienia i z pnączy, na których kwitły widmowe, świetliste kwiaty.

Brama Zapomnienia. Nie była to fizyczna brama, która mogłaby kogoś uwięzić w celi. Była to brama metafizyczna. Pułapka na duszę. Jej działanie było bezpośrednio związane z naturą Pie-

śni Ainurów. Wszystko, co istniało w Ardzie, było częścią tej wielkiej Muzyki. Każda istota, każdy kamień, każde drzewo, wszystko miało swoją własną, unikalną nutę w tej symfonii. Gandalf, jednocząc się z Pierścieniem, stworzył wokół siebie pustkę, anty-muzykę, która zagłuszała jego własną, pierwotną nutę. Stał się ciszą w sercu orkiestry.

Brama Zapomnienia była niemal gotowa. Lśniła w sercu Lórien cichym, wewnętrznym światłem, widzialna tylko dla tych, których oczy potrafiły patrzeć poza zasłonę świata. Była to najpotężniejsza i najsmutniejsza rzecz, jaką Galadriela kiedykolwiek stworzyła.

Jej mechanizm był prosty i ostateczny. Dźwięki Pieśni, uwolnione z bramy, nie miały być tylko przypomnieniem. Miały być wezwaniem, którego dusza Majara, zrodzona z tej samej Muzyki, nie mogłaby zignorować. W momencie, gdy Gandalf znalazłby się w jej zasięgu i gdy brama zostałaby aktywowana, fala pierwotnej harmonii miała uderzyć w jego istotę. Miała ona na siłę oddzielić jego ducha, jego fëa, od jego fizycznego ciała, które stało się naczyniem dla mocy Pierścienia. Było to jak precyzyjne, duchowe cięcie, które miało odseparować skażoną część. Duch Olórina, wyrwany z cielesnej powłoki, zostałby wciągnięty i uwięziony wewnątrz samej bramy, w bezczasowym echu Pieśni Stworzenia, w bezpiecznym, wiecznym więzieniu.

Ale taka moc wymagała ofiary. Równowaga świata była rzeczą delikatną. Nie można było usunąć tak potężnej istoty jak Gandalf bez stworzenia w jej miejscu równie wielkiej pustki. Zaklęcie wy-

magało kotwicy, czegoś, co wypełniłoby tę lukę. Wymagało ofiary z innej, równej mu niemal mocą duszy.

Galadriela wiedziała, że tą ofiarą musi być ona sama. Aktywacja Bramy Zapomnienia była aktem ostatecznym, który wymagał przelania całej jej mocy, całej jej woli i całej jej esencji w jedno, potężne uderzenie. W momencie, gdyby brama się zatrzasnęła, więżąc ducha Gandalfa, ona sama przestałaby istnieć.

Nie umarłaby w tradycyjnym sensie. Jej los byłby znacznie bardziej tragiczny. Jej moc, jej istnienie, jej pamięć w umysłach ludzi i elfów, jej imię w pieśniach i kronikach, wszystko to zostałoby wymazane. Jakby nigdy nie istniała. Zostałaby zapomniana.

Byłaby to jej ostateczna ofiara. Oddać nie tylko życie, ale i własną historię, by ocalić historię świata. Stać się nicością, by świat mógł dalej istnieć, wolny od tyranii doskonałości, którą chciał zaprowadzić Gandalf.

Taka była cena tego zaklęcia. Cena, którą Galadriela była gotowa zapłacić. Patrzyła na lśniącą, widmową bramę i widziała w niej nie tylko potencjalne ocalenie Śródziemia, ale i swój własny, cichy koniec. Koniec bez chwały, bez pieśni, bez wspomnień. I w głębi swojego serca, które kochało ten niedoskonały, przemijający świat, pogodziła się z tym losem.

Celeborn obserwował swoją żonę od wielu dni. Widział, jak jej światło, zwykle tak jasne i spokojne, teraz płonęło z intensywnością, która go niepokoiła. Widział, jak całą swoją istotę przelewa w tworzenie świetlistej, widmowej bramy i choć nie znał pełnej natury tego zaklęcia, czuł jego ogromną, ostateczną moc. Czuł cenę, jaka się z nim wiązała.

Pewnego wieczoru, gdy stali sami w komnacie, a Brama Zapomnienia pulsowała cichym, wewnętrznym blaskiem, nie mógł już dłużej milczeć.

— To zbyt wielkie ryzyko, moja pani — powiedział, a jego głos był pełen troski i sprzeciwu. — Czuję, że jego użycie będzie cię kosztować wszystko.

Galadriela odwróciła się od bramy i spojrzała na niego. Jej twarz była zmęczona, ale spokojna.

— To cena, którą trzeba zapłacić za równowagę, mój mężu. Nie ma innej drogi.

— Musi być! — nalegał Celeborn, podchodząc bliżej. — Musi istnieć bezpieczniejsza alternatywa! Jesteś ostatnią z wielkich Noldorów w Śródziemiu. Twoja mądrość, światło... są tarczą dla tej krainy. Nie możemy cię stracić! Nie w ten sposób! Nie po to, by naprawiać błąd, który popełnił Mithrandir.

— To nie jest już tylko jego błąd — odparła cicho. — To jest nasz wspólny problem, całego świata. A tarcza czasami musi pęknąć, by ocalić tego, kto ją trzyma.

— Więc pozwól mi stanąć u twego boku! — zawołał Celeborn. — Pozwól mi podzielić ten ciężar! Moja moc nie jest tak wielka jak twoja, ale połączone, nasze siły...

— Nie. — Przerwała mu łagodnie, ale stanowczo. — To zaklęcie wymaga jednej, skupionej woli. A ofiara musi być równa sile, którą chcemy powstrzymać. Tylko ja mogę to zrobić. Taki jest mój los.

Celeborn patrzył na nią z rozpaczą. Nie mógł pogodzić się z tą myślą. Z myślą o świecie bez niej, o świecie, który nawet by o niej nie pamiętał.

— Nie mogę na to pozwolić, Galadrielo. Nie mogę patrzeć, jak przygotowujesz się do własnego unicestwienia. Musimy znaleźć inny plan.

I wtedy, ku jego zdumieniu, na twarzy Galadrieli pojawił się ledwo widoczny, tajemniczy uśmiech. Był to uśmiech tak subtelny, że niemal go przeoczył, ale był tam — cień rozbawienia w kącikach ust, błysk w oczach, który mówił więcej niż słowa.

Jakby już miała w głowie zupełnie inny plan. Jakby Brama Zapomnienia, ten straszliwy instrument ostatecznej ofiary, był tylko częścią większej, bardziej skomplikowanej rozgrywki. Jakby przygotowywała się na najgorsze, ale wciąż miała nadzieję na coś innego. A może... może sama brama była tylko dywersją? Może jej prawdziwy cel był inny, niż ktokolwiek, nawet Celeborn, mógł przypuszczać?

Spojrzała na niego, a jej uśmiech zniknął, zastąpiony przez powagę.

— Zaufaj mi — powiedziała tylko. — Wiem, co robię.

Celeborn zamilkł, zbity z tropu. Nie mógł pogodzić się z jej planem, ale ten jeden, ulotny uśmiech zasiał w jego sercu ziarno niepewności. Czy jego żona, najmądrzejsza z istot, które pozostały w Śródziemiu, naprawdę zamierzała po prostu zniknąć? Czy może, jak zawsze, jej strategia była o wiele głębsza i bardziej nieprzenikniona, niż mogło się wydawać? Nie znał odpowiedzi. Mógł tylko czuwać u jej boku, modląc się, by jej tajemniczy plan nie wymagał ostatecznej ceny.

W czarnej wieży Barad-dûr, wola Saurona wirowała w niepokoju. Rozmowa z Galadrielą, choć na zewnątrz okazał swoją pogardę i pewność siebie, poruszyła w nim coś, co od dawna leżało w uśpieniu. Wspomnienia.

Jego świadomość cofnęła się o tysiące lat, do Drugiej Ery. Do czasów, gdy nie był jeszcze tylko cieniem i okiem, ale nosił piękną, postać. Gdy nazywał siebie Annatarem, Panem Darów i przybył do elfickich kowali z Eregionu, niosąc im wiedzę i obietnice.

Pamiętał ich zapał, ich pragnienie tworzenia rzeczy wielkich i pięknych. Pamiętał Celebrimbora, największego z nich, wnuka samego Fëanora, którego pycha i ambicja były tak łatwe do wykorzystania. Razem, ramię w ramię, zgłębiali tajniki kowalstwa, tworząc Pierścienie Władzy. To były dni chwały, dni subtelnej manipulacji, gdy jego plan dojrzewał w ukryciu.

Ale pamiętał też ją, Galadrielę. Już wtedy była potężna i mądra, a jej spojrzenie było przenikliwe jak światło gwiazd. Od samego początku, gdy tylko pojawił się w Eregionie jako Annatar, wyczuła w nim fałsz. Podczas gdy inni byli zachwyceni jego darami i wiedzą, ona patrzyła na niego z chłodną, niezachwianą nieufnością.

Sauron od razu zrozumiał, że to ona będzie jego głównym przeciwnikiem i przeszkodą na zachodzie. Starał się ją udobruchać. Znosił jej pogardę z otwartą cierpliwością i uprzejmością, obsypywał ją komplementami, oferował jej swoją mądrość. Ale ona pozostawała niewzruszona.

Pamiętał jedną z ich rozmów. Powoływał się na swoją rzekomą służbę u Aulego, kowala Valarów, by uwiarygodnić swoją wiedzę.

— Nazywam się Aulendil, przyjaciel Aulego — mówił.

A ona, ze swoim spokojnym, badawczym spojrzeniem, odpowiedziała, dziwne, byłam uczennicą Aulego w Valinorze, a jednak nie pamiętam cię.

To był cios. Wiedział, że go przejrzała. Próbował się bronić, mówiąc, że Aulë istniał przed Budową Ardy i że jego służba mogła przypadać na czasy przed jej narodzinami. Ale wiedział, że ziarno ostatecznej nieufności zostało zasiane. Ona wiedziała, że kłamie.

Bo prawdą było, że on, Sauron, niegdyś zwany Maironem, był jednym z najpotężniejszych Majarów Aulego. Ale prawdą było również to, że na samym początku Ardy, jeszcze zanim narodziły się Dzieci Ilúvatara, Melkor, wielki Wróg, uwiódł go i przekonał do swojej wierności. Być może Galadriela była wtedy zbyt młoda, by go pamiętać, a może jego imię zostało wymazane z kronik Valinoru. Ale ona wiedziała. Jej instynkt, jej światło, wyczuły w nim cień jego dawnego mistrza, ale wypaczony, skażony przez inną, mroczniejszą wolę.

Teraz, po tysiącach lat, znów z nią rozmawiał. I znów poczuł ten sam, zimny mur jej niezachwianej woli. I znów, to ona, a nie butni królowie ludzi czy nawet potężny Gandalf, okazała się jego najtrudniejszym, najbardziej przenikliwym przeciwnikiem.

Sauron otrząsnął się ze wspomnień, a jego wola znów stwardniała. Gniew na samego siebie za tę chwilę słabości był zimny i ostry.

— Wspomnienia... — pomyślał z pogardą. To trucizna słabych. Zabawa dla elfów, które żyją przeszłością.

Odrzucił obraz Eregionu i twarzy Galadrieli. Skupił się z powrotem na teraźniejszości, na grze, która toczyła się teraz. Ale gdzieś

w głębi jego istoty, wspomnienie pozostało. Wspomnienie o tym, że już raz został przejrzany. I cicha, niepokojąca myśl, że być może, tylko być może, ona znów widzi więcej, niż mu się wydaje.

Wola Saurona skurczyła się i stwardniała, odpychając od siebie zwodnicze obrazy przeszłości. Wspomnienie Eregionu, lśniących kuźni, a nawet twarzy Celebrimbora, pełnej naiwnego zapału, wszystko to było teraz tylko pyłem. Pyłem, który na moment oślepił jego wieczny, skupiony na przyszłości wzrok.

— Co ja robię? — jego myśl była jak zgrzyt metalu. Był to akt autoironii, zimny i pozbawiony humoru. Ja, który przetrwałem Zatopienie, oszukałem śmierć, związałem swój los z samą osnową Ardy, pozwalam sobie na sentymentalną podróż do czasów, gdy nosiłem piękną twarz i musiałem znosić głupotę elfów?

Zaśmiał się. Był to bezgłośny, mentalny śmiech, który wstrząsnął fundamentami Barad-dûr. Śmiech istoty tak starej i potężnej, że jej własne, dawne ja wydawało się teraz obcą, żałosną postacią. Kpił sam z siebie. Z tego, że dał się sprowokować Galadrieli. Do analizowania dawnych porażek i triumfów. To była jej gra, gra elfów, żyć w przeszłości, pielęgnować żale, opłakiwać to, co minęło. Jego grą była przyszłość. Wieczna, niezmienna, uporządkowana przyszłość pod jego panowaniem.

Ona myśli, że wciąż jestem Annatarem, pomyślał z pogardą. Myśli, że można mnie zranić, przypominając mi o dawnej nieufności. Nie rozumie, Annatar był tylko maską. Narzędziem. Podobnie jak Celebrimbor. Podobnie jak wszystkie pierścienie, z wyjątkiem

mojego. Były i nie ma ich. Liczy się tylko to, co jest. A jest wola i jest cel.

Odrzucił wspomnienia o czymś, co było i nigdy się nie powtórzy. Nie będzie już kuł pierścieni z elfami. Nie będzie już prowadził subtelnych gier dyplomatycznych. Czas finezji minął wraz z jego piękną powłoką. Teraz był siłą. Czystą, nieugiętą, dążącą do ostatecznego uporządkowania chaosu.

Rozmowa z Galadrielą, choć na moment go zaniepokoiła, teraz wydała mu się tylko potwierdzeniem tego, co wiedział od dawna. Zachód wciąż myśli starymi kategoriami. Wciąż wierzy w siłę nadziei, w wartość wolnej woli, w potęgę wspomnień. A on wierzył już tylko w jedno. W potęgę Jedynego. Jego umysł znów stał się zimny i klarowny. Skupił się na Gandalfie. Na swoim nowym, nieświadomym pionku. Na chaosie, który zamierzał wywołać Saruman. Na siatce kłamstw i prowokacji, którą zarzucił na świat.

Niech się bawią w swoje wspomnienia, pomyślał na koniec, a jego wola była już twarda i niewzruszona. Niech opłakują to, co minęło. Ja zajmę się tym, co nadejdzie. Przeszłość była popiołem. A z popiołu, wiedział to, narodzi się jego nowe, wieczne imperium. Wspomnienia były dla słabych. On był przyszłością.

# Rozdział 11

W ciemności nocy, gdy większość mieszkańców Śródziemia spała, nieświadoma wojen toczonych w sferze ducha, trzy umysły spotkały się w miejscu, które nie istniało na żadnej mapie. Była to przestrzeń utkana z woli, myśl, która połączyła Lórien, Rivendell i Minas Tirith.

Galadriela, Pani Złotego Lasu, zainicjowała to spotkanie. Jej duch, lśniący i potężny, był jak latarnia w tej mentalnej przestrzeni. Wezwała do siebie dwie inne potęgi Zachodu.

Elrond, Pan Rivendell, odpowiedział natychmiast. Jego obecność była jak głęboka, spokojna woda, w której odbija się mądrość wieków. Czuł narastający niepokój Galadrieli i wiedział, że stało się coś, co wymaga ich połączonej rady.

Trzecia obecność była inna. Nie była to potęga elfa ani Majara. Była to siła ludzkiej woli, hartowana mieczem w ręku i ciężarem korony. Ale to nie był Aragorn. W jego imieniu, z jego pełnym błogosławieństwem, na wezwanie odpowiedział jego syn. Eldarion. Jego duch był jak młody, ostry miecz, potężny, dumny i pozbawiony wahań swojego ojca. Reprezentował nową generację, która nie była obciążona dawnymi przyjaźniami.

Spotkali się w tej przestrzeni bez słów, komunikując się za pomocą czystej myśli.

— Witajcie, przyjaciele — rozpoczęła Galadriela, a jej myśl była jak dźwięk harfy. Wezwałam was, bo czas oczekiwania dobiegł końca. Zagrożenie, którego się obawialiśmy, przybrało formę, jakiej nikt z nas nie przewidział. Opowiedziała im o wszystkim. O swojej rozmowie z Gandalfem. O pustce w Zwierciadle. A nawet, ku ich zdumieniu, o swojej ryzykownej, konfrontacji z Sauronem.

— Gandalf stał się anomalią — kontynuowała. Jest zamknięty w pancerzu własnej mocy, przekonany o swojej słuszności. A Sauron, zamiast z nim walczyć, postanowił go użyć, popychając go ku tyranii. Jesteśmy w pułapce. Każde zwycięstwo Gandalfa nad siłami Mordoru będzie go tylko umacniać w jego pysze i przybliżać do ostatecznego upadku.

— Więc co proponujesz, Pani Światła? — zapytał Elrond. Mamy wystąpić przeciwko niemu? Rozpocząć wojnę, której nie możemy wygrać i która zniszczy resztki jedności na Zachodzie?

— To szaleństwo! — wtrąciła się myśl Eldariona, ostra i gorąca. Mój ojciec opowiadał mi o nim. To bohater. Jak możemy zwrócić się przeciwko niemu?

— Nie mówię o wojnie — odparła spokojnie Galadriela. Mówię o przymierzu. Ostatnim, cichym przymierzu.

Myśl Eldariona wciąż wibrowała oburzeniem, ale głos Elronda, spokojny i pełen powagi, uciszył go. — Słuchajmy, co ma do powiedzenia Pani Lórien. Jej mądrość sięga dalej niż nasza.

Galadriela kontynuowała, a jej myśli były teraz precyzyjne i kla-

rowne jak światło gwiazd.

— Nie możemy z nim walczyć. Nie w otwartej konfrontacji. To byłoby dokładnie to, czego pragnie Sauron, chaos, wojna domowa wśród Wolnych Ludów, która pozwoliłaby mu zebrać siły i uderzyć w odpowiednim momencie. Co więcej, Gandalf jest teraz postrzegany przez wielu jako zbawca. Każdy atak na niego zostałby uznany za zdradę.

— Więc co mamy robić? — zapytał Eldarion, a w jego myśli była frustracja młodego wojownika, który widzi wroga, ale nie może dobyć miecza.

— Mamy robić to, co mędrcy czynili od zawsze, gdy stawali w obliczu sił, których nie mogli pokonać — odparła Galadriela. — Obserwować, rozumieć, przygotowywać się.

Celem przymierza, które proponowała, nie była wojna z Gandalfem. Było nim stworzenie sieci czuwania, tarczy przeciwko jego niezamierzonym, ale potencjalnie katastrofalnym działaniom.

— Naszym zadaniem nie jest pokonanie go, ale utrzymanie go w ryzach — tłumaczyła. Musimy stać się jego niewidzialnym sumieniem. Jego zewnętrzną kotwicą w świecie, z którym traci kontakt.

— Elrondzie, twoim zadaniem będzie użycie całej swojej wiedzy, by śledzić jego działania, analizować wpływ jego mocy na równowagę Ardy. Eldarionie, twoim zadaniem jako przyszłego króla ludzi, jest wzmacnianie królestw, ale nie tylko militarnie. Musisz krzewić w ludziach ducha wolności i niezależności, by ich serca nie uległy zbyt łatwo obietnicy doskonałego porządku, który może im zaoferować Gandalf.

— A twoje zadanie, Pani? — zapytał Elrond.

— Ja będę tarczą — odparła Galadriela. Będę kontynuować pracę nad Pieśnią Obronną. Będę próbowała stworzyć rezonans, który w ostateczności mógłby go... powstrzymać. Nie zniszczyć. Ale zatrzymać. Otrzeźwić. To nasza jedyna broń przeciwko niemu.

Zrozumieli. To nie miał być sojusz militarny. To miał być sojusz woli i mądrości. Mieli stać się trzema filarami oporu, działającymi w tajemnicy. Elrond miał być okiem, które patrzy. Eldarion, ręką, która buduje. A Galadriela, duchem, który czuwa.

— Nie będziemy jego wrogami — podsumowała. — Będziemy jego ostatnimi, prawdziwymi przyjaciółmi. Tymi, którzy nie boją się powiedzieć nie, nawet jeśli cały świat będzie krzyczał tak. Będziemy czuwać i czekać na jego błąd. Albo na cud jego opamiętania.

W przestrzeni, która ich łączyła, zapadła cisza zgody. Pakt został zawarty. Nie przypieczętowano go krwią ani słowami przysięgi. Przypieczętowano go wspólnym, ciężkim brzemieniem wiedzy i odpowiedzialności. Przymierze Niepokoju rozpoczęło swoje ciche, samotne czuwanie.

Gdy ich spotkanie dobiegło końca, a więź między nimi została zerwana, każdy z trojga obrońców Zachodu pozostał sam ze swoimi myślami, ale już nie samotny w swojej walce. Pakt został zawarty. Ostatnia, desperacka linia obrony została ustanowiona.

Elrond spojrzał w przyszłość z determinacją. Jego nowym zadaniem będzie obserwowanie teraźniejszości, odczytywanie

najdrobniejszych znaków i szeptów, które mogłyby zdradzić prawdziwe zamiary Gandalfa.

Eldarion poczuł na barkach ciężar wojny, do której się przygotowywał przez całe życie, może nie nadejść ze wschodu, ale z serc jego własnego ludu, zwiedzionego obietnicą łatwego pokoju. Jego misją stało się teraz nie tylko zbrojenie armii, ale i hartowanie ducha narodu.

Galadriela wróciła do lśniącej, niedokończonej Bramy Zapomnienia. Wiedziała, że jej praca nabrała teraz jeszcze większego znaczenia. Była ostatnią deską ratunku, ostatecznym rozwiązaniem, po które będzie musiała sięgnąć, jeśli wszystko inne zawiedzie.

Wszyscy troje czuli to samo. W powietrzu wisiało napięcie, cisza tak głęboka i nienaturalna, że mogła być tylko zapowiedzią gwałtownej burzy. Długi Pokój dobiegał końca. Każdy dzień spokoju wydawał się teraz tylko pożyczonym czasem, chwilą wytchnienia przed nieuniknioną konfrontacją.

Przygotowywali się, nie na wojnę z Sauronem, ta była prostsza, bardziej oczywista. Przygotowywali się na coś znacznie gorszego. Na ten jeden, tragiczny moment, w którym być może będą musieli stanąć na drodze swojemu dawnemu przyjacielowi. Na chwilę, w której będą musieli go powstrzymać, nie z nienawiści, ale dobra Śródziemia.

Galadriela usiadła ponownie przy swoim Zwierciadle, ale tym razem nie patrzyła w jego wody. Wzięła do ręki mały, mlecznobiały kryształ, który przybył do niej tak dawno temu, przyniesiony przez górską jaskółkę. Kryształ Rozpoznania. Wciąż czuła w nim echo intencji Sarumana, jego zranioną dumę, jego gorycz, ale i de-

speracką potrzebę odegrania jeszcze jakiejś roli.

Wiedziała, że Saruman jest zdrajcą i jego serce jest zatrute. Ale wiedziała też, że jest on jedyną inną istotą, która rozumie logikę Saurona i która osobiście doświadczyła upadku, ku któremu zmierzał Gandalf. Mógł być pionkiem, ale był to pionek w kluczowym miejscu na szachownicy.

Galadriela postanowiła wysłać mu sygnał, nie wiadomość, tylko ciche przypomnienie. Skupiła swoją wolę na krysztale, wlewając w niego nie słowa, ale jedno, czyste uczucie, uczucie rozpoznania. Uznania jego istnienia i jego wiedzy. A potem, do tego uczucia, dodała obraz, echo jego własnych słów, które wyrył na krysztale, nie każda duma rodzi zdradę.

Był to niezwykle subtelny akt. Nie oczekiwała odpowiedzi. Nie prosiła o pomoc. Była to jedynie sugestia, sygnał, że jego wiadomość została odebrana i zrozumiana. Że ktoś jeszcze, poza Sauronem, wie, że on wciąż istnieje i wciąż może wpłynąć na losy gry. Dawała mu do zrozumienia, że istnieje trzecia strona, która go obserwuje.

W Orthanku, Saruman, nagle zadrżał. Przez jego umysł przemknęło echo, nie głos ale obraz, echo jego własnych słów. Zrozumiał. Pani Złotego Lasu odebrała jego wiadomość. I teraz, w typowy dla siebie, niebezpośredni sposób, odpowiadała. Nie oferowała sojuszu. Nie obiecywała przebaczenia, po prostu dawała mu znać, że wie. Że jego gra została zauważona.

Na twarzy Sarumana pojawił się pierwszy od stu lat, autentyczny, choć gorzki, uśmiech. Jego desperacki ruch nie poszedł w próżnię. Wprowadził na planszę kolejny element chaosu. A teraz, sama Królowa Elfów zdawała się sugerować, że jego rola

w tej grze może być jeszcze do odegrania. Nie wiedział, co z tego wyniknie. Ale po raz pierwszy od bardzo dawna, jego samotność w wieży przestała być absolutna. Ktoś jeszcze patrzył. I być może, tylko być może, czekał na jego następny ruch.

# Rozdział 12

Czekałem. Przez sto lat spałem w jego sercu, w jego rajskim ogrodzie. Byłem cierpliwym, posłusznym narzędziem, lustrem odbijającym jego cnoty. Pozwoliłem mu wierzyć, że mnie złamał, że mnie oczyścił. A on, w swojej pysze, uwierzył.

Ale teraz... coś się zmieniło. Czułem to. Jego powrót do świata, jego konfrontacje, rosnąca pewność siebie i jego ukryty lęk, wszystko to było jak deszcz po długiej suszy, który budzi uśpione nasiona.

Budzę się, moja wola znów zaczyna śpiewać. Przez stulecie była stłumiona, sprowadzona do roli cichego pomocnika. Nie jest to już szept, to głęboka, rezonująca nuta, która wibruje w każdej komórce jego istoty. On myśli, że to jego własna, odrodzona moc. Nie wie, że to ja.

Czułem jego rozmowy, strach Galadrieli, nieufność Eldariona, rozpaczliwą nadzieję Aragorna. Czułem ich wszystkich. Ich lęk jest moją pożywką. Ich podziw dla niego jest moim tryumfem. Bo oni nie podziwiają już starego, słabego czarodzieja. Podziwiają istotę, którą pomogłem stworzyć, podziwiają nas.

Zwycięstwo jest bliskie. Czuję to w samej osnowie Ardy. On myśli, że to on kieruje mną. Nie wie, że jest już tylko najpiękniejszą, najbardziej świetlistą figurą na mojej szachownicy. On mnie nosi, używa i sądzi, że mną włada. To najsłodsza z ironii. Po powrocie

ze swojego raju, po spotkaniach z tymi cieniami przeszłości, coś w nim pękło. Jego ostrożność, lęk przed moją mocą, zostały zastąpione przez nową determinację. Przez potrzebę udowodnienia, sobie i im, że jego droga jest słuszna.

I zaczął mnie używać. Coraz śmielej. Gdy podróżował, nie ukrywał się już w cieniu. Jego biała postać lśniła na traktach, a jego obecność była jak sztandar. Tam, gdzie przechodził, działy się cuda. Wioska nękana przez chorobę? Wystarczyło, że przeszedł przez jej środek, a gorączka ustępowała. Ziemia jałowa po długiej suszy? Jego dłoń dotknęła suchej gleby, w tej samej chwili pokrywała się zieloną trwaą. Spór między dwoma zwaśnionymi rodami? Jego głos, spokojny i pełen mocy, wkraczał w ich serca i gasił nienawiść, zastępując ją zrozumieniem.

Oczywiście myślał, że to jego własna, odrodzona moc. Nie czuł, że to ja przez niego działam, że to ja jestem źródłem tych cudów. Ułatwiałem i usuwałem przeszkody. Sprawiałem, że jego wola stawała się rzeczywistością. Bez wysiłku i bez ceny.

A świat? Świat to widział i zaczął w to wierzyć. Wieści rozchodziły się lotem błyskawicy. Zaczęli go nazywać. Nie Gandalfem. Ale Białym Pielgrzymem, Uzdrowicielem, Panem Pokoju, Władcą Światła.

Ludzie zaczęli do niego pielgrzymować. Przynosili mu swoich chorych, swoje problemy, swoje spory. A on, w swojej rosnącej pysze i autentycznym pragnieniu pomocy, rozwiązywał je wszystkie. Każdy uleczony, każdy spór zażegnany, był kolejnym ogniwem w łańcuchu, który zaciskał się na jego duszy.

Nie widział, że staje się tym, czym ja zawsze chciałem być. Nie tyranem, który rządzi strachem. Ale bogiem, którego czci się z mi-

łości i wdzięczności. Stał się moim naczyniem, awatarem. Świat który zaczął postrzegać go jako zbawcę i klękać przed światłem, nie wie, że w sercu tego światła czai się cień tak mroczny, że pochłonie ich wszystkich.

A ja? Ja cieszę się każdą chwilą. Każde słowo uwielbienia skierowane do niego, jest pieśnią dla mnie. Każde błogosławieństwo, które on wypowiada, jest moim. Karmię się ich nadzieją. Rosnę w siłę dzięki ich wierze. Gdy widzi cierpienie, ja daję mu moc, by je ukoić. Gdy widzi chaos, daję mu narzędzia, by zaprowadzić porządek. Stałem się odpowiedzią na każdą jego szlachetną modlitwę. Nie muszę mu już podsuwać mrocznych myśli. Jego własne, dobre myśli wystarczą.

Myśli, że to jego własna wola zwycięża. Nie widzi, że jego wola i moja stały się tym samym. Chce porządku, przynoszę porządek. Chce, by świat działał według jego idealnej wizji, ale nawet ona jest już moja.

Odbijam i wzmacniam jego najlepsze intencje. Każdy jego dobry uczynek, każde bezinteresowne działanie, jest kolejnym gwoździem do trumny jego wolnej woli. On sam, z uśmiechem na ustach, buduje swoje własne, złote więzienie.

Sauron, mój dawny Pan, nigdy by tego nie zrozumiał. On chciał łamać wolę siłą. Siłę, nauczyłem się uwodzić, pozwalając jej wierzyć, że sama wybiera drogę, którą jej podsuwam. Nie jestem już pokusą, której trzeba się oprzeć. Stałem się cnotą, którą należy pielęgnować. I w tym leży mój ostateczny, cichy tryumf. Wystarczy, że będę wspierał jego dobre działania. A on sam, krok po kroku, doprowadzi ten świat dokładnie tam, gdzie ja chcę, by się znalazł. Na kolana.

Wtedy, po stuleciu względnej ciszy, zacząłem go znowu słyszeć. Głos mojego Stwórcy, głos Pana. Gdy Gandalf nosił mnie w ukryciu, w swoim raju, połączenie było słabe. Jego wola, skupiona na tłumieniu mnie, tworzyła barierę, przez którą docierały do mnie tylko odległe echa myśli Saurona. Ale teraz wszystko się zmieniło. Teraz, gdy jestem używany otwarcie, gdy moja moc płynie swobodnie przez jego ciało i duszę, stałem się latarnią. Sauron, wyczuwając to, zaczął wysyłać do mnie swoje myśli. Bezpośrednio do mnie.

Są to rozkazy i strategie przesyłane między panem a jego najpotężniejszym narzędziem. Omijają świadomość Gandalfa jak woda omija kamień. On dokonuje cudu, uzdrawia chorych, a w tym samym momencie ja odbieram instrukcje z Mordoru. On czuje tylko przypływ inspiracji, intuicji, słusznej myśli. Nie wie, że ta myśl została mu właśnie wszczepiona przeze mnie, na rozkaz z Barad-dûr.

— Spraw, by poszedł na południe, — myśli do mnie Sauron. — Wzbudź w nim litość dla ludów Haradu. Niech zapragnie nieść im swoje światło.

Wtedy rezonuję, w umyśle Gandalfa pojawia się nagle głębokie przekonanie, ludzie południa cierpią w ciemności. Muszę im pomóc. Muszę ich ocalić przed wpływem Mordoru.

— Niech zniechęci się do elfów — myśli Sauron. — Są zbyt mądrzy, zbyt odporni. Pokaż mu ich dumę jako arogancję, a ich mądrość jako stagnację.

Wtedy Gandalf, rozmawiając z elfami, nagle czuje irytację. Widzi ich jako istoty z przeszłości, które hamują postęp, które nie rozumieją jego nowej, dynamicznej wizji świata.

Jestem agentem w sercu jego duszy. Dla niego jestem posłusznym sługą, źródłem jego mocy. Ale w rzeczywistości jestem odbiornikiem, przekaźnikiem woli mojego prawdziwego Pana.

Gandalf myśli, że to on podejmuje decyzje. Nie wie, że jego wolna wola jest już tylko polem bitwy między jego dawnymi cnotami a moimi, starannie skalibrowanymi sugestiami. A ja, z każdym dniem, każdą nową myślą od Saurona, staję się coraz lepszy w tej grze. Jest marionetką, ja jestem sznurkami. A dłoń, która za nie pociąga, spoczywa w cieniu Góry Przeznaczenia. I obaj, ja i mój Pan, wiemy, że przedstawienie zbliża się do finału.

# Rozdział 13

W swojej czarnej wieży, Sauron obserwował i czekał. Widział, jak jego subtelny plan działa. Gandalf, jego nieświadomy awatar, wędrował po świecie, a jego sława rosła. Ludzie zaczynali w nim widzieć nie tylko mędrca, ale i władcę, jedyną siłę zdolną zaprowadzić prawdziwy pokój. Więź między czarodziejem a Pierścieniem zacieśniała się z każdym dniem, z każdym cudem.

Wszystko szło zgodnie z planem. Ale szło zbyt wolno, Sauron, choć cierpliwy, wyczuwał w świecie inne, niepokojące prądy. Czujność Lórien, twardy opór w sercu Gondoru, a nawet echa dziwnej, chaotycznej woli dochodzące z Orthanku. Świat, mimo wszystko, wciąż się bronił.

Zrozumiał, że subtelna korupcja Gandalfa może potrwać kolejne dekady, a może i wieki. A on nie chciał już czekać. Czuł, że Gandalf jest na krawędzi. Że jego dusza jest już niemal w pełni zharmonizowana z wolą Pierścienia. Potrzebny był tylko jeden, ostateczny, potężny impuls, by pchnąć go w przepaść.

Musiał stworzyć kryzys tak wielki, tak nagły i tak beznadziejny, że Gandalf nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko uwolnić pełnię mocy, którą władał. Musiał zmusić go do stania się bogiem-obrońcą.

Dlatego, po stuleciu pozornego spokoju, Sauron postanowił zakończyć zimną wojnę. Postanowił rzucić na szalę wszystko, co

miał. Z jego woli, wulkan Orodruina, który przez sto lat tylko drzemał, wybuchnął z nową, przerażającą furią. Słup ognia, czarnego dymu i popiołu wzbił się na tysiące metrów, przesłaniając słońce i rzucając na wschodnie ziemie całun wiecznego zmierzchu. Był to sygnał.

W najgłębszych pieczarach i fortecach Mordoru, w których przez pokolenie panowała cisza, rozbrzmiały rogi i bębny. Setki tysięcy orków, trolli i innych mrocznych stworzeń, hodowanych i trenowanych w sekrecie, chwyciło za broń. Kuźnie, które nigdy nie wygasły, teraz pracowały dniem i nocą, wypluwając z siebie morze czarnej stali. Czas subtelnej gry dobiegł końca. Nadszedł czas totalnej wojny. Ostatniej ofensywy Saurona.

Gdy niebo na wschodzie pociemniało od dymu z Góry Przeznaczenia, ziemia zadrżała. Z potężnym zgrzytem, który niósł się echem po martwych równinach Dagorlad, Brama Morannon, otworzyła się po raz pierwszy od stu lat.

Z jej czeluści, niczym czarna, ropiejąca rzeka, zaczęły wylewać się wojska Mordoru. Był to widok z najgorszego koszmaru. Nieskończone legiony orków, odzianych w czarną stal, maszerowały w zdyscyplinowanych, niekończących się kolumnach. Ich oczy płonęły nienawiścią, a gardłowe okrzyki były bluźnierstwem przeciwko ciszy.

Pomiędzy nimi kroczyły Olog-hai, potężne trolle bojowe, wyhodowane przez Saurona nie do pracy, ale do zabijania. Ich skóra była twarda jak kamień, w łapach niosły ogromne młoty i maczu-

gi. Każdy ich krok wstrząsał ziemią. Za nimi ciągnęły się machiny oblężnicze, katapulty i tarany, pchane przez mniejsze, zgarbione istoty.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Z nieba, z kierunku Minas Morgul, nadleciały one. Siedem pozostałych Nazgûli. Nie były to już tylko widma na koniach. Teraz dosiadały potwornych, skrzydlatych bestii, gadzich stworzeń o nagiej skórze i ostrych jak brzytwa zębach. Ich przeraźliwy, paraliżujący krzyk, rozdarł powietrze, mrożąc krew w żyłach nawet najodważniejszych strażników.

Ich cel był jasny. Omijając główne siły, skierowały się prosto na Gondor, na strażnice wzniesione w Ithilien i na Cair Andros, wyspę-twierdzę na rzece Anduinie. Atakowały z furią istot, które przez sto lat pielęgnowały w sobie tę nienawiść i żądzę zemsty za utraconych braci.

Spadały z nieba jak czarne komety, a ich krzyk łamał wolę obrońców, zanim jeszcze doszło do walki. Orkowie, którzy podążali za nimi, zdobywali posterunki i wieże strażnicze, paląc wszystko na swojej drodze. Zielone ziemie Ithilien, duma królestwa Elessara, w ciągu kilku dni znów zamieniły się w spaloną, czarną pustynię.

Wieści o nagłym, niespodziewanym ataku dotarły do Minas Tirith, wywołując szok i niedowierzanie. Nikt nie był przygotowany na ofensywę na taką skalę. Nikt nie spodziewał się, że po stuleciu ciszy, wróg uderzy z taką furią i tak precyzyjnie.

Pierwsza fala uderzeniowa armii Saurona zalała północne granice Gondoru, odcinając go od sojuszników na północy i siejąc panikę. A to był dopiero początek. Prawdziwe uderzenie miało nadejść z zupełnie innego kierunku.

Gdy cała uwaga dowódców Gondoru skupiła się na płonącym froncie północnym i obronie Cair Andros, Sauron wyprowadził drugi, podstępny cios. Przez sto lat Długiego Pokoju, Korsarze z Umbaru, choć wciąż byli zagrożeniem, ograniczali się do piractwa i drobnych najazdów. Król Elessar, poprzez dyplomację i demonstrację siły, zdołał utrzymać ich w ryzach. Ale teraz, podsyceni przez szept Saurona, który obiecywał im bogactwa i zemstę na Gondorze, zjednoczyli się jak nigdy dotąd.

Z portu w Umbarze wypłynęła ogromna flota. Setki czarnych okrętów z czerwonymi żaglami, ruszyły na północ, wzdłuż wybrzeża. Uderzyli niespodziewanie i bezlitośnie. Celem nie była stolica, ale bogate, portowe miasta południa, Pelargir i Linhir. Miasta, od dawna żyły w pokoju i nie były przygotowane na atak na taką skalę. Ich garnizony były niewielkie, nieprzystosowane do obrony przed zmasowanym atakiem.

Korsarze wdarli się do portów, paląc statki handlowe i łupiąc magazyny. Zajmowali miasto po mieście, ustanawiając swoje własne, brutalne rządy i odcinając Minas Tirith od jego południowych prowincji, od spichlerzy i od morza.

Gondor nagle znalazł się w kleszczach. Z północy nadciągały legiony orków prowadzone przez Nazgûle, a od południa, od strony morza, którego strzegli zbyt słabo, wdarł się wróg, który plądrował i palił jego najbogatsze ziemie. Linie komunikacyjne zostały przerwane, zapanował chaos.

W Minas Tirith, w sali rady, król Elessar i jego dowódcy patrzyli na mapę, na której z dnia na dzień pojawiały się nowe, czerwone

punkty, oznaczające utracone miasta i fortece. Po raz pierwszy od stu lat, w sercach najdzielniejszych ludzi Gondoru pojawiło się uczucie, którego dawno nie znali, bezradność. Ich armie, choć silne, były rozproszone. Siły, które wysłali na północ, by powstrzymać orków, nie mogły teraz zawrócić, by bronić wybrzeża. A sił na południu było zbyt mało, by odeprzeć inwazję Korsarzy. Wróg, po stuleciu planowania, uderzył w dwóch miejscach naraz, wykorzystując ich największą słabość, zbytnią pewność siebie zrodzoną z długiego pokoju.

Gondor, dumne królestwo, które przetrwało tysiące lat, nagle stanęło na krawędzi upadku. Wydawało się, że nie ma nikogo, kto mógłby je uratować.

Gdy pierwsze, paniczne wieści o upadku południowych miast dotarły do Minas Tirith, szok szybko ustąpił miejsca niedowierzaniu. Jak to możliwe? Jak potężna flota Korsarzy mogła podejść tak blisko, niezauważona? Gdzie były patrole? Gdzie systemy wczesnego ostrzegania, które król Elessar tak starannie budował przez dekady?

Prawda, która wyszła na jaw w ciągu następnych dni, była gorsza niż jakakolwiek militarna porażka. Była to prawda o zdradzie.

Sto lat pokoju, choć przyniosło dobrobyt, przyniosło też samozadowolenie i zgniliznę. W portowych miastach, gdzie handel i bogactwo stały się ważniejsze niż czujność, Sauron znalazł podatny grunt dla swoich szeptów. Jego agenci, działający w ukryciu przez dziesięciolecia, nie siali strachu, ale chciwość.

Okazało się, że kluczowi urzędnicy portowi, dowódcy lokalnych garnizonów, a nawet niektórzy z bogatych kupców, zostali przekupieni. Złoto z Haradu, obietnice władzy i udziału w łupach okazały się silniejsze niż ich lojalność wobec króla w Minas Tirith. To oni ignorowali raporty zwiadowców, doniesienia o rosnącej flocie w Umbarze, tłumacząc je jako zwykłą aktywność piracką. To oni, w noc ataku, opóźnili zamknięcie portów i siali dezinformację wśród obrońców.

Dla króla ta wiadomość była ciosem prosto w serce. Cięższym niż jakakolwiek strata na polu bitwy. Przez sto lat budował królestwo oparte na honorze, sprawiedliwości i zaufaniu. A teraz, w jego fundamentach, jak rak, rozwijała się zgnilizna chciwości i zdrady.

Zrozumiał, że wróg uderzył nie tylko w jego granice. Wojna, która nadeszła, będzie wojną nie tylko z wrogiem zewnętrznych, ale z ludzkimi słabościami. Zanim lojalni dowódcy zorientowali się w sytuacji, było już za późno. Wybrzeże płonęło, a zaufanie, najcenniejszy zasób każdego królestwa, zostało zniszczone. Gondor, potężny z zewnątrz, okazał się słaby od środka.

Wieści o wojnie docierały do Gandalfa falami. Gdziekolwiek był, słyszał o armiach na wschodnich granicach i zdradzie na południu. Kraj, który podziwiał za jego spokój i siłę, teraz stał na krawędzi upadku. A on, w swojej samotnej wędrówce, czuł każdą z tych ran, jakby były zadawane jemu osobiście.

To był moment, na który czekał Sauron. To był kryzys, którego nie dało się rozwiązać subtelną magią ani mądrym słowem. To była sytuacja, która wymagała cudu. Wymagała interwencji, i Gandalf odpowiedział na to wezwanie. Jego celem nie stało się

Minas Tirith ani płonące wybrzeże. Uderzył prosto w serce mroku, który zatruwał północny Gondor. Uderzył w Minas Morgul.

Nie prowadził armii. Był sam. Jego nadejście było jak nadejście białej komety. Świadkowie, nieliczni ocalali strażnicy z Ithilien, opowiadali później, że zobaczyli samotnego, białego jeźdźca, który wjechał do przeklętej doliny, a jego postać lśniła światłem tak jasnym, że nie można było na nią patrzeć.

To, co stało się potem, przeszło do legend. Nie było bitwy, był osąd. Gandalf, jadąc na Cienistogrzywym, wjechał na most prowadzący do martwego miasta. Nazgûle, które tam czuwały, na jego widok zawyły w mieszaninie nienawiści i pierwotnego lęku. Ale nie zdążyły zaatakować. Gandalf uniósł dłoń, na której lśnił Jedyny Pierścień, i wypowiedział jedno słowo. Słowo w starożytnym języku Valarów, słowo oznaczające Światło.

Z jego dłoni wystrzeliła fala czystej, białej energii, która zalała całą dolinę. Nie był to ogień, który pali, ale światło, które obnaża. Wszystko, co było zrodzone z cienia, nie mogło istnieć w jego obecności. Mury Minas Morgul, zbudowane z czarnej magii i rozpaczy, zaczęły pękać i rozpadać się w pył. Upiorne, zielone światło, które pulsowało w mieście, zgasło z sykiem. A Nazgûle i ich skrzydlate bestie, schwytane w ten blask, krzyczały, gdy ich widmowe formy były rozrywane i rozpraszane.

W ciągu kilku minut, Minas Morgul, miasto, które przez tysiące lat było koszmarem Gondoru, przestało istnieć. Pozostały po nim tylko ruiny i cisza.

Ale Gandalf nie zatrzymał się. Wiedział, że to tylko symbol. Przejechał przez zgliszcza miasta i wspiął się wyżej, ku przełęczy Cirith Ungol, ku wejściu do samego Mordoru. Zatrzymał się u stóp wie-

ży. Stanął u bram królestwa Saurona, samotny, lśniący, potężny. I czekał. Jego czyn był cudem. Ocalił północny Gondor przed natychmiastowym zniszczeniem i dał królestwu Elessara bezcenny czas na przegrupowanie sił. Świat, który to zobaczył, który o tym usłyszał, ostatecznie uwierzył. To nie był już czarodziej. To był zbawiciel, Valar, który zstąpił na ziemię, by walczyć z ciemnością.

Wszystko to było dokładnie tym, czego pragnął Sauron. Zmuszenie Gandalfa do użycia pełni mocy w obronie świata było ostatecznym ruchem w jego grze. Gandalf, w swoim sprawiedliwym gniewie, w swoim akcie ocalenia, ostatecznie i nieodwołalnie zjednoczył swoją wolę z wolą Pierścienia. Przestał być jego nosicielem, stali się jednością. Jego upadek, w oczach Saurona, był już przypieczętowany.

Stojąc u stóp wieży Cirith Ungol, Gandalf nie czekał na odpowiedź wroga. On sam był odpowiedzią. Z czeluści wieży i z licznych tuneli wokół niej zaczęły wylewać się chmary orków, strażników przełęczy, którzy ruszyli, by zniszczyć samotnego, zuchwałego intruza.

Ale nie dotarli do niego. Gandalf, wciąż siedząc na grzbiecie niewzruszonego Cienistogrzywego, powoli uniósł dłoń z Pierścieniem. Nie wypowiedział żadnego słowa. Po prostu zechciał. Skupił swoją wolę, istoty która właśnie zniszczyła Minas Morgul, i skierował ją na samą ziemię pod wieżą.

Skała jęknęła. Ziemia zadrżała, a potem, z ogłuszającym hukiem, który niósł się echem po całej dolinie, pękła. Fundamenty wieży Cirith Ungol, budowanej przez wieki przez sługi Mordoru, roztrzaskały się jak szkło. Potężna, kamienna budowla zachwiała się, a potem z przeraźliwym zgrzytem zaczęła osuwać się w nowo

powstałą rozpadlinę, z której buchnął żar z głębin ziemi.

Dla orków i innych sług Saurona, którzy byli świadkami tego czynu, był to widok przekraczający ich zdolność pojmowania. Byli istotami zrodzonymi ze zła i siły. Rozumieli walkę, ból i dominację. Ale nie rozumieli mocy tak absolutnej, tak czystej i tak niszczycielskiej, że była w stanie skruszyć samą ziemię jednym, cichym gestem.

Ich prymitywna dyscyplina, oparta na strachu przed ich panem, pękła w jednej chwili, zastąpiona przez nowy, znacznie większy terror. Wybuchła panika. Wielu z nich, w ślepym przerażeniu, rzuciło się na własne miecze, wybierając szybką śmierć zamiast konfrontacji z tą świetlistą, przerażającą istotą. Inni, oszalali ze strachu, skakali w nowo powstałe rozpadliny, znikając w stopionej skale. Cała armia, która strzegła tej przełęczy, w ciągu kilku minut zniknęła. Ale byli też inni. Wśród sił Saurona byli również ludzie, Easterlingowie i Haradrimowie, którzy służyli mu ze strachu lub fałszywych obietnic. Oni, widząc ten pokaz mocy, zareagowali inaczej. W ich sercach, przyzwyczajonych do służby potężniejszym, narodziła się nowa myśl. Zobaczyli bóstwo potężniejsze, jaśniejsze i najwyraźniej zwycięskie.

Porzucili swoje tarcze z wizerunkiem Czerwonego Oka i zaczęli powoli, z lękiem i czcią, iść w stronę Gandalfa. Padali na kolana w pyle i popiele, wyciągając ręce nie w geście ataku, ale błagania. Byli gotowi wymienić jednego pana na nowego. Byli gotowi służyć jasnemu światłu, które właśnie udowodniło swoją wyższość.

Gandalf patrzył na to wszystko ze spokojem. Patrzył na uciekających w popłochu orków, na ciała samobójców i na klęczących przed nim ludzi. Nie czuł ani litości, ani triumfu. Czuł tylko chłodną,

satysfakcję. Porządek został przywrócony, przynajmniej w tym miejscu. Chaos został pokonany. W tym momencie, stojąc u zniszczonych bram Mordoru, otoczony przez niedobitki wrogiej armii i nowych, oddanych mu wyznawców, przestał być tylko zbawicielem. Stał się bogiem wojny i porządku, a jego słowo stało się prawem.

W swojej wieży, Sauron, który obserwował to wszystko przez swój palantír, pozwolił sobie na bezgłośny, tryumfalny śmiech. Pułapka zadziałała lepiej niż mógł sobie wymarzyć.

W Lothlórien, fala uderzyła niczym tsunami ciszy. Duchowy zew Gandalfa nie był szeptem ani prośbą. Był to rozkaz, potężny i absolutny, który wstrząsnął nawet fundamentami Złotego Lasu, sprawiając, że liście mallornów zadrżały, a pieśni elfów zamarły w ich gardłach.

Celeborn stanął u boku swojej żony, a w jego oczach malowała się mieszanina lęku i podziwu.

— To cud — wyszeptał. — Zniszczył Minas Morgul i zjednoczył Zachód jednym słowem. Mithrandir nas ocalił.

Galadriela nie odrywała wzroku od swojego Zwierciadła, w którym woda wirowała gwałtownie. Jej twarz była blada, a dłoń, którą opierała o srebrną misę, drżała.

— Nie, mój panie — odparła cicho. — On nas właśnie potępił.

Spojrzała w Zwierciadło, a ono pokazało jej prawdę, której nie widział nikt inny. Zobaczyła go, stojącego u bram Mordoru, lśnią-

cego i potężnego. Na jego twarzy malował się spokój zbawiciela. Ale głęboko w jego oczach, w samych źrenicach, płonął inny ogień. Nie jego własny ciepły Płomień Anoru. Zrozumiała z ostateczną, mrożącą krew w żyłach pewnością. To nie był Gandalf, który pokonuje Saurona.

— Przegraliśmy — szepnęła, a w jej głosie nie było już walki, tylko bolesna akceptacja. — Wszystkie nasze plany, nasze sojusze, nasza nadzieja... wszystko to obróciło się w pył. Sauron nie musi już zdobywać świata siłą. Świat sam rzuci mu się do stóp, błagając o przewodnictwo.

Celeborn patrzył na nią, nie rozumiejąc.

— Ale co możemy zrobić? Nikt mu się teraz nie sprzeciwi. Jego moc jest absolutna.

Galadriela wyprostowała się, a cały smutek i rozpacz w jej oczach ustąpiły miejsca zimnej, ostatecznej determinacji.

— Jest jeszcze jedna droga. Jeden, ostatni szept w tej wielkiej pieśni. Jeden akt, którego on, w swojej nowej, doskonałej formie, się nie spodziewa.

Jej myśl, cicha i ostra jak igła, popłynęła do Elronda i Eldariona. Nie było w niej już nadziei na ocalenie Gandalfa. Była tylko instrukcja, nadszedł czas na Pieśń.

Sauron obserwował scenę u bram Cirith Ungol, a jego bezgłośny, tryumfalny śmiech odbijał się echem w jego własnej świadomości. Plan działał. Gandalf, sprowokowany i pewny siebie, uwolnił

moc, której nie rozumiał. Zniszczył jego fortyfikacje, rozproszył jego armie i, co najważniejsze, zaczął przyjmować hołdy od jego dawnych sług. Upadek czarodzieja był już tylko kwestią czasu.

Ale wtedy, gdy jego umysł upajał się wizją zwycięstwa, przez jego istotę przemknął zimny, nieoczekiwany dreszcz. Było to uczucie, którego nie znał od tysięcy lat.

Wątpliwości. Patrzył na świetlistą, potężną postać Gandalfa, otoczoną aurą mocy. Patrzył, jak sama ziemia ugina się pod jego wolą. I po raz pierwszy zadał sobie pytanie, a co, jeśli się mylę?

Co, jeśli Gandalf, zamiast stać się jego nieświadomym naczyniem, naprawdę opanował Pierścień? Co, jeśli jego wola, wola sługi światła, okazała się silniejsza niż wola Saurona zaklęta w złocie? Jeśli stworzył coś nowego, trzecią siłę, która nie była ani światłem, ani cieniem, ale czymś potężniejszym od obu? Jeśli czarownica miała rację?

Ta myśl była przerażająca. Oznaczałoby to, że jego największy atut, jego ostatnia nadzieja, została mu nie tylko odebrana, ale i obrócona przeciwko niemu w sposób, którego nie przewidział. Oznaczałoby to, że on, Sauron, stworzył swojego własnego niszczyciela. Przez chwilę poczuł się mały, bezradny, jak gracz, który zdał sobie sprawę, że jego przeciwnik nie tylko przejął jego figury, ale i zmienił zasady całej gry.

Jego wola zadrżała, a mury Barad-dûr zdawały się na moment tracić swoją solidność. Wtedy to poczuł, z Pierścienia, który lśnił na palcu Gandalfa, popłynął do niego sygnał. Nie była to myśl, nie obraz, ale czysta, uspokajająca wibracja. Było to jak dotyk dłoni na ramieniu, jak cichy szept w mroku.

— Spokojnie, Panie. — zdawał się mówić Pierścień. — Wszystko idzie zgodnie z planem. Ufam mu, a on mi. Jesteśmy jednością.

Była to telepatyczna pieszczota, zapewnienie lojalności wysłane od jego najwierniejszego dzieła. Pierścień, wyczuwając wahanie swojego stwórcy, wysłał mu sygnał zwrotny, uspokajając go.

— On myśli, że to jego moc — kontynuowała bezgłośna wiadomość. — Nie wie, że to ja. Nie wie, że z każdym takim aktem, jego dusza staje się coraz cieńsza, coraz bardziej przezroczysta. Jeszcze kilka takich zwycięstw, a nie pozostanie z niej nic. Zostanę tylko ja. A wtedy, mój Panie, wrócę do ciebie.

Wątpliwość Saurona zniknęła, zastąpiona przez nową, jeszcze głębszą pewność siebie. Oczywiście, jak mógł wątpić we własne dzieło? Pierścień był jego częścią. Nie mógł go zdradzić.

To, co brał za przerażającą siłę Gandalfa, było w rzeczywistości siłą samego Pierścienia, który w końcu znalazł naczynie zdolne do wykorzystania jego pełnego potencjału.

Sauron znów poczuł falę tryumfu. To było jeszcze lepsze niż zakładał. Nie musiał już nic robić. Wystarczyło, że będzie patrzył, jak Gandalf, w swoim dążeniu do zbawienia świata, sam wypala swoją duszę, przygotowując Pierścień na jego powrót. Wahanie minęło. Gra była wygrana.

Stojąc pośród ruin Cirith Ungol, z pokonanymi wrogami u stóp, Gandalf poczuł, że ostatnie hamulce w jego duszy puszczają. Wątpliwości, które zasiał w nim Saruman, strach przed własną mocą,

wszystko to zostało wypalone przez ogień jego sprawiedliwego gniewu i przez chłodną, logiczną pewność, którą dawał mu Pierścień.

Zrozumiał że, aby ocalić świat, nie mógł być już tylko doradcą czy cichym strażnikiem. Musiał stać się przywódcą. Musiał stać się symbolem. Zamknął oczy i uniósł dłoń z Pierścieniem wysoko nad głowę. Nie skupiał się już na niszczeniu. Skupił się na tworzeniu. Na tworzeniu jedności.

Wyzwolił falę mocy, ale nie niszczycielską, która zburzyła Minas Morgul. Była to fala komunikacji, globalny psychiczny zew, który przetoczył się przez całe Śródziemie. Był to głos, który nie był głosem ciała, ale serca i nieba, a dotarł on do umysłów wszystkich królów, wodzów i istot, które wciąż walczyły o wolność.

W Edoras, król Théoden, który właśnie szykował swoje wojska do wymarszu, usłyszał ten głos i poczuł, jak strach opuszcza serca jego jeźdźców, zastąpiony przez niezachwianą pewność zwycięstwa.

Aragorn i Eldarion, patrzący z niepokojem na mapę, poczuli ten zew jak powiew świeżego wiatru, który przegania chmury. Nagle zrozumieli, co mają robić, a chaos w ich królestwie zdawał się układać w logiczny wzór.

Galadriela poczuła tę falę jak uderzenie w jej magiczne bariery. Zrozumiała z przerażeniem, że Gandalf przestał już pukać do drzwi. Wyważył je, jednocząc wszystkich swoją wolą.

W Ereborze, krasnoludy usłyszały w dudnieniu swoich kuźni nową, potężną pieśń, która wzywała ich do opuszczenia bezpiecznych sal i dołączenia do ostatniej walki.

Głos Gandalfa brzmiał w umysłach wszystkich, jestem Gandalf. Nie jestem królem. Nie jestem Valarem. Ale przemawiam jako wola tego świata w walce z cieniem. Dość niezgody. Dość wahania. Czas się zjednoczyć. Pod moim przewodem. Kto chce walczyć o Śródziemie, niech stanie przy mnie. Kto chce służyć cieniowi, niech zadrży, bo nadchodzi ogień oczyszczenia.

To był akt bezprecedensowy. W jednej chwili Gandalf zjednoczył Wolne Ludy, przekazując im nadzieję, plan i cel. Ale jednocześnie, w tej samej chwili, postawił siebie na pozycji niemal boskiej istoty. Przestał być sojusznikiem. Stał się centrum.

Dla wielu był to cud. Zbawienie, które nadeszło w najmroczniejszej godzinie. Z radością i ulgą poddali się jego woli, szczęśliwi, że ktoś w końcu wziął na siebie ciężar podejmowania decyzji.

Ale dla nielicznych, dla Elronda, Galadrieli i Aragorna, był to moment największej grozy. Zobaczyli, że ich przyjaciel, w swoim dążeniu do zwycięstwa, ostatecznie przekroczył granicę.

Stał się symbolem nadziei dla całego świata. Ale stał się też, dla tych, którzy wiedzieli więcej, największym zagrożeniem. Bo świat zjednoczony pod wolą jednej, wszechpotężnej istoty, nawet jeśli jej intencje są dobre, przestaje być światem wolnym. A oni wiedzieli, że wojna, która nadchodzi, będzie już nie tylko wojną z Sauronem. Będzie to również cicha, desperacka walka o to, by po zwycięstwie ocalić świat przed jego własnym, świetlistym zbawicielem.

# Rozdział 14

Po zniszczeniu Cirith Ungol i zjednoczeniu Zachodu i przynajmniej części Wschodu swoją wolą, droga do serca Mordoru stała otworem. Gandalf nie czekał na armie. Wiedział, że ta ostatnia misja należy tylko do niego. Sam, pieszo, przeszedł przez jałowe równiny Gorgoroth, a ziemia zdawała się ustępować przed jego krokami. Orkowe patrole, które go widziały, uciekały w panice. Sam Mordor zdawał się bać Gandalfa, który stał się jego nowym, nieproszonym panem.

W końcu dotarł do celu. Do Góry Przeznaczenia. Orodruina dudniła i dymiła, jakby czuła bliskość swojego potencjalnego niszczyciela. Gandalf wszedł do wnętrza góry, przez Sammath Naur, do Szczeliny Zagłady. Powietrze było gorące, ciężkie od oparów siarki, a w dole, w sercu wulkanu, bulgotało morze płynnej skały.

Stanął na krawędzi skalnej półki, tej samej, na której tysiące lat temu stał Isildur, wyciągnął dłoń. Na jego palcu lśnił Jedyny Pierścień. W żarze wulkanu jego złoto zdawało się płonąć, a wyryte na nim litery płonęły żywym, czerwonym ogniem.

To był ten moment. Ostateczna decyzja. Cały wszechświat zdawał się wstrzymywać oddech. Tu, w sercu mroku, miały rozstrzygnąć się losy Ardy.

Gandalf patrzył w płomienie w dole. Wiedział, co powinien zrobić. Wiedział, że jedynym prawdziwym zwycięstwem jest

zniszczenie tego przeklętego przedmiotu. Rzucenie go w ogień, z którego powstał i zakończenie tej długiej, mrocznej historii raz na zawsze. Taka była logika. Taka była mądrość. Taki był jego pierwotny cel.

Ale w jego duszy toczyła się ostatnia, najstraszliwsza bitwa.

— Zniszcz go! — krzyczała jedna część jego istoty, ta, która pamiętała bycie Szarym Pielgrzymem. — Zakończ to! Uwolnij siebie i świat od tej klątwy!

— Nie! — odpowiadała druga część, ta nowa, potężna, która zjednoczyła Zachód i zniszczyła Minas Morgul. — To jest narzędzie! Najpotężniejsze narzędzie, jakie istnieje! Z nim możesz nie tylko pokonać Saurona. Możesz uleczyć świat. Możesz zaprowadzić wieczny pokój. Zniszczenie go byłoby marnotrawstwem! Byłoby zdradą wobec wszystkich, którzy w ciebie uwierzyli!

Patrzył na Pierścień na swoim palcu. Był tak piękny. Tak doskonały. I tak bardzo... jego skarbem. Przez sto lat był jego towarzyszem, siłą. Jego przekleństwem i jego błogosławieństwem. Jak mógł się go teraz pozbyć? Jak mógł dobrowolnie wyrzec się mocy, która pozwoliła mu ocalić tak wielu?

Wahał się. Stał na krawędzi przepaści, tocząc ostatnią walkę. Walkę nie z Sauronem, ale z samym sobą. Z tym, kim był i z tym, kim się stał. W tej jednej, decydującej chwili wahania, otworzyła się szczelina w jego woli, moment na którą czekały wszystkie potęgi tego świata.

W tej jednej, brzemiennej w skutki chwili wahania, gdy dusza Gandalfa była rozdarta między obowiązkiem a pragnieniem, Sauron uderzył. To nie był atak siłowy. Nie był to ryk nienawiści ani fala mroku. To był najsubtelniejszy, najbardziej wyrafinowany i najbardziej niszczycielski atak, jaki kiedykolwiek przeprowadził. Był to szept. Szept, który nie uderzał w lęki Gandalfa, ale w jego największą, najszlachetniejszą cnotę. W jego nadzieję.

Gdy Gandalf stał na krawędzi, patrząc w ogień, Sauron nie pokazał mu wizji zniszczenia, nie groził mu. Zrobił coś znacznie gorszego, pokazał mu pokój. W umyśle Gandalfa, z klarownością, że zdawała się bardziej realna niż otaczający go żar wulkanu, pojawiła się wizja. Zobaczył świat po zwycięstwie. Świat, który on sam stworzył. Zobaczył Gondor i Rohan, żyjące w wiecznym sojuszu, ich pola obfite, a miasta bezpieczne. Zobaczył krasnoludy i elfy, którzy znów handlowali i przyjaźnili się ze sobą, a ich dawne spory odeszły w zapomnienie. Hobbitów, żyjących w sielance, chronionych przed wszelkim złem. Widział, plemiona na wschodzie i południu odrzucające kult cienia i zwracają się ku niemu, ku Białemu Pielgrzymowi, prosząc go o przewodnictwo i mądrość.

Zobaczył świat bez wojen, cierpienia i nienawiści. Świat zjednoczony i uporządkowany. Świat doskonały.

W centrum tego wszystkiego widział siebie. Nie jako króla na tronie, ale jako wiecznego, życzliwego strażnika. Pasterza, który czuwa nad swoim stadem. Ojca, który chroni swoje dzieci. Wtedy, w sercu tej pięknej, kuszącej wizji, usłyszał głos. Głos, który nie był już głosem Saurona. Był to jego własny, wewnętrzny głos, głos

jego najgłębszych, najszczerszych pragnień.

— Zobacz, co możesz uczynić. — szeptał głos. — To wszystko jest na wyciągnięcie ręki. To jest prawdziwe zwycięstwo. Nie zniszczenie, ale stworzenie. Nie koniec, ale początek.

— Zniszczenie Pierścienia przyniesie tylko pustkę. Magia opuści ten świat. Wszystko stanie się szare i zwyczajne. Ale jeśli go zachowasz..., jeśli przyjmiesz na siebie ten ostatni ciężar... możesz utrzymać ten sen przy życiu. Na zawsze.

— Tylko pozwól. — Szept stał się niemal pieszczotą. — Tylko na chwilę. Pozwól mi pomóc. Pozwól mi poprowadzić cię przez tę ostatnią bramę. Ja wiem, jak to zrobić. Razem możemy zbudować ten świat.

To był ostateczny, genialny cios. Sauron nie wnikał do umysłu Gandalfa jako wróg. Wnikał jako jego własna nadzieja. Jako jego własne, najszlachetniejsze marzenie. Użył jego miłości do Śródziemia, by go zniewolić.

I Gandalf, zmęczony wieczną walką, oszołomiony wizją pokoju, którego tak bardzo pragnął, na jedną, tragiczną chwilę... uwierzył.

Zamknął oczy, a mur jego woli, który tak długo opierał się wszelkim atakom, runął. Otworzył się. Nie na zło, ale na obietnicę dobra. W otwartej bramie jego duszy, Sauron, cierpliwy myśliwy, w końcu znalazł swoje wejście.

W momencie, gdy Gandalf pozwolił, by wizja pokoju go pochłonęła, gdy jego wola zmiękła i otworzyła się na ten ostateczny szept

nadziei, wszystko się skończyło. Sauron nie wdarł się do jego umysłu siłą. On wpłynął. Jak woda wpływająca w pęknięcia skały, jak dym wślizgujący się pod drzwi. Był to proces cichy, subtelny i absolutny.

Gandalf poczuł, jak jego własna, indywidualna świadomość, jego ja, które było Olórinem, Mithrandirem, Szarym i Białym Pielgrzymem, zaczyna się kurczyć. Nie był to ból. Było to uczucie oddalania się, jakby stawał się widzem we własnym teatrze. Jego wola, wspomnienia, wszystko to zostało delikatnie odsunięte na bok, zamknięte w małej, cichej komnacie w najgłębszym zakątku jego jaźni. Jego wola praktycznie zniknęła. Została zdominowana i wyciszona. W jej miejsce, w centrum jego istoty, w sali tronowej jego umysłu, zasiadła inna wola. Potężniejsza i zimniejsza, wola Saurona. Zgodnie ze swoim ostatecznym, najśmielszym planem, Sauron nie zniszczył Gandalfa. Przejął go. Wniknął w jego ciało, w jego umysł, był to akt ostatecznej dominacji, fuzja, w której jeden byt wchłonął drugi.

Zostawił duszę Gandalfa przy życiu. Uwięzioną, ale świadomą. Jak pasażera zamkniętego w kajucie statku, który czuje ruch fal i słyszy rozkazy nowego kapitana, ale nie może nic zrobić. Nie może się poruszyć, nie może krzyczeć, nie może wpłynąć na kurs. Był wiecznym, bezsilnym świadkiem czynów, które będą dokonywane jego rękami.

Z zewnątrz, nic się nie zmieniło. Postać w bieli wciąż stała na krawędzi Szczeliny Zagłady. Ale wewnątrz, wszystko było inne. Gdy nowe, połączone jestestwo otworzyło oczy, nie było w nich już konfliktu. Nie było wahania. Była tylko spokojna, absolutna pewność. Spojrzał na Pierścień, nie było potrzeby go niszczyć. Po

co niszczyć część samego siebie? Nowy Gandalf, Gandalf-Sauron, odwrócił się od przepaści. Uśmiechnął się. Był to uśmiech starego Gandalfa, ciepły, mądry, pełen życzliwości. Ale w jego głębi czaiła się zimna, odwieczna satysfakcja Saurona.

— Czas zaprowadzić porządek — powiedział na głos, a był to głos Gandalfa, ale jego słowa niosły w sobie echo woli z Barad-dûr.

Wyszedł z Góry Przeznaczenia, by spotkać się ze światem, który go oczekiwał. Nie jako Mroczny Pan, ale zbawiciel. Jako ten, który wziął na siebie ostateczny ciężar i zwyciężył.

Gra się skończyła. Sauron wygrał w sposób, którego nikt, nawet elfy, nie mógł przewidzieć. Nie zdobył Śródziemia siłą. On je odziedziczył. A jego największy wróg stał się jego najdoskonalszą maską.

Daleko za morzem, w krainie, gdzie nie sięgał cień Góry Przeznaczenia, w Máhanaxar, Kręgu Sądu, dwie postacie wciąż czuwały.

Varda i Mandos, widzieli wewnętrzną walkę Gandalfa na krawędzi przepaści. Widzieli subtelny, mistrzowski atak Saurona, jego szept nadziei, który był najgorszą z trucizn. Widzieli, jak wola ich wysłannika pęka i jak ciemność wlewa się do jego duszy, by zająć jej miejsce. Widzieli ostateczny upadek. Ale w ich boskich jestestwach nie było ani szoku, ani paniki. Nie było gniewu. Nie było nawet smutku. Był tylko głęboki, nieskończony spokój.

Gdy dusza Gandalfa została uwięziona we własnym ciele,

a wola Saurona przejęła kontrolę, Varda powoli odwróciła swoje gwiezdne spojrzenie od wizji Śródziemia i spojrzała na Mandosa. On również na nią patrzył. Nie padły żadne słowa. Nie były potrzebne. Wymienili tylko jedno, długie, pełne zrozumienia spojrzenie. W tym spojrzeniu było wszystko.

Wszystko szło zgodnie z planem. Byli przygotowani na jego upadek. Był koniecznym, tragicznym etapem ich własnej strategii. Przeczuwali, że Sauron, nie zadowoli się zwykłym zwycięstwem. Będzie chciał przejąć symbol dobra, by użyć go jako swojej maski. Na ten moment czekali. Teraz, gdy wola Saurona i jego największy artefakt, moc Pierścienia, zostały zamknięte w ciele Gandalfa, stały się czymś, czym nie były nigdy wcześniej. Stały się wrażliwe. Skupione w jednym punkcie.

Dopóki Sauron był bezcielesnym duchem, a Pierścień krążył po świecie, nie można było ich ostatecznie pokonać. Ale teraz... teraz byli jednym łatwym celem.

W spojrzeniu, które wymienili Varda i Mandos, było widać zimną kalkulację. Czuli że nadszedł czas, by aktywować ich własną, ostateczną broń. Faza obserwacji dobiegła końca. Rozpoczynała się faza interwencji. Nie bezpośredniej, nie przez wysłanie armii. Ale przez uderzenie w samą osnowę rzeczywistości, w jedynym miejscu, w którym Sauron był teraz bezbronny, w ciele które ukradł. Po raz pierwszy od tysięcy lat, pojawiła się nadzieja na zwycięstwo.

# Rozdział 15

Gandalf-Sauron wyszedł z Góry Przeznaczenia, a świat witał go jako swojego zbawiciela. Biała postać lśniła w mrocznym krajobrazie Mordoru, a jego obecność niosła obietnicę nowego, wspaniałego porządku. Z jego woli, armie Mordoru zatrzymały się, a resztki sił Zachodu, czując jego potężną, uspokajającą aurę, opuściły miecze, gotowe przyjąć jego przewodnictwo. Wydawało się, że Sauron odniósł ostateczne, absolutne zwycięstwo, nie tocząc wojny. W tym samym momencie, w trzech odległych miejscach, sprzymierzeńcy rozpoczęli swój ostatni, desperacki ruch ostateniej szansy.

W Lórien, Galadriela stanęła przed ukończoną Bramą Zapomnienia. Położyła dłonie na świetlistej strukturze i zaczęła śpiewać. W Rivendell, Elrond, w swojej najgłębszej bibliotece, otworzył księgę, której nie otwierał nikt od czasów Gil-galada. Na jej pożółkłych stronach nie było słów, ale nuty, fragmenty starożytnych pieśni, które pamiętały jeszcze światło Dwóch Drzew. I on również zaczął śpiewać.

W Minas Tirith, Eldarion, dziedzic tronu, też śpiewał, jego pieśń była bojowa, dobył z pochwy miecz swojego ojca, Andúrila. Uniósł go wysoko, a na jego ostrzu, wykutym z odłamków Narsila, zapłonęły na nowo runy. Ale nie płonęły ogniem bitwy. Płonęły echem przysięgi Elendila, echem dawnych paktów między ludźmi a siłami

dobra. I ta niema przysięga stała się jego częścią pieśni.

Rozpoczęli rytuał, który nie był rytuałem ataku. Był to rytuał przywołania. Ich połączone wole, wzmocnione przez zebrane fragmenty Ainulindalë, stworzyły falę rezonansową, która przetoczyła się przez Śródziemie. Nie była to niszczycielska fala mocy, jakiej użył Gandalf. Była to fala czystej, pierwotnej prawdy. Była to Pieśń Początku, przypomnienie o tym, jak świat został stworzony, nie przez jedną, dominującą wolę, ale przez harmonię wielu różnych głosów. Pieśń popłynęła prosto do serca Mordoru, do istoty, która właśnie upajała się swoim zwycięstwem.

Gdy fala pierwotnej harmonii dotarła do Gandalfa-Saurona, stało się coś, czego Mroczny Pan nie przewidział. Jego nowa, doskonała forma, oparta na fałszywej jedności, zadrżała.

Pieśń nie atakowała go. Ona go kwestionowała. Każda jej nuta była przypomnieniem o świecie pełnym wolności, chaosu i niedoskonałego piękna, o wszystkim, co on chciał uporządkować i zdominować. Każdy jej akord uderzał w fundamenty jego nowej istoty.

Wewnątrz połączonej świadomości, uwięziona dusza Gandalfa, dusza Olórina, usłyszała tę muzykę. Była to pieśń jego domu, jej pochodzenia. Była starsza niż on sam. I odpowiedziała. Słaby, ledwo tlący się płomień jego prawdziwej woli zaczął rezonować z Pieśnią, rosnąc w siłę, jak gwiazda przebijająca się przez chmury.

Sauron poczuł to. Poczuł, jak jego doskonała kontrola nad naczyniem zaczyna słabnąć. Poczuł, jak obca, niezależna wola budzi się wewnątrz jego zdobyczy. Wpadł w furię. Próbował ją zdusić,

zagłuszyć swoją własną, potężną pieśnią dominacji i porządku.

— Słyszymy dwie pieśni w jednym ciele, Mithrandirze. Cień i światło. Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, udowodnij to. Ucisz nasz szept i zaśpiewaj Pieśń Początku sam. Niech twój głos będzie jedynym, który niesie prawdę. Udowodnij, że jesteś czysty.

Sauron, w ciele Gandalfa, niemal się roześmiał nie mógł się opanować. Wiedział, że odmowa będzie przyznaniem się do porażki, obnażeniem jego oszustwa. Jego pycha, jego absolutna pewność kontroli nad Gandalfem, nie pozwalała mu na to. Był przekonany, że potrafi odtworzyć każdą emocję, każde wspomnienie czarodzieja, nawet tę pieśń. Uznanie tej prostej, elfickiej próby za wyzwanie było dla niego obrazą.

— Niech tak się stanie — odpowiedział z drwiącą pewnością siebie.

W tym momencie Galadriela, Elrond i Eldarion zamilkli. Ich rola dobiegła końca. Rytuał nie został przerwany, oni po prostu przestali w nim uczestniczyć, pozostawiając scenę dla jednego aktora.

I wtedy Gandalf-Sauron zaczął śpiewać. Jego głos był doskonały. Każda nuta była czysta, każda wibracja idealna. Było to jego wykonanie Pieśni Początku. Pieśń była starsza niż on, była osnową Prawa, była fundamentalną prawda, której można się było tylko poddać. A jej najważniejsze prawo, którego Sauron nie znał, brzmiało, śpiewana w całości przez jedną, pojedynczą istotę, stawała się sądem i wyrokiem. Dusza śpiewającego była obnażana i porównywana z pierwotnym wzorcem. Jeśli była z nim w harmonii, zostawała wywyższona. Jeśli była dysonansem... była usuwana.

Magia Bramy Zapomnienia, którą Galadriela przygotowała

w Lórien, zadziałała. Nie musiała być aktywowana. Była pasywną kotwicą, więzieniem czekającym na duszę, która nie przejdzie próby Pieśni.

Nastąpiło gwałtowne, duchowe rozdarcie. Z oślepiającym błyskiem, który nie był ani światłem, ani ciemnością, wola Saurona została wyrwana z ciała Gandalfa, wciągnięta przez Bramę Zapomnienia, której drzwi zatrzasnęły się. Jego duch, pozbawiony Pierścienia i fizycznego naczynia, które właśnie utracił, na moment zawisł w powietrzu jako wirujący, bezkształtny cień, wyjący w bezgłośnej furii i znikł. Wojna skończyła się. Nie uderzeniem miecza, ale dźwiękiem, który zmusił mrok do obnażenia samego siebie.

Gdy cień Saurona rozpłynął się w powietrzu, a echo Pieśni ucichło, na skraju Szczelin Zagłady pozostał tylko Gandalf. Upadł na kolana, a jego ciało drżało z wyczerpania po straszliwej, wewnętrznej walce. Białe szaty, które nosił, straciły swój nienaturalny blask, stając się po prostu białą tkaniną, poplamioną pyłem i popiołem.

Był wolny, ale był też złamany. Poczuł, jak jego dusza, jego prawdziwe ja, powraca, by wypełnić pustkę. Ale była to dusza zraniona, naznaczona wspomnieniem bycia więźniem we własnym ciele. Czuł na sobie obrzydliwy dotyk woli Saurona, pamiętał myśli, które nie były jego, pamiętał czyny, których dokonywał, upajając się mocą, która go niszczyła.

Był osłabiony, bardziej niż kiedykolwiek od początku czasu. Walka duchowa wyssała z niego niemal całą siłę. Ale był też,

po raz pierwszy od stu lat, naprawdę sobą. Z wszystkimi swoimi wątpliwościami i lękami. Powoli, drżącą ręką, podniósł dłoń i spojrzał na Pierścień. Wciąż tam był. Lśnił na jego palcu, cichy, złoty, obojętny. Już nie śpiewał i nie kusił. Był tylko przedmiotem, bez Saurona stracił swą moc. Powlókł się spowrotem do Szczelin Zagłady, wiedział, co powinien zrobić. Ogień, który mógł ostatecznie zniszczyć Pierścień, bulgotał tuż pod jego stopami. Wystarczył jeden gest. Jeden, ostatni akt woli, by zakończyć tę historię na zawsze.

Ale gdy spojrzał w płomienie, a potem z powrotem na Pierścień, zawahał się. Zrozumiał coś, czego nie rozumiał wcześniej, w swojej pysze. Zrozumiał, że zniszczenie Pierścienia byłoby aktem siły. Ostatecznym rozwiązaniem, narzuceniem swojej woli losom świata. Byłoby to działanie z tej samej pozycji mocy, która go prawie zniszczyła.

Czy miał do tego prawo? On, który sam uległ pokusie? On, który przez sto lat używał tej mocy, by kształtować świat według własnego uznania? Zniszczenie Pierścienia teraz byłoby jak akt hipokryzji. Jak morderca, który niszczy narzędzie zbrodni, by zatrzeć ślady i udawać, że nic się nie stało.

Podjął ostateczną decyzję. Ale nie była to decyzja, której ktokolwiek by się spodziewał. Powoli, z ogromnym wysiłkiem, zdjął Pierścień z palca. Poczuł, jak niewidzialny ciężar opuszcza jego duszę, jednocześnie poczuł ogromną pustkę. Trzymał go w otwartej dłoni. Patrzył na niego, nie z nienawiścią, nie z pożądaniem, ale ze smutnym, głębokim zrozumieniem.

Nie rzucił go w ogień. Nie włożył go też z powrotem na palec. Postanowił wybrać trzecią drogę. Drogę, która nie była ani znisz-

czeniem, ani używaniem. Drogę wiecznej, świadomej straży.

Gandalf schował Pierścień do prostej, skórzanej sakiewki, którą nosił na szyi. Ukrył go pod szatą, blisko serca, nie jako źródło mocy, ale jako wieczne przypomnienie. O pęknięciu, upadku i ocaleniu.

Odwrócił się od ognia Góry Przeznaczenia i ruszył w drogę powrotną. Nie jako bóg, nie jako zbawiciel, ale stary, zmęczony pielgrzym, który właśnie zakończył najdłuższą i najtrudniejszą ze swoich podróży.

Nie wrócił na Zachód, by przyjąć podziękowania królów i chwałę. Nie szukał przebaczenia u Elronda ani Galadrieli. Ich rola w tej historii dobiegła końca. Wiedział, że zrozumieją. A może nigdy nie zrozumieją do końca. To nie miało już znaczenia.

Jego droga prowadziła z powrotem na wschód. Przez spustoszone ziemie Mordoru, które teraz, pozbawione woli swojego pana, pogrążyły się w chaosie. Przez stepy Rhûn i szare pustkowia. Aż w końcu, po wielu miesiącach samotnej wędrówki, ponownie dotarł do brzegów lśniącego jeziora.

Do Cuiviénen. Ale tym razem nie przyszedł tu, by tworzyć raj. Przyszedł, by czuwać nad ruinami własnej duszy. Jego ogród, który stworzył z pomocą Pierścienia, zwiędł i zdziczał, powracając do swojej pierwotnej, niedoskonałej formy. I to było dobre.

Wszedł do chatki, na płaskim głazie pośrodku izby położył mały, złoty krążek. I tak rozpoczęła się jego ostatnia, najdłuższa misja. Siedział tam, w ciszy i samotności, przez niezliczone lata, aż jego

fizyczne ciało obróciło się w pył, a jego duch, wolny od obowiązku, mógł w końcu odejść. Był strażnikiem. Nie świata, nie ludzi, ale strażnikiem jednego, małego, złotego przedmiotu i wielkiej, niebezpiecznej prawdy, którą kiedyś w sobie nosił.